BRULION KAZIMIERSKI

LATO / JESIEŃ 2020 ISBN 978-83-953497-6-8 NR 16

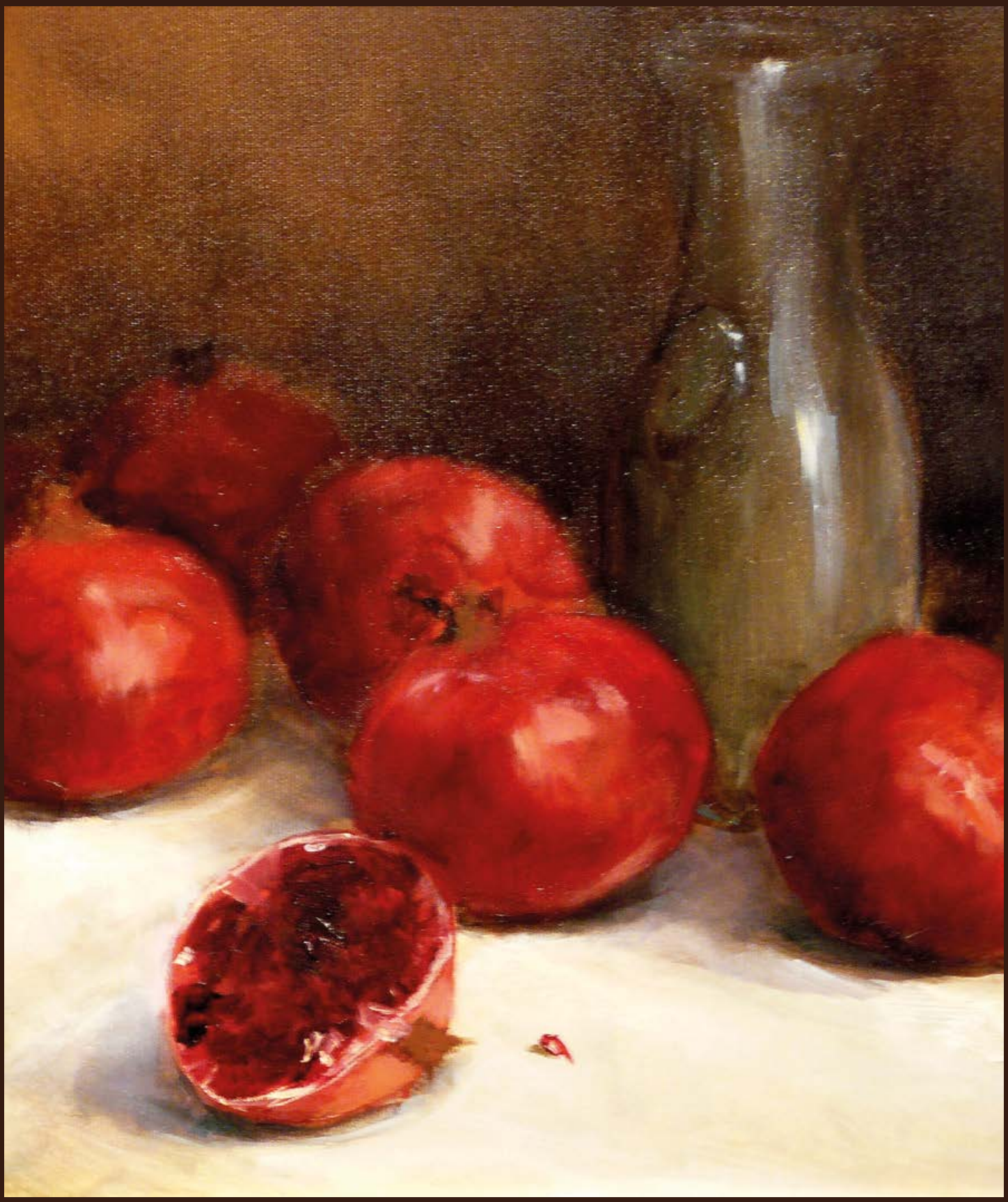

AGNIESZKA MITURA

Nad Wisłą, olej, płótno, 50x60 cm, 2016

Wieczór, olej, płótno, 30x15 cm, 2020

BRULION KAZIMIERSKI

WYDAJE
TOWARZYSTWO PRZYJACIÓŁ MIASTA KAZIMIERZA DOLNEGO
LATO/JESIEŃ 2020

REDAKCJA
TADEUSZ MICHALAK
WOJCIECH KISS-ORSKI

SKŁAD KOMPUTEROWY
KINGA MAZUR

SZATA GRAFICZNA
TADEUSZ MICHALAK

ADRES
KAZIMIERZ DOLNY 24-120
UL. MAŁACHOWSKIEGO 5B
SKR. POCZ. 27

TEL. REDAKCJI
501 022 781, 603 163 343

WSPÓŁWYDAWCA
DRUK / STUDIO GRAFICZNE

multipress drukarnia studio
MULTIPRESS
G. WODECKI, D.WODECKA
B. WODECKI s.j.
20-150 Lublin • ul. Ceramiczna 7b
tel. 81 742 75 30 • 81 740 31 32
e-mail: info@multipress.com.pl
www.multipress.com.pl

Redakcja gwarantuje
zwrot powierzonych materiałów.
Zastrzega sobie prawo dokonywania
formalnych zmian w tekstach.

Agnieszka Mitura
Granaty (fragment), olej, płótno, 40x60 cm, 2019

OD REDAKCJI
TADEUSZ MICHALAK Zagadki historii 2

DO REDAKCJI
TADEUSZ GÓRECKI Rodowody 4

TAK SZYBKO ODCHODZĄ
KRZYSZTOF RACZYŃSKI „Diabeł” 5

HISTORIA
JAN POPIS Organy – urok dawności 6
BOGDAN ROKICKI Społeczność Kazimierza Dolnego 22

GALERIA – AGNIESZKA MITURA
JOLANTA KNAP Z Lublina na Lubelską 10
Trochę świata na małej powierzchni – Rozmowa z Agnieszką Miturą . . 17
Galeria 102

KUZMIR
PAWEŁ SYGOWSKI Rabini Kazimierza Dolnego 31

ALFABET
ZOFIA MITOSEK Alfabet kazimierski 40

WIERSZE
WANDA MICHALAK Wiersze 46

FELIETON
ALEKSANDER BŁOŃSKI Taka melodia, taka piosenka 49

ZAMIESZKAĆ W KAZIMIERZU
MARIA KRZYSZTOPORSKA Planeta Szkolna 21 w galaktyce Kazimierz Dolny… 50

SYLWETKA
BOGDAN ROKICKI Edward Rodzik– malarz amator 54

REPORTAŻ
WALDEMAR SIEMIŃSKI Na ratunek 61

WSPOMNIENIA
EDWARD BALAWEJDER Najważniejszy dom Marii Kuncewiczowej 69
BOGDAN KUZIOŁA Rodzinne historie 73

KAZIMIERZ
WALDEMAR SIEMIŃSKI Kazimierskie źródła i wodomcza 76
EWA SIEMIŃSKA W innym świetle 81

KAZIMIERZACY
JÓZEF RAFAŁ KWIATEK Wspomnienia kazimierskiego nauczyciela 84

Tadeusz Michalak

ZAGADKI HISTORII

Szanowni Państwo, tym razem zamiast wstępu zamieszczam kilka moich spostrzeżeń dotyczących historii Kazimierza. Zacznę od norbertanek, które podobno pojawiły się pod koniec XII wieku i które przebywały tu do końca wieku XIII, kiedy to tereny te wróciły we władanie królewskie. Utrzymująca się do dzisiaj w zakonie tradycja mówi o bezprawnym zagarnięciu,bez odszkodowania, własności Norbertanek przez króla Władysława Łokietka.

Niestety z tego okresu mamy bardzo mało faktów. Najstarsza informacja pochodzi z 1249 roku. Wymieniona jest wtedy po raz pierwszy nazwa Kazimierz. Możemy się domyślać, że z wdzięczności dla księcia Kazimierza Sprawiedliwego zmieniono używaną wcześniej nazwę Wietrzna Góra na Kazimierz. Przy okazji wymienia się też prepozyta Panien z Kazimierza.

Można było sądzić, że do naszych czasów nie przetrwały materialne ślady pobytu premonstrantek nad Wisłą. Poczynione przeze mnie spostrzeżenia zdają się wskazywać na to, że nad Grodarzem, w pewnej odległości od Wisły, zachowały się fragmenty budowli, która może być pozostałością wymienianego przez Jana Długosza klasztoru zakonnic.

Przy końcu ulicy Lubelskiej odchodzi ulica zwana Szkolną. Biegnie ona pomiędzy dawnym strumieniem Grodarz a południowymi stokami wzgórz, zaczynającymi się Górą Krzyżową. Przed pensjonatem Państwa Wolnych zachował się dosyć wysoki kamienny mur, będący jednocześnie ścianą oporową. Sięgająca co najmniej końca XIX wieku ustna tradycja wskazuje na to miejsce jako pozostałość norbertańskiej budowli. Dzięki królewskiemu rysownikowi Zygmuntowi Voglowi wiemy jak to miejsce wyglądało w latach 90. osiemnastego wieku. Na sporządzonej wtedy akwareli widoczne są pozostałości piętrowego, kamiennego budynku, ze sklepionym przyziemiem i z trójkątnym szczytem od strony góry. Czytelne do dzisiaj resztki otworu okiennego pozwalają na jednoznaczną identyfikację. Kolejnych dowodów, że mamy do czynienia z obiektem mieszkalnym dostarcza wnęka zachowana w grubości ściany oporowej. Okazuje się, że jest to dawna „wygódka", luksusowa jak na tamte czasy. Zachował się ślad po poziomej desce oraz starannie uformowany w kamieniu otwór odprowadzający nieczystości. Pomieszczenie sklepione jest kamiennym, odcinkowym przesklepieniem, w którym znajduje się otwór wentylacyjny.

Przypuszczam, że wybór przez Vogla ruiny jako tematu obrazu świadczy o jej wyjątkowości. Z całego Kazimierza artysta wyróżnił dwa obiekty: ruiny zamku i właśnie pozostałości, które dzisiaj identyfikujemy jako ponorbertańskie. Właśnie istnienie murowanego sanitariatu świadczy o wyjątkowej randze budowli. Był to nieduży obiekt, przykryty dwuspadowym dachem, który posiadał murowane szczyty. Umieszczenie pomieszczenia mieszkalnego na wyższej kondygnacji pozwala łączyć budowniczych budowli ze śródziemnomorską, a może z azjatycką, tradycją budowlaną. Sądząc po utrwalonychna akwareli detalach i po zachowanych śladach, całe przyziemie posiadało kamienne sklepienia. Zachowane do dzisiaj fragmenty murów nie prezentują specjalnie wymyślnych, romańskich wątków kamiennych. Są raczej charakterystyczne dla trzynastowiecznego europejskiego budownictwa, kiedy to, w związku z dużym zapotrzebowaniem na obiekty murowane, zrezygnowano z użycia starannie obrobionej kamiennej kostki, która wymagała bardzo wyspecjalizowanych budowniczych. Najpierw na Śląsku, a potem na terenach nadwiślańskich, w związku ze wzrostem ilości parafii, pojawiło się zapotrzebowanie na techniki murarskie pozwalające budować szybciej i więcej. Tu, na miejscu jeszcze długo nie było wyspecjalizowanych murarzy. Pomimo miejscowych złóż kamienia,nie wyspecjalizowano się jeszcze w jego obróbce. Trzeba było jeszcze kilkuset lat,aby na miejscu powstały tzw. „strzechy" budowlane, potrafiące wymurować i przesklepić kamienne budynki.

Klasztorek sióstr norbertanek musieli wymurować przybyli razem z nimi śląscy albo czescy majstrowie. Przypuszczam, że i norbertanki nie były Polkami. Podobnie byłoz towarzyszącymi im zakonnikami, których musiało być kilku, z księdzem prepozytemna czele.

Ten norbertański epizod nie trwał nawet stu lat. Książęca fundacja miała miejsce przed 1177 rokiem. Jak możemy przypuszczać na podstawie późniejszych zapisów, mniszki pojawiły się w 1181 roku, a już w ostatnim dziesięcioleciu trzynastego wieku musiały ustąpić miejsca Litwinom i Rusinom.

Kiedy w 1302 roku w Lublinie pojawiła się z powrotem polska załoga, w kamiennym klasztorku na Dołach nie pozostała ani jedna zakonnica.

Pozostała tylko miejscowa tradycja, przypisująca to miejsce norbertankom, zwanym premonstrantkami.

Nigdy nie były prowadzone w tym miejscu badania archeologiczne. Na razie,dla potwierdzenia tezy o tym, że kamienna ściana przy ulicy Szkolnej ma trzynastowieczny rodowód, musi nam wystarczyć kamienna latryna, która jest najstarszym tego typu obiektem po tej stronie Wisły.

Wybór tej niepozornej ruinki przez Zygmunta Vogla jako temat akwareli potwierdza znaczenie tego miejsca.

Niestety teren, którym władały norbertanki znalazł się na

zachodnich rubieżach księstwa halicko-włodzimierskiego, które właśnie zaczęło przegrywać z rosnącym po rozbiciu dzielnicowym królestwem polskim. Norbertanie zajmowali się krzewieniem wiary i podróżnymi. Podobno, jeszcze długo po ich zniknięciu utrzymywała się pamięć o uroczystych nabożeństwach, które gromadziły wiernych z obu brzegów Wisły.

Przypuszczam, że wtedy nastąpiła intensywna chrystianizacja miejsc związanych z lokalnymi obrządkami, a stare nazwy, takie jak np. „Wietrzna Góra", zastępowane zostały nazwami nowymi. Przypuszczam, że wtedy pojawiła się Góra Krzyżowa, górująca nad osadą, która wtedy dostała książęce imię. Bardzo możliwe, że właśnie wtedy nazwy lokalne bardziej wiązały się z grupą ludzi niż z określoną lokalizacją. I tak na przykład nazwa Skowieszyn przeniosła się razem z mieszkańcami w dzisiejsze miejsce koło Końskowoli, a kiedyś znajdowała się w rejonie ulicy Szkolnej.

Uważam, że pod koniec XIII wieku w Kazimierzu pojawił się kolejny ważny obiekt, który ciągle jest zagadką, a jego istnienie da się w pełni uzasadnić tylko w wypadku popatrzenia na kamienną, cylindryczną wieżę tylko pod kątem interesów mieszkańców prawego brzegu Wisły.

Przez dziesięciolecia rozciągające się na wschodzie księstwo halicko-włodzimierskie parło na zachód. Próbowało opanować Kraków, przegrywając bitwy pod Zawichostem. Książęta i królowie haliccy kilkukrotnie opanowywali Lublin. Ostatni zabór tych terenów miał miejsce za panowania Jarosława Halickiego, który przez czternaście lat władał Lublinem. Przypuszczam, że właśnie wtedy wzniósł kamienną wieżę, pragnąc podkreślić panowanie nad przeprawą. Wieża ta nie jest budowlą jednolitą. Budowana była co najmniej w dwóch fazach. Budowniczowie pierwszej fazy dysponowali ekipą potrafiącą budować z kamienia. Ekipa ta przybyła ze Śląska albo nawet z krajów niemieckich. Twórcy drugiej fazy dysponowali trochę gorszymi umiejętnościami. Pamiętano wtedy jeszcze Tatarów, którym skutecznie opierały się kamienne obiekty. Najlepszym przykładem był niezdobyty krakowski kościół św. Andrzeja.

Przypuszczam, że zdobycie kazimierskiej budowli odbyło się w wyniku rokowań. Ostatni agresorzy, którzy nie dali rady kazimierskiej baszcie to Niemcy, bezskutecznie ostrzeliwujący przez drugą połowę 1944 roku stawiającą im czoła trzynastowieczną budowlę.

Ściana przy ulicy Szkolnej. Fot. Maria Krzysztoporska

Tadeusz Górecki

RODOWODY

Nazywam się Tadeusz Górecki i mam syna Jarosława, który ma jedyną córkę Hanię. Jeżeli nic się nie zmieni, możliwy jest koniec jednej z linii kazimierskich Góreckich, oczywiście w męskiej linii. Przychodzi mi na myśl fraza z pewnego filmu: „Widzę ojca i matkę swoją,… i długi szereg tych co byli przede mną".

Mój ojciec, też Tadeusz, w 1944 r. wstąpił do wojska, w Warszawie poznał żonę Krystynę i służył jako zawodowy podoficer do 1956 r. w Krakowie. Zwolniony z wojska po ujawnieniu przynależności do BCh tuż przed wyzwoleniem, przeniósł się do Legionowa pod Warszawą, gdzie pracował jako handlowiec.

Jego ojciec, a mój dziadek Tomasz z żoną Marianną z Gromadkiewiczów i córką Krystyną, gospodarzyli na Jeziorszczyźnie. W 1960 r. przywędrowali za synem do Legionowa, ale po 25 latach wrócili do Kazimierza, gdzie kupili domek przy ul. Sadowej 7. Są to ostatni moi przodkowie pochowani na starej części cmentarza św. Jana.

Dziadek Tomasz był jedynym synem Stefana i Anieli Pałków z Wylągów, których zmiotła epidemia hiszpanki w 1918 r. Licząc od mojej wnuczki Hani, jest to VI generacja rodziny.

Ustaliłem wcześniejszych przodków, chociaż przy takiej mnogości Góreckich z innych linii oraz braków w księgach parafialnych, możliwe są pewne błędy.

Generacja VII, to Adam, zmarły w 1907 r., który w 1856 r. poślubił Franciszkę Kazimierę Grzybowską, zmarłą w 1906 r. Ich syna, Stefana, urodzonego w 1867 r. wspomniałem wcześniej. Jego brat, Jan żył w latach 1857 – 1910, natomiast Władysław w latach 1862 – 1920. Pochowany jest przy grobowcu moich dziadków, Tomasza i Marianny (na lewo od głównej alejki, około 120 m od bramy cmentarza). Prawdopodobnie w tym miejscu spoczywają też inni przodkowie.

Generacja VIII, to zapewne Paweł, żonaty w 1812 r. z Moniką Korczowską. Ich dwoje dzieci zmarło w 1816 r. Paweł ożenił się ponownie, prawdopodobnie z Julianną Abramowicz w 1822 r. Z tego wynika, że Paweł urodził się około 1788 r., a jego nieznany z imienia ojciec, około 1760 r.

Córką Pawła, a siostrą Adama była zapewne Franciszka, zamężna z Antonim Woźniakiem z Jeziorszczyzny. Informacja z 1829 r. o małżeństwie Jędrzeja Woźniaka z Marianną Dunia prowadzi do Wylągów. Koligacje moich przodków zawiązywały się więc w trójkącie Kazimierz – Wylągi – Jeziorszczyzna, czego śladem zapewne było pole (po Franciszce?) przy drodze z Jeziorszczyzny do Wylągów. Pole to obrabiał mój dziadek Tomasz jeszcze do końca lat 50. XX w., a ja mu towarzyszyłem jako kilkuletni brzdąc.

Już na przełomie XVIII i XIX w. mamy w Kazimierzu co najmniej 6, czy 7 linii Góreckich. Szkoda, że nie zachowały się wcześniejsze księgi parafialne, które prowadzono od początku XVII w. (po uchwałach Soboru Trydenckiego 1545 – 1563). Dwadzieścia lat temu zgłębiłem oryginalną księgę parafii Wilga z lat 1766 – 1790. Stwierdzam, że wiele nazwisk z tej księgi istnieje do dziś, a wiele wspomniano już w aktach czerskich z początku XV w. Zakładam więc, że podobnie było w Kazimierzu, a szczątki wczesnych Góreckich i innych rodzin kryją cmentarze za Farą, przy kościele św. Anny, a być może jeszcze w innych nieznanych miejscach.

Jestem dumny z genealogii mojej rodziny, choć nie było w niej znaczących postaci ani spektakularnych wydarzeń.

Kilka razy w roku bywam z żoną Jolą w Kazimierzu, aby odetchnąć jego powietrzem i chociaż zjeść dobry obiad, choć z tym coraz gorzej. Coraz częściej zauważam, że zaczyna dominować wszechobecna tandeta. Gdzie się podziały śliwki, które jeszcze mój dziadek wędził w lasach, za chatą? Tego zapachu zmieszanego z wapieniem już nie czuję, a pamiętam go wyraźnie sprzed 60 lat! Oprócz grobów i akt stanu cywilnego, po moich przodkach pozostał ponad 110-letni drewniany dom (Jeziorszczyzna 31) oraz rodziny Gromadkiewiczów, Pałków, Kobiałków, Kubisiów, Duniów, Borochów, Dzwonników, Wójcików i wielu innych, niewątpliwie jakoś związanych z moimi przodkami. Naprzeciwko byłej chaty mojego dziadka mieszka Teresa Bochra, wynajmując pokoje gościnne w eleganckiej „Borynówce". Jej syn Wojciech w 2015 r. był gwiazdą dziewiątej edycji programu „Must Be The Music" jako dobrze zapowiadający się kontratenor.

To prawdziwa skarbnica wiedzy o mieszkańcach i okolicy, chociaż podobno to już Helenówka, a nie Jeziorszczyzna. Ludziom żyło się tu ciężej (elektryfikacja dotarła tam dopiero w 1970 r.), młodzi uciekali do innych miast (choćby mój ojciec), ale coś w tej małej Ojczyźnie jest, skoro ludzie tu wracają (moi dziadkowie), często przyjeżdżają, wspominają i zostawiają w Farze datki na msze za przodków. Ale Jeziorszczyznę nazywać Kazimierskim Wilanowem, to już chyba przesada, i ja jako mieszkaniec Warszawy tak tego nie widzę! Wszelkie porównania są krzywdzące dla Kazimierza, który – mimo różnych ułomności – jest przecież jedyny i niepowtarzalny.

Krzysztof Raczyński

„DIABEŁ"

Niezapomnianego malarza, znanego wszystkim mieszkańcom Kazimierza „Diabła" wspomina jego przyjaciel, Krzysztof Raczyński „Krzyr".

Waldek pojawił się w Kazimierzu latem 1975 r. i czy wtedy już przyjechał z Radomia ze swoim pseudonimem, czy dopiero tu ktoś go nim „ochrzcił", tego już nie pamiętam.

„Grupa Sarpowska" była w tym czasie dość prężna i twardo pilnowała swoich interesów w podcieniach domu architekta. Nowi mogli sobie stanąć co najwyżej z boku i powiesić swoje „pracki" na kawałku muru albo płotu. „Diabeł" ze swoją niebywałą otwartością na wszystko i wszystkich, ze swoim malarstwem (o nim później) sfrunął jakby z innej planety. Stanął więc z nami w środkowej części sarpowskich podcieni i tak zaczęła się nasza ponad czterdziestoletnia przyjaźń, znaczona późno młodzieńczymi szaleństwami, na wpół fantastycznymi opowieściami, ale i zwykłą pracą malarską, albo większą lub mniejszą wystawą.

W katalogu do wystawy, którą miał w dziewięćdziesiątym czwartym roku w Galerii Dzwonnica w Kazimierzu, niepodpisany autor / autorka pisze górnolotnie : „Na swoją pasję i styl życia wybrał malarstwo sztalugowe, którego tajniki zgłębiał u Wacława Dobrowolskiego, malarza szkoły petersburskiej". Styl życia tu akurat pominę, natomiast czy była to szkoła petersburska czy jakaś inna, to prawdą jest, że „Diabeł" przeniósł w nasz czas solidność dobrego, dziewiętnastowiecznego, realistycznego malarstwa. Można go nazwać epigonem, niech tak będzie. Najważniejsze, że twórczość Waldka jest autentyczna i szczera. Nic go nie obchodzą trendy, kierunki i wszelkie emocje towarzyszące współczesnej sztuce.

W latach osiemdziesiątych jako „Diabeł" wędrowny krąży między Radomiem, Kazimierzem, Warszawą, Lublinem, a nawet Krakowem. Zresztą podobne peregrynacje odbywało w tym czasie sporo malarzy „kazimierskich" łącznie z niżej podpisanym. Otwierają się nowe prywatne galerie, rynek sztuki z różnych powodów nabiera rozpędu. I na początku lat dziewięćdziesiątych „Diabeł" otwiera autorską galerię w Kazimierzu przy ulicy Senatorskiej, którą prowadzi przez kilka lat, mieszkając w niej z Hanią, kilkuletnim Mikołajem i nowofundlandzkim psem, a w roku dwa tysiące, dzięki zapobiegliwości Hani, osiedlają się na obrzeżach Nałęczowa, w pięknym miejscu, gdzie z czasem stanie przestronna pracownia, w której sąsiadują ze sobą akwarelki wielkości pudełka od zapałek i dwumetrowe olejne pejzaże.

Wrócę jeszcze do początku lat dziewięćdziesiątych, bo wtedy objawiła się nowa pasja Waldka - samochody! Miał ich kilka, ale o dwóch kultowych już dzisiaj, oplach manta, białym i czarnym mógł opowiadać godzinami i w nieskończoność. Potem przyszedł czas na mercedesy raczej oldtimery, ale jakże solidne i równie kochane, od najmniejszej śrubki aż po dach, a właściwie szyberdach.

Waldemar Wojczakowski zmarł 31 stycznia 2020 r. Został pochowany na kazimierskim cmentarzu św. Jana.

Fot. Bartłomiej Furdal

Jan Popis

ORGANY – UROK DAWNOŚCI

Organy Kazimierskiej Fary – jeden z najświetniejszych instrumentów, i to w skali światowej, liczą równe 400 lat!

Poświadczenie, iż początek ich istnienia należy datować na rok 1620, znajdujemy na kartuszach pod muzycznym chórem: na lewym ANNO, na środkowym 1620 i na prawym DOMINI.

Marek Stefański przy organach i Jan Popis.

Są tam więc od czterech wieków i służą liturgii, a w ostatnich dziesięcioleciach odkrywają przed nami swe oblicze instrumentu koncertowego. Jak to słyszymy – instrumentu wspaniałego. Tę ich właściwość doskonale potrafił wyczuć i ocenić ks. Zdzisław Maćkowiak (1925-2011), gdy w roku 1970 został proboszczem parafii kazimierskiej, i gdy zorientował się, jak cennym „obiektem" są organy w powierzonej mu świątyni. Ksiądz lubił wydarzenia kulturalne i z pasją zajmował się opieką nad bogactwem zabytków, jakie to znalazły się po jego okiem. Wówczas więc, doprowadził m.in. do odnowienia kościoła św. Anny i remontu organów Fary, uważanych za najstarsze w Polsce. Miał poczucie wyjątkowej wartości tego instrumentu. Dziś – jego następca, ks. Tomasz Lewniewski pozostaje wierny owym ideom. Maria Kuncewiczowa w swoich wspomnieniach drukowanych w „Przezroczach", pisała, jak to ks. Maćkowiak zareagował na opowiadanie o jej spotkaniu z Janem Pawłem II: „I pierwsza rzecz, o jaką mnie zapytał Kanonik naszej fary, była: Czy rozmawiała Pani z Ojcem świętym? – Tak, rozmawiałam. – Powiedziała mu pani, że nasze organy są starsze od oliwskich? Że zostały wyremontowane? Zawstydziłam się. Oczywiście, zamiast go nękać metafizyką, należało raczej ucieszyć Ojca Świętego nowiną o długowieczności organów w kazimierskiej farze".

Perła późnego renesansu

Czas koncertowego żywota organów kazimierskich liczy się od roku 1972, gdy na zaproszenie Krystyny Pielak – ówczesnej dyrektor Domu Kultury, przy wsparciu ks. proboszcza Zdzisława Maćkowiaka, przybył do Kazimierza prof. Feliks Rączkowski. Dał wówczas inauguracyjny koncert i utrwalił na płycie zestaw utworów odpowiedni dla właściwości tego instrumentu. Stąd wybór utworów głównie późnorenesansowych i wczesnobarokowych, czyli z przełomu XVI i XVII wieku. Płytę tę nagrała firma „Veriton" (SXV-737, 1972 r.). Dziś pozostaje ona cennym dokumentem, oczywiście mistrzowskiej gry prof. Rączkowskiego, ale też niezwykle ważnym „opisem inwentarzowym" stanu zachowania zabytkowego instrumentu, co zostało umieszczone na okładce płyty. W owej dokumentacji i komentarzu pióra Jerzego Gołosa m.in. czytamy: „Organy kościoła parafialnego

w Kazimierzu Dolnym należą już do nielicznych, dobrze zachowanych instrumentów późnego Renesansu na terenie Europy. Ze względu na swój wiek i jakość od dawna budziły zainteresowanie polskich i zagranicznych specjalistów. Jeden z nich, Peter Williams, w pracy „European Organ" (Londyn 1944) napisał: „zachowane niemal całkowicie w pierwotnym stanie i jedne z najważniejszych organów europejskich z początku XVII wieku znajdują się w Kazimierzu".

Siedem lat budowy

Obchodzimy więc 400-lecie istnienia Kazimierskich Organów, które budzą zachwyt niepowtarzalnym pięknem i brzmienia, i samego już wystroju. Kunsztem snycerskiego artyzmu wyróżnia się drewniany prospekt, który został wykonany z modrzewia, bogato rzeźbiony, w stylu manierystycznym i był zapewne inspirowany europejskimi wzorami. Kazimierz Parfianowicz, sporządzając dokumentację (1975 r.), sugerował, że owe wzory można było znaleźć u Michaela Praetoriusa, ., który w słynnym traktacie Syntagma Musicum zamieścił ilustracje instrumentów muzycznych znanych na przełomie XVI i XVII wieku, w tym rycinę prospektu organów „typu hamburskiego", przypominającą nieco nasze organy kazimierskie.

Instrument miał być budowany przez siedem lat, w czasie, gdy do świetności podnoszono kazimierską świątynię, po niszczącym pożarze w roku 1561. Najpierw, w latach 1585-89 ją odbudowano, by w latach 1610-13 dalej ją rozbudowywać, nadając jej renesansowej lekkości. W 1620 r. stanęły tam wspaniałe, dziś słynne w świecie – organy. Wśród fundatorów pojawiły się nazwiska kazimierskich mieszczan, żeby wymienić Mikołaja Przybyłę. Pamiętajmy, że były to lata sukcesu gospodarczego miasteczka. Położenie nad Wisłą otwierało drogę do Torunia i do Gdańska. Statki rzeczne wypełnione zbożem regularnie spływały w tamtym kierunku. Kazimierz stał się jednym z najważniejszych w Rzeczypospolitej ośrodków handlu zbożem (mówiono nawet "spichlerzem Europy") i głównym portem rzecznym, w którym przeładowywano towary pochodzące z Ziemi Lubelskiej, Radomskiej. Chełmskiej, z Wołynia, Podola i Ukrainy. Z kolei w górę Wisły wracały towary m.in. luksusowe, od jakich nie stronili dobrze prosperujący handlowcy zboża. Zaczęły powstawać fortuny kazimierskich rodów. W rynku pojawiły się artystycznie zdobione kamienice, a wzdłuż nabrzeża Wisły – zbożowe spichlerze, których było wówczas sześćdziesiąt. Fara dla tej społeczności miała wartość szczególną. Duchową. Zadbano o to, by miała kształt godny i to w każdym wymiarze. Stąd też i idea postawienia organów. Inspiracje płynęły zapewne z miast hanzeatyckich, słynących z okazałych budowli sakralnych i ich wyposażenia, m.in. w doskonałe organy. Z takimiż właśnie ośrodkami kooperowali kupcy z „małego Gdańska", jak mówiło się wówczas o nadwiślańskim miasteczku.

Na tropie budowniczego

Pomimo wielu już badań, nie udało się ustalić ostatecznie nazwiska budowniczego organów. Jak pisze ks. prof. dr hab. Jan Chwałek, „… spotyka się sugestie, że mógł to być Szymon Lilius, Włoch z Warszawy. Jego imię i nazwisko (Simon Lilia, Simon Lilie, Szymon Lelia, Simn Lilius, Szymon Liliusz) podają księgi parafialne i księgi miejskie […]. Simon Lilie pojawia się w Kazimierzu w roku 1622, a więc bardzo blisko daty budowy organów". Wówczas to,

Dwa manuały.

z mieszczką kazimierską Katarzyną Lichońską, zawarł związek małżeński, co zostało zapisane w stosownych dokumentach, jednakże wzmianki o tym, że zbudował organy, w nich nie znajdujemy (przynajmniej, jak dotąd?). Ostatnio mówi się, że mógł to być Tomasz Gogoliński, jednak najbardziej prawdopodobna wydaje się tu osoba Szymona Liliusza.

Gdy idzie o same już właściwości instrumentu, to wpływ szkół północnych Niemiec i Niderlandów, nie budzi większych wątpliwości. W takim właśnie stylu został zbudowany prospekt z dekoracjami rolwerkowo-okuciowymi, nazywany „Hamburgerprospekt" (od miasta Hamburg). Tak, jak to widzimy – wszystkie sekcje piszczałek, są doskonale wyeksponowane, czym wyróżniały się właśnie instrumenty budowane w miastach hanzeatyckich, a z którymi przecież Kazimierz, jako partner handlu zbożem, utrzymywał wielorakie, ożywione kontakty.

Przywracanie świetności

Aktualna dyspozycja Kazimierskich Organów, a więc zestaw głosów, pochodzi z roku 1781. Tej pierwotnej dokładnie nie znamy, choć wiadomo, że głosów było 36: w pedale, czyli klawiaturze nożnej 13 (w tym jeden 32-stopowy, którego dziś już nie ma) i na dwóch manuałach, odpowiednio: na pierwszym 11, a na drugim 12. Przywołując pewne szczegóły budowy i dokumentację sporządzaną kilkakrotnie, uświadamiamy sobie, że organy w długiej swojej historii były przebudowywane, niekiedy też z konieczności. Tak musiało być po roku 1656, po najeździe Szwedów i po kompletnym ich zniszczeniu. Zanim w roku 1781 przywrócono im pełną sprawność, wcześniej – przynajmniej trzykrotnie, podejmowano naprawy. Później, w latach 1883-84 kolejny remont wykonał Stanisław Kaliszek z Żelechowa. W 1902 r. zamontowano nowe miechy. Wreszcie w roku 1959, firma Dominika Biernackiego z Warszawy, oceniła stan techniczny i sporządziła kosztorys remontu: „Całość organów jest w obecnym okresie katastrofalna - napisano, robak mnożący się atakuje dalsze części drewniane organów, większość głosów i piszczałek jest już unieruchomiona, granie na tych organach jest niemożliwe". I oto nadeszły lata 70. i inicjatywa ks. proboszcza Zdzisława Maćkowiaka, by przez osiem kolejnych lat (1974-82) Pracownia Konserwacji Zabytkowych Organów w Krakowie, mogła przeprowadzić remont generalny. Były też remonty kolejne, w 1998 i 2012 r., które nadzorował Jerzy Kukla.

Mimo owych remontowych „ingerencji" (w najlepszym znaczeniu tego słowa, bo służącym poprawie złego stanu), w Organach Kazimierskich zachowało się wiele elementów autentycznych, m.in. mechaniczna traktura gry, klapowe wiatrownice i większość głosów. Zachował się również oryginalny stół gry z klawiszami w kolorze drewna. Poszczególne głosy włącza się mechanicznie, przy użyciu ozdobnych pociągieł wykonanych z metalu. Obecnie - organy mają 35 głosów o trakturze mechanicznej i wiatrownicach klapowo-zasuwowych. Oba manuały mają tzw. krótką oktawę, co dotyczy także klawiatury nożnej (pedału); dodatkowo, posiadają efekt kotłów, dzwonków i wypustu powietrza. Sekcja pozytywu znajduje się za plecami grającego, ze swoim, wydzielonym zestawem metalowych pociągiel, do uruchamiania poszczególnych głosów.

„Najdonioślejsza sprawa lata"

Dziś Kazimierz roztacza przed nami swoje niepowtarzalne uroki. Najpiękniej pisała o nich Maria Kuncewiczowa. „Miasteczko

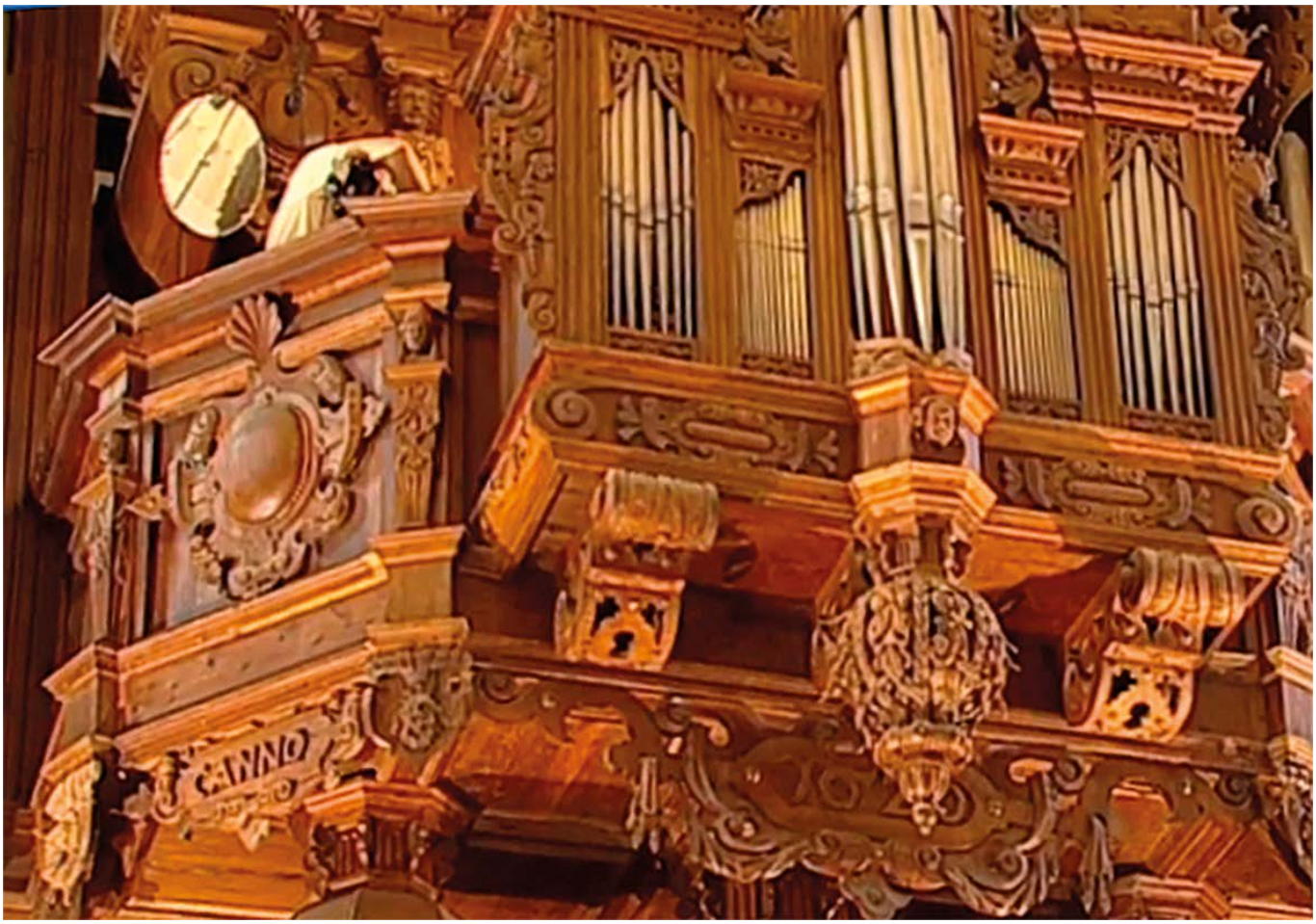

Kartusze z datą

posiada wszystkie cechy reprezentacyjne polskiego krajobrazu i wszystkie uroki dawności. Sięgając swoją pisaną historią do początków XIV wieku, rozsławione imieniem króla chłopów, który podobno kazał wymurować tę prześliczną Farę, prototyp lubelskich kościołów – Kazimierz prezentuje swoje renesansowe kamieniczki w kotlinie nadwiślańskiej na tle wzgórz, pośród dekoracji będących samą najistotniejsza treścią polskości". [Maria Kuncewiczowa „Najdonioślejsza sprawa lata"].

Do owych „uroków dawności„Kazimierza dodamy istnienie, i to od 400 lat, organów, które też, od prawie półwiecza rozbrzmiewają tonem koncertowym, jako jeszcze jedna i jakże wspaniale „doniosła sprawa lata". Tak, jak to było w tym roku - w lipcowe i sierpniowe soboty, gdy do Kazimierza przyjechali mistrzowie gry organowej: Roman Perucki, Julian Gembalski, Arkadiusz Bialic, Marek Stefański, Krzysztof Urbaniak – a z zagranicy Björna O. Wieden, Mathias Boehlert, Gabriele Giacomelli; gdy również wystąpił flecista Łukasz Długosz, skrzypkowie – Maria Perucka i Łukasz Perucki, fagocista Mirosław Pachowicz, wiolonczelista Krzysztof Karpeta oraz sopranistka Milena Sołtys. Zaprezentowali repertuar, który był dla nas swoistą wędrówką po wielu europejskich centrach, w których kultywowano sztukę kompozycji i gry organowej. Poznaliśmy wielkich twórców tej muzyki, reprezentujących tzw. szkoły organowe (północną – Buxtehudego, a wywodzącą się od Sweelincka, czy południową – Frescobaldiego, Frobergera i Pachelbela; także francuską, hiszpańską i inne). Pojawił się także repertuar związany z naszą rodzimą tradycją, wszak wpisuje się w nią m.in. słynna Tabulatura Jana z Lublina – zbiór ponad 300 utworów muzycznych zapisywanych w latach 1537-1548, prawdopodobnie przez zakonnika klasztoru kanoników regularnych w Kraśniku. Są wśród nich m.in. utwory Mikołaja z Krakowa, jak się okazuje, kompozytora, który potrafił tworzyć na wysokim, europejskim poziomie. Bezcenną częścią Tabulatury pozostają liczne tańce, w tym tańce polskie, których prezentacja na organach właśnie kazimierskich, zapewnia niepowtarzalność ich „uroku dawności". Usłyszeliśmy je podczas koncertu inauguracyjnego 4 lipca 2020 r., gdy przy tych organach zasiadł prof. Roman Perucki.

Fot. Tomasz Sikora

Jolanta Knap

Z LUBLINA NA LUBELSKĄ

Każdy jej obraz jest swego rodzaju kontynuacją tradycji malarstwa impresjonistycznego wzbogaconego o rodzimy, lubelski koloryzm.

Piotr Sarzyński napisał w 26 numerze tygodnika „Polityka": „Dobra, choć konwencjonalna sztuka, by wymienić choćby malarskie zmagania z Wisłą Agnieszki Mitury". To fragment recenzji tegorocznej, czerwcowej wystawy ośmiu artystów z Kazimierskiej Konfraterni w Galerii Stalowa w Warszawie. Ale czy tożsamość artystyczna wynikająca także z przynależności do kolonii artystycznej oraz wierność kanonowi, motywom i sobie może być zarzutem? Drobne uszczypliwości w stylu: „W XXI wieku mieć w nazwie Konfraternię to możliwe tylko w Krakowie lub Kazimierzu Dolnym" wskazują na sentyment autora do bractwa-grupy twórców, którego członkiem jest Agnieszka Mitura. Malarka uważa, że idea i tradycja Kazimierza jako kolonii artystycznej jest cenna, że należy szanować historię i więzi między artystami będącymi jej częścią. Miasteczko prócz swoich malowniczych motywów właśnie tym uwodziło wielu twórców. Kazimierz Dolny przyciągnął do siebie też Agnieszkę. Dlatego artystkę z Lublina możemy spotkać w jej galerii przy ulicy Lubelskiej 10.

Jest absolwentką Państwowego Liceum Sztuk Plastycznych im. C. K. Norwida, które jak dzisiaj ocenia, dało jej solidne akademickie

Papierówki, olej, płótno, 38x46 cm, 2019

podstawy. W pierwszej i drugiej klasie malarstwa i rysunku uczyła ją profesor Mirosława Kozan. Była dla niej autorytetem i inspiracją. Liceum plastyczne specjalizowało się w dwóch dziedzinach: wystawiennictwie i formach użytkowych. Wybrała te drugie. Dyplom z „tkaniny" wspomina z uśmiechem: „Nie miałam do tego serca, zamierzenia by przygotować pokaźnych rozmiarów formę kurczyły się i format pracy dyplomowej także. Entuzjazm gasł, a tkaniny nie przybywało. Robótki manualne nie były moim żywiołem. Zdecydowanie wolałam malować". Postanowiła więc studiować na ASP w Gdańsku.

„Razem z dwoma koleżankami z klasy, tworzyłyśmy grupkę towarzyską. Trzy Agnieszki jeździły na praktyki do Teatru Muzycznego w Gdyni. Jeździłyśmy pociągami i rozmawiając godzinami, układałyśmy szczęśliwe scenariusze naszego życia". W pracowni malarskiej tworzyły scenografie, w jednym roku do „Nędzników", w drugim do „Skrzypka na dachu". „Do naszych obowiązków należało głównie mycie pędzli i… bieganie po papierosy, najlepiej Yugo, a kiedy zdobyłyśmy paczkę czy karton, dawali nam wolne" – wspomina. „Na Wybrzeżu urzekło mnie morze, przestrzeń, horyzont, chmury i nowo poznane środowisko alternatywnej sztuki i muzyki". Wybór uczelni w Gdańsku był więc oczywisty. Mniej oczywista stała się przyszłość, kiedy nie dostała się na studia.

Agnieszka z poczuciem porażki wróciła do Lublina. Rozpoczęła studia w Instytucie Wychowania Artystycznego UMCS i po kilku latach znalazła pracę w Teatrze im. J. Osterwy. Dzisiaj wspomina ją z dużym sentymentem. Dziewczyna, bez doświadczenia, staje przed wyzwaniem przygotowania scenografii na wielką scenę. Widzi przed sobą ogromne formaty kulis, bryły konstrukcji, które należy pokryć kolorem i stworzyć iluzję domów, uliczek, światów. Nie miała wtedy poczucia, że kiedykolwiek będzie tylko malować, że malarstwo stanie się dla niej artystyczną przygodą życia.

W tym czasie Agnieszka Mitura zaczyna częściej bywać w Kazimierzu Dolnym. Obserwuje artystów, którzy na przełomie XX i XXI w. tworzą bohemę, są bractwem, kręgiem towarzyskim. Byli starsi i imponowali jej swoim otwartym stosunkiem do życia i sztuki. To wtedy pojawiła się odważna, trochę szalona myśl o stworzeniu galerii. Sama maluje cały czas w swojej pracowni w Lublinie. Wciąż bardziej dla siebie niż dla kogokolwiek innego. Pozostaje w kręgu motywów akademickich. Wie, że warsztat można wypracować, wrażliwość

Niebo nad łąką, olej, płótno, 14x28 cm, 2019

poszerzyć i pielęgnować, rozwój natomiast jest z nich najtrudniejszy. Pejzaż otwartej przestrzeni łąk nad Wisłą poddaje jej, mocno zdawałoby się eksploatowany w tradycji motyw rzeki i chmur.

Dr Waldemar Odorowski, historyk sztuki, honorowy prezes Kazimierskiej Konfraterni Sztuki, tak mówi o malarstwie Mitury:

„Chmury w malarstwie to nie nowość, malowano je od wieków, w obrazach holenderskich malarzy XVII w. były często głównym motywem. Tam były jednak raczej wypełnieniem, istotne było zetknięcie się nieba i ziemi, linia horyzontu, która wyznaczała bezkres. Agnieszka Mitura maluje chmury w ich samoistnym bycie, ich milczącą trwałość i znikanie, ciągłe przekształcanie się. Podobnie jest w przypadku rzeki, która często pojawia się na jej obrazach. Rzeka staje się osobnym żywiołem, skupionym na sobie i istniejącym poza czasem, poza tym, co dzieje się obok".

Tak natomiast o malarstwie Mitury mówi Łukasz Wiącek, kulturoznawca, historyk sztuki: „Każdy obraz jest pewnego rodzaju kontynuacją tradycji malarstwa impresjonistycznego wzbogaconego o rodzimy, lubelski koloryzm. W rezultacie możemy podziwiać pejzaże skonstruowane z wzajemnej relacji koloru oraz światła. Poprzez wyważone akcentowanie barwy i jednoczesne łagodzenie formy i linii, artystka nadbudowuje narrację krajobrazów o kontemplacyjnym nastroju, który emanuje rozległym spokojem".

W 2004 r. Agnieszka Mitura otwiera Galerię MIT przy Lubelskiej 10, tuż obok galerii Jerzego Gnatowskiego, znanego pejzażysty. „Nie robił mi korekt, ale po prostu mówił o malowaniu". Wspomina, że świadomie korzystała z jego warsztatu, chociaż nigdy nie miała pokus, by go naśladować. Szukała swojego wyrazu.

Powodzenie, jakim cieszyła się galeria na Lubelskiej 10, było impulsem do otwarcia drugiej galerii przy ul. Senatorskiej. Obszerne, podziemne pomieszczenia pozwalały na organizację większych wystaw, np.: cyklu w ramach projektu „Kazimierz bywa kobietą". Odbyły się także, organizowane 8 marca, trzy edycje wystaw zaprzyjaźnionych artystek malarek. Agnieszka zrealizowała też pomysł Krzysztofa Raczyńskiego „Krzyra" – cykl wystaw „Ars Seniorum". Zamierzenie, by prezentować dorobek twórczy artystów, którzy stali się legendą Kazimierza, zakończył się na dwóch wystawach: „Krzyra" i Daniela de Tramencourta. Szybko jednak zrozumiała, że organizacja takich wydarzeń odciąga ją od rzeczy najważniejszej - własnej

twórczości. Chciała odzyskać czas na malowanie, a to oznaczało zamknięcie jednej z galerii. Została więc Lubelska 10, trochę ciasne wnętrze i ogródek otwarty na ulicę i ludzi. Za ścianą jest galeria wybitnego pastelisty Marka Andały, z którym ma wręcz intuicyjne porozumienie.

Pierwszy obraz, wizerunek Wisły, pokazała na międzynarodowej wystawie „Water in de Kunst" w Tervuren w Belgii w 2011 r. Odtąd powstało ich wiele, często zatytułowanych, po prostu „Wisła – zmierzch", czy „Wisła w Bochotnicy". Był czas, że „zamykała" rzekę w kwadracie 80 na 80 cm. Malowała lustro wody, z wysoko lub nisko zawieszoną linią horyzontu. Kiedy ta opadała, na płótnie pozostawała przestrzeń dla nieba, lżejszych i cięższych chmur. Malowała je w plenerze lub rejestrowała aparatem fotograficznym. Finał jest zawsze ten sam. Farby wyciskane na paletę, posłuszna oku ręka i dwuwymiarowy blejtram nabiera głębi i ekspresji.

„Gdy poświęcimy dłuższą chwilę jej malarstwu, dostrzeżemy zmaganie się sił natury - woda zaczyna przybierać ciemno ugrowo-zielone odcienie i tylko na pozór płynie spokojnie, odbijając porośnięte tatarakiem brzegi. Z kolei ogromne przestrzenie nieba stają się polem bitwy wiatru i przewagi cumulonimbusów nad nimbusami, sygnalizujących nadchodzący deszcz po upalnym dniu. Panta rhei - nie ma rzeczy o stałych właściwościach, dlatego warto dostrzec piękno przyrody zatrzymane na płótnach Agnieszki Mitury" – mówi Łukasz Wiącek.

Agnieszka Mitura swoje prace prezentowała na kilkudziesięciu wystawach zbiorowych i indywidualnych. Jej obrazy znajdują się w licznych kolekcjach prywatnych w kraju i za granicą: w Australii, USA, Niemczech, Wielkiej Brytanii. Od 2001 r. jest członkiem Związku Polskich Artystów Plastyków i Kazimierskiej Konfraterni Sztuki. Od 2008 r. zorganizowała wiele swoich wystaw: w Kazimierzu Dolnym, Puławach, Lublinie, Gorzowie Wielkopolskim, Częstochowie, Sulejówku, Poznaniu, Mosinie, Gdańsku. W 2015 i 2017 r. wzięła udział w wystawie charytatywnej „Bliźniemu Swemu" w warszawskiej Zachęcie, w 2018 r. w międzynarodowym 38 Salonie „Tous dans la ronde" Douai, Francja (razem z „Krzyrem"). Warto też wspomnieć o wystawie „Pejzażyści – malarze przestrzeni" w „Galerii pod schodami" w Poznaniu, o udziale w 10 Międzynarodowym Biennale Miniatury w Częstochowie i wystawie pokonkursowej, o wystawie zbiorowej w Filharmonii Bałtyckiej.

Węgierki, olej, płótno, 38x46 cm, 2019

Jabłka od Olgi, olej, płótno, 40x80 cm, 2017

Czereśnie, olej, płótno, 33x41 cm, 2020

Pejzaż 3, olej, płótno, 33x41 cm, 2017

Cisza, olej, płótno, 20x40 cm, 2019

Rozmowa z **Agnieszką Miturą,** artystką malarką

TROCHĘ ŚWIATA NA MAŁEJ POWIERZCHNI

Opowiedz na początek o Twoich ulubionych malarzach?

Paul Cezanne, Teresa Pągowska, Mark Rothko, Józef Pankiewicz, Jan Stanisławski, Tadeusz Dominik, Andrzej Wróblewski, Aleksander Gierymski, Amadeo Modigliani – duży rozrzut...i mogę wymienić jeszcze wielu. Oczywiście z czasem zmienia się perspektywa oceny malarstwa. Mniej buntu, więcej szacunku dla mistrzów i … pokory.

A których malarzy nie lubisz?

Może nie tak dosadnie, że nie lubię, powiedziałabym raczej nie przepadam za twórczością Jacka Malczewskiego. Coś mnie w niej „uwiera". Może jego zadęcie, narracja? Oczywiście cenię warsztat. Przez te historie naładowane symbolami wiele lat krzywo patrzyłam na Jana Matejkę. Może dlatego, że w szkole uchodził wręcz za narodowego malarza, który opowiadał w swoich obrazach dzieje Polski, był trochę taki obowiązkowy. Miałam nawet do niego duży uraz. Ale jak parę lat temu zobaczyłam na żywo jego portrety, to oniemiałam. To jest kawał malarstwa najwyższej próby. Absolutne mistrzostwo świata!

W Twoich obrazach niektórzy dopatrują się wpływu Jerzego Gnatowskiego, świetnego pejzażysty, jednego z najbardziej znanych malarzy Kazimierza Dolnego? Czy zgadzasz się z tą opinią?

Wpływ to nie najlepsze określenie, po prostu dużo się od niego nauczyłam. Jerzy chętnie dzielił się swoją wiedzą, radością malowania, pasją. Z dużą uwagą słuchałam jego rad, korekt i opowieści o malowaniu. Kiedy wchodziłam do jego galerii i patrzyłam na świeżutkie obrazy prosto z pleneru, spod pędzla, to malowanie wydawało się najprostszą, najbardziej naturalną rzeczą na świecie. Utwierdził mnie też, zdawałoby się, w dość banalnym przekonaniu, że trzeba malować tak, jak się czuje, że nie trzeba się szczególnie wyróżniać, żeby malować po prostu dobrze. Pamiętam jedno z jego spostrzeżeń dotyczące formatu obrazu. Nie rozumiał, dlaczego młodzi malarze mają tendencje do tworzenia dużych formatów. A te maluje się stosunkowo łatwo, bierze się duży pędzel i leci, mówiąc kolokwialnie. Ale zakomponowanie czegoś na małym płótnie wcale nie jest takie łatwe. Okazuje się, że na małej powierzchni bardzo trudno zmieścić trochę świata. Ale warto, przy okazji wspomnieć, że Jerzy często malował w samochodzie, który traktował jak objazdową pracownię, więc podobrazia nie mogły być zbyt duże.

Jesteś pejzażystką, malujesz też martwe natury. A dlaczego nie portrety?

Bo malowanie ich jest najtrudniejsze. Odczytać emocje modela, ująć jego charakter, ubrać to w dobrą formę – to dość złożony proces. Wolę pejzaż, który daje malarzowi dużo większą swobodę interpretacji. Martwa natura to trochę odpoczynek, przyjemność obserwacji przedmiotu, jego urody.

W malarstwie unikasz komercji i nie idziesz na łatwiznę. Twoja twórczość jest rozpoznawalna. Ludwik Grzeniewski w książce „Warszawa Aleksandra Gierymskiego" napisał takie ładne zdanie, że Gierymski potraktował sztukę serio, więc sztuka potraktowała go tak samo. Mam wrażenie, że Agnieszka Mitura też traktuje sztukę poważnie.

Mam taką nadzieję. Maluję, bo lubię, maluję, bo sprawia mi to przyjemność, maluję, bo to mój zawód. Kiedy maluję, to nie myślę, że ten obraz będę sprzedawać. Oczywiście praca zawiśnie potem w galerii, na wystawie, będzie do kupienia. Czy unikam komercji? Nie wiem. Nie dopasowuję się do oczekiwań odbiorców. Staram się być szczera w swoich obrazach. Maluję je również dla siebie. Często chodzę w plener. Interesują mnie wzajemne relacje koloru i światła w pejzażu. Maluję też ze zdjęć, oczywiście tylko przez siebie wykonanych. Poza tym nie maluję miejsc, w których nie byłam. Miejsce trzeba poznać, wiedzieć jak wygląda w świetle dziennym, ale też wieczorem. Po co malować czereśnie w listopadzie ze zdjęcia? Da się, ale po co? W galerii często pojawiają się ludzie, którzy patrząc na jakiś obraz pytają: a ile razy pani ten motyw namalowała? Wtedy odpowiadam, że zazwyczaj trzy. Pierwszy raz z zachwytu, drugi raz, bo motyw jest już bardziej przemyślany, ale ciągle jeszcze świeży, a trzeci raz, bo byłam z niego zadowolona. Zmierzam do tego, że tworzenie kolejnych wersji tego samego nie ma dla mnie sensu, motyw jest już wypalony i w obrazie nie ma energii. Próbowałam. Mnie to nie wychodzi. Na marginesie dodam, że kazimierscy malarze mają w Polsce, niestety, opinię twórców stricte komercyjnych.

Dlaczego poświęciłaś się malarstwu olejnemu, a na przykład nie akwarelowemu, czy pastelowemu?

Olej daje mi najwięcej możliwości formalnych: laserunkowo, kryjąco, impast, nasycenie, mocno, delikatnie itd. Jest bardzo „bogaty". Czas pracy nad obrazem olejnym jest (może być) dłuższy, to znaczy można go dłużej opracowywać, pogłębić kolor, przygasić, nasycić. Pastel? Jak za ścianą ma się takich pastelistów jak Marek i Marta Andałowie, to nie sięga się już po pastel. Akwarele maluję…

Rzeka 1, olej, płótno, 30x50 cm, 2015

do szuflady. Nie mam podzielności uwagi. Skupiam się na jednym i staram się to dobrze robić.

A więc czym jest w Twoim przypadku malowanie? Zawodem czy pasją?

Jednym i drugim. Kształcisz się w danym kierunku – zawód. Lubisz to co robisz – pasja. Utrzymujesz się z malowania – jesteś malarzem. A czy artystą ? W powszechnej opinii artysta, to nie zawód. Każdy przecież coś, kiedyś malował. Nie każdy budował dom, czy operował wyrostek. Istnieje też taka romantyczna wizja artysty malarza: głodny, biedny, roztargniony…no i pijany. Często w galerii padają pytania: a da się z tego żyć? A ile to pani zajmuje czasu ? Czasem nawet bliskich trudno przekonać, że to zajęcie na pełny etat albo nawet kilka. To wymagająca, bardzo przyjemna praca, pasja i część osobowości.

Opowiedz, jak powstają Twoje obrazy?

Najczęściej sama przegruntowuję gotowe już płótna i zakładam imprimaturę – kładę jakiś kolor na biel blejtramu. Farba bezpośrednio na bieli świeci zupełnie inaczej. Mam oczywiście swoje nawyki i rytuały malowania. Zaczynam malować, robię szybki szkic, który od razu rozmalowuję. Jeśli jestem w pracowni zawsze wtedy włączona jest muzyka. Maluję w starych ubraniach, w które bez obaw mogę wytrzeć upapraną rękę czy pędzel. Bardzo często odruchowo, jakby bez świadomości, robi się takie rzeczy. Nie mam ulubionych firm produkujących farby. Jedni mają piękne błękity, inni zielenie. Moja paleta jest kompilacją farb wielu marek. Pracownię mam w małym mieszkaniu. Trudno mi więc wyizolować się od życia rodziny. Z tego powodu często pracuję późno w nocy. Jak się dobrze maluje, to czas nie istnieje. Odseparowanie się od świata zewnętrznego jest mi do pracy bardzo potrzebne, wręcz konieczne. Malarstwo, to przecież w pewnym sensie sztuka samotności.

Co jest najtrudniejsze w malowaniu?

Wiedzieć, kiedy skończyć. Lepiej obrazu nie dokończyć, niż go „przedobrzyć". Malowanie w plenerze narzuca szybkie tempo pracy, co sprzyja świeżości obrazu. Czasem dobrze robi też termin (na przykład zbliżającej się wystawy) – szybciej podejmuję wtedy decyzje, nie skupiam się na detalu, myślę całością. Trzeba też przestać myśleć innymi obrazami. Słyszałam kiedyś zdanie, że malarz powinien zapomnieć o wszystkich dziełach malarskich, jakie w życiu widział. Coś w tym jest. Wtedy powoli zaczynasz myśleć tylko swoimi obrazami, tworzysz swój „charakter pisma", styl.

Jest taka opinia, że malarz nie powinien pokazywać swoich złych obrazów. Tymczasem galerie Kazimierza Dolnego, niestety, pełne są takich płócien. Z czego to wynika?

Janusz Szpyt, artysta malarz:

Z malarstwem Agnieszki miałem okazję zetknąć się w trakcie pleneru w Kazimierzu nad Wisłą. Miałem wrażenie, że w jej malarstwie zetknąłem się z esencją tego miejsca i nie chodzi mi o dosłowność ikonograficzną. Agnieszka maluje powietrze, pory dnia, światło i wszystko to, co stanowi o wyjątkowości tego miejsca, tak lubianego przez artystów, ale nie tylko to, co ją otacza, ale i to, co na nią wpływa – na jej zachwyt, podziw i pokorę wobec dzieła stworzenia. Świadczy to o wielkości i autentyczności Jej sztuki.

Pejzaż zimowy - olej, płótno, 40x50 cm, 2018

Galerie kazimierskie w większej części uzależnione są od gustów klientów. A o gustach się nie dyskutuje. Są jakie są. Obrazy, by się sprzedać, muszą zadowolić potencjalnych kupców. Jeśli się sprzedają, utwierdza to autora, że maluje dobrze. Jedynym kryterium oceny staje się sprzedaż. Wielu malarzy tkwi więc w samozachwycie, brak im dystansu do tego co robią i autokrytycyzmu.

Piotr Naliwajko, znakomity malarz, kilka lat temu w jednym z wywiadów powiedział, że malarstwo wciąż ludzi fascynuje, ponieważ ktoś za pomocą prostych narzędzi potrafi zrobić coś, czego nie potrafią zrobić inni. Czy rzeczywiście malarstwo wciąż fascynuje ludzi? Czy wśród odwiedzających Twoją galerię odczuwasz to, o czym wspomniał Naliwajko?

Oczywiście zawsze będą ignoranci, którzy nic nie czują, patrząc na obrazy. Zresztą podobnie jest z muzyką i innymi dziedzinami sztuki. Ale wciąż zdarzają się tacy, co wchodzą i mówią "wow!" Dostałam niedawno, podczas tej nieszczęsnej izolacji, przemiłego esemesa od osoby, która kupuje moje obrazy. Napisała, że właśnie teraz z wielką przyjemnością na nie patrzy, że cały czas ją fascynują i cieszą. To taka wartość dodana w tej pracy. Nagle ktoś, w zasadzie nieznajomy, odczuwa w trudnym dla wszystkich czasie potrzebę podzielenia się z autorem swoimi przemyśleniami i emocjami. No właśnie, kilka farbek, pędzel, kawałek płótna i powstaje nowy świat, który kogoś zachwyca na tyle, że musi się tym zachwytem podzielić.

Pewien znany polski pisarz powiedział m. in., że nie wierzy w malarstwo, bo jest to martwe królestwo, gdzie nic się nie rusza. Pędzel nie jest w stanie oddać aspektu plastycznego świata. Świat bowiem to forma w ruchu. A wy, pisał zwracając się do malarzy, na płótnach skazujecie naturę na paraliż odbierając kształtowi jego życie: ruch. Mam na myśli ruch prawdziwy – pisał, nie zaś sugestię ruchu, jaką daje malarz szkicując np. skaczącego konia. Co Ty na to?

Nie przepadam za Gombrowiczem. Nie brzmi to dobrze. Cenię, ale nie przepadam. Koniec, kropka.

Czy masz ulubione tematy? Czy wracasz do jakichś kadrów, motywów pejzażowych?

Oczywiście. Mam. Wisła. Woda. Niebo. Szczególnie w Kazimierzu, Bochotnicy, Męćmierzu. W tych przestrzeniach nieustannie mnóstwo się dzieje. Można codziennie stać w tym samym miejscu i za każdym razem zobaczyć coś innego. Ten sam kadr, a inny obraz.

Nad Wisłą - olej, płótno, 50x60 cm, 2016

Dlatego, między innymi malowanie mnie bawi, cały czas napotykam na coś nowego.

Kazimierz Dolny owiany jest legendą o malarzach. Czy odwiedzający Twoją galerię mają jej świadomość i wiedzę o niej? Jak wygląda codzienność właściciela kazimierskiej galerii obrazów?

Trochę już o tym mówiliśmy. Z wiedzą o przeszłości jest kiepsko. Nie wiem, z czego to wynika. Dziś nie ma przecież problemów z dostępem do informacji o miejscu, które się odwiedza. W Kazimierzu 90 procent odwiedzających wciąż jest zaskoczonych, że tyle tu obrazów. Skąd i dlaczego akurat tutaj? Dlaczego tyle jest galerii? Więcej niż sklepów spożywczych. Myślę, że ten brak wiedzy w ostatnich latach wynika, między innymi, ze zmiany w strukturze społecznej turystów odwiedzających miasteczko. Nie ten target – jak mówi mój syn. Historia artystycznego Kazimierza dotyczy czasów przedwojennych i powojennych, gdzieś do końca lat dziewięćdziesiątych zeszłego wieku. Niestety, dla większości to już zbyt odległe czasy i trzeba amatora, żeby się nią interesował. Dziś ludzie przyjeżdżają do Kazimierza na krótko, nie mają w sobie ciekawości, otwartości. Gdzie można zjeść, jak wejść na Górę Trzech Krzyży, i gdzie jest apteka – to najczęściej zadawane pytania w sobotę i niedzielę. Szybko oblecą rynek, okoliczne uliczki, coś zjedzą, wypiją i wyjeżdżają. Na rynku kłębi się tłum ludzi, tymczasem na ul. Lubelską, kilkadziesiąt metrów dalej, gdzie są galerie, mało kto się zapuszcza. Na szczęście nie dotyczy to jeszcze wszystkich.

Rozmawiał Wojciech Kiss-Orski

AGNIESZKA MITURA ukończyła Państwowe Liceum Sztuk Plastycznych w Lublinie, następnie studiowała w Instytucie Wychowania Artystycznego UMCS. W 1997 r. obroniła dyplom z malarstwa. Od 2001 r. jest członkiem Związku Polskich Artystów Plastyków i Kazimierskiej Konfraterni Sztuki. W Kazimierzu Dolnym przy ul. Lubelskiej prowadzi swoją galerię.

Zmierzch - olej, płótno, 18x24 cm, 2019

Zima - olej, płótno, 30x50 cm, 2017

Bogdan Rokicki

SPOŁECZNOŚĆ KAZIMIERZA DOLNEGO

w malarstwie i grafice Pierwszej Rzeczpospolitej (monarchii stanowej)

Malarze od dawna pojawiali się w Kazimierzu. Jednych sprowadzał tu obowiązek, na przykład królewskie zlecenie, jak Zygmunta Vogla. Innych, malownicze połączenie architektury i przyrody. Jeszcze innych, światło przyrównywane do tego w Paryżu. Odwiedzali miasteczko ci wielcy, a także ci, dla których obecność tutaj była zawodową lub towarzyską powinnością, źródłem nauki, czasem zarobku. Rezultatem tych spotkań z Kazimierzem były głównie pejzaże, zazwyczaj miejskie z dodatkiem, w różnych proporcjach, przyrody. Rzadko, żeby nie powiedzieć, niezmiernie rzadko bohaterami „kazimierskich" obrazów byli jego mieszkańcy, czy osoby z nim formalnie związane, ich portrety i sceny z ich codziennego życia. Malarskie kompozycje, które powstawały w miasteczku, nawet te najbardziej profesjonalne, nie były opowieścią o żyjących tu ludziach, o kazimierskiej społeczności, jej składzie socjalnym, zawodach, zajęciach, obyczajach, a nawet o ubiorach czy wyglądzie. Twórczość malarzy nie wychodziła najczęściej poza formułę pleneru, a powstające dzieła poza gatunek pejzażu. Nieliczne są sceny rodzajowe z udziałem Kazimierzan. Ich sylwetki pojawiają się zazwyczaj na drugim i dalszych planach, często jako sztafaż służący ożywieniu pejzażu. Nic zatem dziwnego, że w katalogu obrazów stanowiących przez wiele lat ekspozycję stałą Muzeum Nadwiślańskiego w Kazimierzu Dolnym[1] na blisko dwieście pokazanych tam prac tylko na trzydziestu kilku można dostrzec postacie przedstawicieli tutejszej społeczności.

Szczególnie skromny jest dorobek malarski przedstawiający kazimierską społeczność w czasach monarchii stanowej – w okresie Pierwszej Rzeczpospolitej, wyznaczonym konkretnymi wydarzeniami i datami: z jednej strony, zjednoczeniem państwa przez Władysława Łokietka po rozbiciu dzielnicowym i jego koronacją w 1320 roku, z drugiej – datą trzeciego rozbioru Polski w 1795 r. Malarski portret kazimierskiej społeczności w tym okresie czeka jeszcze na zrekonstruowanie. Poniższy tekst jest próbą przybliżenia tej tematyki i w żadnym stopniu jej nie wyczerpuje.

[1] Zob. katalog w: *„Kolonia artystyczna w Kazimierzu Dolnym XIX-XXI w. przewodnik po wystawie stałej w Kamienicy Celejowskiej."* Waldemar Odorowski (red.) Muzeum Nadwiślańskie w Kazimierzu Dolnym, Kazimierz Dolny 2005.

Miasto

W monarchii stanowej, która zaczęła kształtować się w Polsce w początkach XIV wieku władza monarchy, traktowanego wcześniej jako centrum polityczne i gospodarcze państwa oraz oczywistego dziedzica terytorium, doznaje ograniczenia na rzecz konkretnych grup społecznych (stanów), a mianowicie: wywodzącej się z rycerstwa szlachty, duchowieństwa oraz mieszczaństwa. Odrębny status prawny uzyskują także niektóre grupy etniczno-wyznaniowe, zwłaszcza Żydzi i Ormianie.

Treść i zakres pozycji prawnej wskazanych grup społecznych określały nadania, immunitety i przywileje udzielane przez monarchę. W przypadku stanu mieszczańskiego głównym aktem prawnym definiującym jego status był akt lokacyjny *„stanowiący wyraz prawny wyodrębnienia miasta z pozostałego terytorium, a mieszczaństwa jako stanu z pozostałej ludności kraju."*[2] W Pierwszej Rzeczpospolitej regułą była lokacja na prawie niemieckim[3]- w centralnej części kraju magdeburskim, na północy lubeckim.

Źródła na temat początków miasta Kazimierza są nader skąpe, zaś poglądy badaczy w tej kwestii sprzeczne.[4] To, co wydaje się jednak niewątpliwe, a przynajmniej bardzo prawdopodobne, to fakt, że początki osadnictwa w tym rejonie miały miejsce w pierwszej połowie XIII wieku, zaś początki osady miejskiej w drugiej połowie tamtego stulecia. Dyskusyjna jest natomiast kwestia daty i treści lokacji. Zdecydowana większość stanowisk wiąże ten fakt z osobą króla Kazimierza Wielkiego.[5] Nawet ci, którzy dopuszczają możliwość

[2] Juliusz Bardach, Bogusław Leśnodorski, Michał Pietrzak *„Historia ustroju i prawa polskiego"* , Wydawnictwa Prawnicze PWN, Warszawa 1998 s. 48.

[3] Tamże s.12.

[4] Zestawienie najważniejszych teorii na ten temat zawiera opracowanie Katarzyny Pisarek-Małyszek *„Z dziejów Kazimierza Dolnego w* średniowieczu" , Towarzystwo naukowe KUL, Lublin 2009 s. 15 i nast. oraz zawarta tam literatura.

[5] Tak m.in. Katarzyna Pisarek-Małyszek op.cit.s.103, Henryk Rutkowski „*Kazimierz Dolny: krajobraz i architektura"*, Wydawnictwo „Arkady", Warszawa 1963 s. 15-16 oraz „*Desyderia* " miasta Kazimierza z 1792 r. przywołane w : Jadwiga Teodorowicz-Czerepińska „*Kazimierz Dolny. Monografia historyczno- urbanistyczna*", Towarzystwo Przyjaciół Kazimierza, Kazimierz Dolny 1981 s. 21.

wcześniejszego lokowania miasta przez Władysława Łokietka na prawie polskim[6], przyznają, że formalne podstawy nabycia przez Kazimierz statusu miasta stanowiła lokacja na prawie magdeburskim dokonana przez Kazimierza Wielkiego. Miała ona prawdopodobnie miejsce w latach czterdziestych XIV wieku.[7]

Społeczność

Nie zachował się akt lokacyjny Kazimierza Dolnego, prawdopodobnie zawłaszczony i ukryty przez Mikołaja Firleja. Trudno zatem o precyzyjne określenie ówczesnego składu społeczności Kazimierza Dolnego. Aktem lokacyjnym, wydanym w 1335 r. przez Kazimierza Wielkiego dysponuje natomiast „bliźniaczy" Kazimierz krakowski[8]. Posiłkując się jego treścią oraz treścią najbliższych „terytorialnie" Kazimierzowi Dolnemu dokumentów, takich jak: przywilej lokacyjny Lublina z 1317 r.[9], akt sprzedaży wójtostwa dziedzicznego w Lublinie przez Kazimierza Wielkiego z 1342 r.[10], akt relokacyjny Wąwolnicy z 1448 r.[11] oraz treścią wprowadzenia do zbioru archiwalnego *„Akta miasta Kazimierza Dolnego"*[12] można przyjąć, że struktura organizacyjna i społeczna Kazimierza Dolnego ukształtowana została na następujących zasadach: Kazimierz był miastem królewskim, którego właścicielem był monarcha. Miasto miało samorząd, w którego skład wchodzili: sprawujący najwyższą władzę w mieście i zarządzający nim dziedziczny wójt, ława oraz rada miejska ze stojącym na jej czele burmistrzem. Miasto otrzymywało prawo organizacji cotygodniowego targu powszechnego, a osiedleni w nim obywatele przewidziane prawem magdeburskim prawa i uprawnienia powszechne oraz osobiste, w tym m.in. określoną przepisami aktu wolność handlu i wolność żeglugi po Wiśle. Rzemiosło było zorganizowane w strukturę cechową. Zgodnie z ustrojem monarchii stanowej, akt akcentował właścicielską rolę króla, wyłączał inne stany, w tym duchowieństwo, od korzystania z praw przyznanych mieszczanom, a także wymieniał niektóre zawody mieszczan, jak m.in. karczmarz, piekarz, szewc, czy rzeźnik. W pozostałym zakresie akt odsyłał do przepisów prawa magdeburskiego.

Pewne korekty w strukturze organizacyjnej i społecznej miasta nastąpiły wraz z wprowadzeniem na Lubelszczyźnie w początkach XVI w.[13] urzędu starosty oraz ustanowieniem w Kazimierzu starostwa niegrodowego. Starostowie stali się od tego czasu, aż do 1795 r. dzierżawcami (tenutariuszami) dobra królewskiego, jakim było miasto oraz głównymi przedstawicielami władzy królewskiej i zarządcami miasta. Jak podnosi się w piśmiennictwie *„wójtostwo kazimierskie co najpóźniej na przełomie XV i XVI wieku (...) w praktyce zostało złączone ze starostwem, tak że odtąd aż do upadku dawnej Rzeczpospolitej wójtem był każdorazowy starosta."* [14].

Pierwszy obywatel

Król był właścicielem miasta i przez to wchodził w skład jego społeczności, jako najważniejszy podmiot, decydujący o losach tej społeczności, a jednocześnie żywotnie zainteresowany w jej dobrej organizacji i pomyślnym rozwoju przynoszącym mu wymierne korzyści finansowe w postaci różnorodnych danin.

Nie zachowały się i prawdopodobnie nie powstały wizerunki Kazimierza Wielkiego za życia monarchy. Znane dzieła rzeźbiarskie przedstawiające jego podobiznę na płycie nagrobnej w Katedrze Wawelskiej oraz na zworniku w „Sali gotyckiej" Kamienicy Hetmańskiej w Krakowie, wykonane zostały już po jego śmierci i przedstawiały wyidealizowany, a nie rzeczywisty portret króla. Również wszystkie jego malarskie i graficzne portrety są tylko efektem wyobraźni ich autorów.

Pewnym wyjątkiem na tym tle jest portret w ołówku Kazimierza Wielkiego wykonany przez Jana Matejko do przygotowywanego przez niego pocztu królów i książąt polskich. Wprawdzie portret ten powstał dopiero w końcu XIX stulecia, ale Matejko tworząc go miał do dyspozycji nie tylko własną wyobraźnię, lecz także znaleziska będące rezultatem przeprowadzonej w 1869 r. ekshumacji szczątków króla.

Il.1. Jan Matejko, portret króla Kazimierza Wielkiego 1890-92, rysunek ołówkiem. Il.2. Jan Matejko, szkic ołówkiem czaszki Kazimierza Wielkiego, 1869 (http;//historia.org.pl).

Malarz otrzymał możliwość obejrzenia wnętrza grobu ze szczątkami monarchy oraz insygniami władzy (miedzianą koroną,

[6] Twierdzenie o lokacji na prawie polskim opierało się na błędnym uznaniu, że dokument Władysława Jagiełły z 1406 r. przenoszący Kazimierz z prawa polskiego na prawo magdeburskie dotyczy Kazimierza Dolnego, podczas gdy z ostatnich badań wynika, że odnosi się on do Kazimierza Górnego tj. krakowskiego. Co także istotne, Łokietek lokował w 1317 r. Lublin na prawie magdeburskim, a nie na polskim.

[7] Zob. Katarzyna Pisarek-Małyszek op.cit.s.103 oraz przywołane tam opracowanie prof. H.Samsonowicza.

[8] Tekst aktu zob. Franciszek Piekociński „Kodeks Dyplomatyczny Miasta Krakowa 1253-1506", nakład Krakowskiej Akademii Umiejętności w Krakowie, Kraków 1879 r., część pierwsza s.19. Tłumaczenie fragmentów dokumentu na j. polski wg Stefana Świszczowskego na stronach: http://muzhp.pl/pl/e/1838/lokacja-miasta-kazimierza-pod-krakowem oraz na: kazimierz.com.

[9] Tekst na www.teatrnn.pl/lublinwdokumencie.

[10] Tamże.

[11] Akta miasta Wąwolnicy, dokument, 1448, Księgi radzieckie i wójtowsko-ławnicze, Archiwum Państwowe w Lublinie https://www.szukajwarchiwach.gov.pl/ru/zespol/-/zespol/1910

[12] Archiwum Państwowe w Lublinie zbiór „ Akta miasta Kazimierza Dolnego" sygnatura 35/37/0.

[13] Urząd starosty został wprowadzony w Polsce przez Wacława II w początkach XIV w. jednak na Lubelszczyźnie przyjął się dopiero dwa wieki później.

[14] Henryk Rutkowski op. cit s. 17.

Il.3. Autor nieznany, „Portret Mikołaja Firleja, kopia z początku XIX w. (Muzeum Nadwiślańskie w Kazimierzu Dolnym, Oddział w Janowcu). Il.4. Autor nieznany „Portret Marii Amalii Mohylanki", I poł. XVII w.

pozłacanym berłem, jabłkiem i złotym pierścieniem), a także pozostałości odzieży m.in. resztek tkanin i srebrnych guzików. Artysta utrwalił ten obraz w olejnej pracy z 1869 r. *„Wnętrze grobu Kazimierza Wielkiego"*[15] Wykonał również kilka szkiców czaszki króla[16]. Wszystkie te materiały wykorzystał następnie do sporządzenia portretu monarchy zbliżając w znacznym stopniu jego wizerunek do tego rzeczywistego.

Szlachta

Kazimierz był miastem królewskim nie należał więc do żadnego z rodów rycerskich, protoplastów stanu szlacheckiego, w przeciwieństwie do pobliskiej Bochotnicy, która według źródeł średniowiecznych stanowiła w XIV wieku własność rycerską należącą do przodków rodziny Firlejów.[17] Przedstawiciele stanu szlacheckiego byli jednak obecni w strukturze społecznej miasta i to na jej najwyższych szczeblach. Król nie wykonywał osobiście przypisanego sobie wójtostwa lecz przekazywał jego realne pełnienie innym osobom, dobieranym właśnie spośród przedstawicieli szlachty. W XV wieku kazimierskie wójtostwo/starostwo pozostawało w rękach rodu Ostrowskich.[18] Od 1510 r. starostwo kazimierskie było przedmiotem dzierżawy na rzecz Mikołaja Firleja, zamienionej w 1519 r. na dzierżawę dożywotnią dla niego i jego syna Piotra. Mocą kolejnych decyzji królewskich lub za zgodą monarchy (przez tzw. *konsens*) przez ponad sto lat starostwo znajdowało się w rękach rodu Firlejów, poczynając od wspomnianego Mikołaja Firleja, a kończąc na Mikołaju IV Firleju i jego żonie Marii Mohylance. Następnie urząd ten sprawowali przedstawiciele rodzin Radziwiłłów, Lubomirskich i Sapiehów. Ostatnią dożywotniczką starostwa była od 1789 r. Anna z Sapiehów Sanguszkowa, a po rozwodzie – Sewerynowa Potocka.[19]

Zachowały się portrety niektórych starostów kazimierskich, w tym pierwszego i ostatniego przedstawiciela „dynastii" Firlejów na tym urzędzie – Mikołaja Firleja, starosty w latach 1510-1526 oraz Marii Amalii Mohylanki, córki Jeremiego Mohyły, hospodara mołdawskiego, żony Mikołaja IV Firleja, która była dziedziczką starostwa po jego śmierci, a następnie, na podstawie królewskiego konsensu z 1638 r., scedowała ten urząd (prawdopodobnie w 1644 r.) na rzecz swego wnuka Janusza Radziwiłła.

[15] W zbiorach Muzeum Narodowego w Krakowie.

[16] Tamże.

[17] Henryk .Rutkowski op. cit. s.14.

[18] Jadwiga Teodorowicz-Czerepińska „ *Kazimierz Dolny…"* op. cit. s. 170. oraz Henryk Rutkowski op. cit. s. 17, a także .genealogia rodu Ostrowskich za okres XIV-XV w. gdzie wymieniany jest *„Grot z Ostrowa starosta kazimierski*". w pozycji *„Ostrowscy herbu Rawicz*" https://genealogia.okiem.pl/genealogia.php?n=ostrowski

[19] Obszerny chronologiczny wykaz starostów kazimierskich zob.: Jadwiga Teodorowicz-Czerepińska *„Kazimierz Dolny…"* op.cit.s.170-171. Listę kilkunastu starostów wraz z dokumentami źródłowymi podaje także Krzysztof Chłapowski w:„*Starostowie niegrodowi w Koronie 1565-1795. Materiały Źródłowe*", Warszawa 2017 s.256-257.

Janusz Radziwiłł pełnił urząd starosty kazimierskiego w latach 1644-55. Na zamku królewskim na Wawelu jest eksponowany jego całopostaciowy portret autorstwa nieznanego malarza z ok.1654 r., a więc z okresu kiedy sprawował ten urząd. Z kolei, na zamku w Janowcu można podziwiać portret Jerzego Sebastiana Lubomirskiego, marszałka wielkiego koronnego, hetmana polnego, a także starosty kazimierskiego w latach 1660 – 1667, który zapoczątkował „dynastię" rodziny Lubomirskich na tym stanowisku. Jako wojskowy znany był głównie ze zwycięskich bitew i potyczek, szczególnie podczas potopu szwedzkiego, Jako polityk – z rokoszu przeciwko Janowi Kazimierzowi. Mniej natomiast jest znana jego gospodarska zapobiegliwość, realizowana zwłaszcza we własnych włościach, a także tolerancyjne podejście do mieszczan, katolickiego kleru i Żydów m.in. w Janowcu, który wniosła mu w 1654 r. jego druga żona Barbara Tarło.

Kolejnymi przedstawicielami rodu Lubomirskich na stanowisku starostów kazimierskich byli: w latach 1668 – 1727 Jerzy Dominik Lubomirski, zmarły w Janowcu poseł lubelski i wojewoda krakowski oraz, w latach 1727 – 1761, Antoni Benedykt Lubomirski, generał lejtnant wojsk koronnych, miecznik wielki koronny.

Zachowało się kilka portretów reprezentacyjnych Jerzego Dominika Lubomirskiego. W zbiorach Muzeum Narodowego w Warszawie znajduje się jego portret olejny na płótnie z XVIII w. autorstwa nieznanego malarza wykonany, jak się wydaje, w związku z nadaniem portretowanemu w 1715 roku Orderu Orła Białego z Gwiazdą. Fakt ten miał miejsce w okresie sprawowania przez Lubomirskiego urzędu starosty kazimierskiego. Z kolei, w zbiorach muzeum na Jasnej Górze przechowywany jest jego portret trumienny. Ta forma portretu, stanowiącego element *castrum doloris,* praktycznie niestosowana w innych państwach, rozpowszechniona była w Polsce w XVII i XVIII w. wśród szlachty i magnaterii. Stanowiła ona odmianę tzw. portretu sarmackiego, zapoczątkowanego portretem króla Stefana Batorego. Kopia tego portretu eksponowana jest w kazimierskiej farze.

W zbiorach Muzeum Narodowego w Warszawie znajduje się wykonana przez nieznanego autora, bardzo zniszczona kopia portretu reprezentacyjnego Antoniego Benedykta Lubomirskiego. Za przypuszczalnego autora pierwowzoru dzieła, datowanego na trzecią ćwierć XVIII w., uznawany jest austriacki portrecista Józef Grassi, autor wielu portretów księcia Józefa Poniatowskiego. Malarz przebywał w Polsce w latach 1791-94. Specjaliści doszukują się w jego pracach wpływu malarstwa angielskiego. Inna kopia tego portretu eksponowana jest w salach zamku w Janowcu.

Na szczególną uwagę zasługuje portret Anny Teofili z Sapiehów Sewerynowej Potockiej, ostatniej dożywotniczki starostwa kazimierskiego. Portret Potockiej wyszedł spod pędzla Marcello Bacciarellego. Obecnie zdobi wnętrza Muzeum Łazienki Królewskie w Warszawie. Po śmierci Potockiej w 1813 roku urząd starosty przeszedł w posiadanie Skarbu.

Il.5. Malarz nieznany „Portret Janusza Radziwiłła"ok.1654, olej na płótnie, (Zamek Królewski na Wawelu), Il.6. Malarz nieznany, „Portret Jerzego Sebastiana Lubomirskiego" (kopia), 2 poł. XVII w. (Muzeum Nadwiślańskie w Kazimierzu Dolnym, Oddział w Janowcu).
Il.7. Daniel Schultz, „Portret Janusza Radziwiłła w stroju polskim" 1652-1654 (Narodowe Muzeum Sztuki Republiki Białoruś w Mińsku).

Il.8. Malarz nieznany „Portret Jerzego Dominika Lubomirskiego"XVIII w.olej, płótno (Muzeum Narodowe w Warszawie). Il.9. Malarz nieznany, „Portret Antoniego Benedykta Lubomirskiego" XVIII w.(Muzeum Nadwiślańskie w Kazimierzu Dolnym, Oddział w Janowcu). Il1.10. Marcello Bacciarelli „Portret Anny Teofili z Sapiehów Potockiej"1780-1783 ,olej na płótnie (Muzeum Łazienki Królewskie w Warszawie).

Przywołane portrety starostów kazimierskich wykonane zostały w różnych okresach historycznych i co za tym idzie, w różnej estetyce. Całopostaciowe (*en pied*) portrety Janusza Radziwiłła i Jana Sebastiana Lubomirskiego wyraźnie nawiązują, szczególnie ten pierwszy, do popularnego w Polsce XVII-XVIII w. portretu sarmackiego, biorącego początki od wspomnianego już portretu Stefana Batorego autorstwa Marcina Kobera. Na ten styl wskazuje m.in. sarmacki strój obu modeli, odzianych w żupan, delię i safianowe buty. Uwagę zwraca zwłaszcza portret Janusza Radziwiłła wykonany przez Daniela Schultza, gdańszczanina w służbie polskiej, uznanego portrecistę i nadwornego malarza Jana Kazimierza, Michała Korybuta Wiśniowieckiego i Jana III Sobieskiego. W całkowicie innej manierze namalowane zostały portrety Jerzego Dominika Lubomirskiego i jego syna Antoniego. Widać na nich wyraźne wpływy zachodnioeuropejskiego malarstwa dworskiego i akademickiego klasycyzmu. Z kolei, portret Anny Teofili Potockiej, to dzieło wykonane w stylu włoskiego malarstwa barokowego. Marcello Bacciarelli, malarz będący autorem ponad trzydziestu portretów Stanisława Augusta Poniatowskiego wykonał prawie dwieście portretów członków dworu oraz osób z dworem związanych, do których należała Potocka. Niektórzy specjaliści doszukują się w tym dziele wpływu malarstwa znanego portrecisty angielskiego Thomasa Gainsborough'a.

Duchowieństwo

Życie religijne w Kazimierzu i jego okolicach zawsze było bogate i sięga czasów pierwszych Piastów. Najpierw pojawili się tu zakonnicy. W 1008 roku Bolesław Chrobry nadał osadę Wietrzna Góra, zaczątek przyszłego miasta, Benedyktynom z Łysej Góry. W drodze zamiany przeszła ona w ręce innego zakonu – Norbertanek na Zwierzyńcu.[20] Tradycje zakonne kontynuowali w Kazimierzu franciszkanie-reformaci, którzy w 1627 roku osiedlili się przy konsekrowanym w 1591 roku kościele Zwiastowania Najświętszej Maryi Panny, ufundowanym przez miejscowych mieszczan Mikołaja i Krzysztofa Przybyłów. Jak wynika z zapisów w aktach Kamery Apostolskiej, już w 1325 roku istniała w Kazimierzu parafia rzymsko-katolicka pod wezwaniem św. Jana Chrzciciela i św. Bartłomieja. Kościół parafialny, wówczas niewielki, ale już murowany, odradzał się na przestrzeni kolejnych wieków w nowych postaciach, ostatni raz w latach 1610-1613.[21] W 1649 roku rozpoczęto budowę trzeciego kościoła w mieście – pod wezwaniem św. Anny, który ukończono po najeździe szwedzkim, a konsekrowano w 1671 r.

Swoją świątynię miała tu także ludność żydowska. Na podstawie zezwolenia wydanego w 1622 r. kahałowi kazimierskiemu została wybudowana w XVII w. pierwsza synagoga, zniszczona podczas najazdu szwedzkiego. Na jej miejscu powstała w II poł. XVIII w. nowa Wielka synagoga.[22]

W ślad za wznoszeniem kazimierskich świątyń zaczęły pojawiać się, nieliczne niestety, portrety posługujących tu duchownych. Najstarszym z nich jest prawdopodobnie pochodzący z ok. 1520 r. portret ks. Jana Lubrańskiego, jednego z pierwszych proboszczów kazimierskich,[23] rektora kościoła św. Jana Chrzciciela i św. Bartłomieja Apostoła w Kazimierzu, kanonika krakowskiego, następnie biskupa płockiego i poznańskiego, fundatora w 1497 r. wyższej uczelni tzw.

[20] Aleksander Janowski „*Wycieczki po kraju. Puławy Kazimierz Janowiec Nałęczów*", Wydawnictwo M.Arcta, Warszawa 1907 s.35.

[21] Obszerny opis, wraz z rysunkami, przedstawiający historię przekształceń architektonicznych tego najstarszego w Kazimierzu kościoła zawiera publikacja Tadeusza Michalaka „ *Kazimierska fara – 700 lat historii"* zamieszczona w „Brulionie Kazimierskim" Nr.15, Lato-Jesień 2019 s.58 i nast. Zob. także tego autora: „*Kościół farny pod wezwaniem* św. Jana Ch*rzciciela i Bartłomieja Apostoła w Kazimierzu Dolnym. Badania architektoniczne."* Autor mgr.inż,.arch. Tadeusz Michalak Kazimierz Dolny 1998 r. (rękopis), oraz jego *„Badania fary"* „Spotkania z Zabytkami", wrzesień 9.1999r. s.21-23.

[22] Marta Leśniakowska *„Architektura w Kazimierzu Dolnym i Janowcu"* Arkada, Pracownia Historii Sztuki, Warszawa 2001 s. 36.

[23] Lista proboszczów kazimierskich znajduje się w zakładce „*Proboszczowie kazimierscy (historia*)" na http://www.kazimierz-fara.pl/duszpasterze/ .

Il.11. Nieznany malarz (Wielkopolska), ***„****Maria z Dzieciątkiem i fundatorem, biskupem poznańskim Janem Lubrańskim" ok. 1520, tempera i złoto na desce (Muzeum Narodowe w Warszawie). Il.12. Jan Matejko „Założenie Akademii Lubrańskiego" 1886, olej na płótnie (Muzeum Narodowe w Poznaniu).*

„Akademii Lubrańskiego" (*Collegium Lubranscianum)* w Poznaniu.

Proboszcz zapisał się w pamięci kazimierskich wiernych wieloma cnotami, szczególnie szczodrością. W okresie swej posługi w miasteczku sprowadził trzeciego wikariusza, którego uposażył z własnych dochodów, a następnie dwóch nauczycieli, do Kazimierza i do Karczmisk, którym zapewnił utrzymanie.[24]

Jego zminiaturyzowana postać utrwalona została na obrazie anonimowego wielkopolskiego malarza ***„****Maria z Dzieciątkiem i fundatorem, biskupem poznańskim Janem Lubrańskim"* (widoczna w lewym dolnym rogu obrazu). Dzieło, wykonane temperą i złotem na desce znajduje się w zbiorach muzeum Narodowego w Warszawie.

Ponad trzysta pięćdziesiąt lat później swoje płótno poświęcił księdzu Janowi Lubrańskiemu Jan Matejko. Na oleju *„Założenie Akademii Lubrańskiego"* z 1886 r. umieścił postać fundatora w centrum kompozycji. Uwzględnił także (w głębi obrazu po lewej stronie) sylwetkę jego brata, kanonika Bernarda Lubrańskiego, sekretarza królewskiego, który został kolejnym proboszczem kazimierskim.

Odległy w czasie jest także obraz *„Zwiastowanie"* zdobiący ołtarz główny kościoła pod wezwaniem Zwiastowania NMP przy klasztorze o.o. franciszkanów-reformatów. Początkowo obraz był datowany na 1590 r. jednak w trakcie jego konserwacji okazało się, że widnieje na nim data 1600 r.[25] Nie została natomiast dotychczas ustalona osoba autora dzieła. W piśmiennictwie wskazuje się różnych artystów: kazimierzanina o imieniu Stanisław, malarzy Stanisława Szczerbica z Sieciechowa i Stanisława Boja, a także Jakuba Tebaldi, zięcia Mikołaja Przybyły.[26] Za wzór posłużył autorowi obrazu sztych z miedziorytu wykonanego w 1594 r. w ramach cyklu „Życie Marii"[27] przez manierystycznego niderlandzkiego malarza i rytownika Hendrika Goltziusa W dziele podjęty został jeden z najważniejszych motywów biblijnych, *„Zwiastowanie Marii",* oparty na ewangelii *św. Łukasza,* obecny w malarstwie wielu artystów m.in. Giotto di Bondone, Fra Angelico, Leonardo da Vinci, Tycjana, Jana van Eycka i in. Artysta sięgnął do tradycyjnej kompozycji sceny zwiastowania (postacie Marii i Archanioła Gabriela w dole obrazu, nad nimi gołębica symbolizująca Ducha Świętego, powyżej zastępy aniołów) i tradycyjnych symboli (m.in. kwiat lilii symbolizujący dziewictwo Marii). Obraz został namalowany olejno na płótnie naklejonym na deskę, w typowej dla malarstwa religijnego tego okresu stylistyce.

Il.13. Jakub Tebaldi (?) „Zwiastowanie", 1600, olej, płótno na desce (kościół NMP w Kazimierzu Dolnym). Il.14. Hendrik Goltzius „Zwiastowanie Marii" 1594 , miedzioryt.

[24] Zob. Jerzy Niemojewski *„Z historii Kazimierza Dolnego i jego okolic"* , Warszawa 1936, Nakładem Polskiego Towarzystwa Krajoznawczego.

[25] Zob. Albin Sroka"*Sanktuarium Maryjne Franciszkanów Reformatów w Kazimierzu nad Wisłą*".

[26] Tamże. Zob. także folder „Seminarium Maryjne Ojców Franciszkanów w Kazimierzu Dolnym nad Wisłą", oraz tekst Agnieszki Stelmach na https://kazimierzdolny24.pl/miasto/historia/klasztor-reformatow/.

[27] Miedzioryt znajduje się na liście polskich strat wojennych http://dzielautracone.gov.pl/katalog-strat-wojennych/obiekt/?obid=16554

Il.15. Jan Henryk Müntz „Zamek w Kazimierzu" (fragment), 1782, akwarela (Gabinet Rycin BUW).

Obraz, do którego od ponad czterystu lat pielgrzymują wyznawcy kultu Marii, słynny za sprawą licznych cudów zaistniałych od 1621 roku za jej wstawiennictwem, nie przedstawia wprawdzie sylwetek kazimierskich duchownych lub osób świeckich, ale dużo mówi o religijności i szczodrości Kazimierzan wyrażającej się nie tylko w ufundowaniu i bogatym wyposażeniu świątyni, ale także w licznych i znaczących donacjach na jej rzecz. Z kolei, przytoczone wcześniej teorie na temat możliwej kazimierskiej proweniencji tego dzieła informują o wysokim poziomie malarskiego rzemiosła w Kazimierzu, pozwalającym na powierzenie jednemu z miejscowych malarzy wykonania tak prestiżowego obrazu do głównego ***ołtarz***a Sanktuarium Matki Bożej Kazimierskiej.

Mieszczanie

Musieli czekać na swoje malarskie wizerunki kilkaset lat. Od czasów przypuszczalnej lokacji miasta, aż do końca osiemnastego wieku nie pojawiały się, a przynajmniej nie są znane obrazy przedstawiające kazimierskich mieszczan, zarówno tych znamienitych, jak też tych ze średnich i niższych warstw. Możliwe, że występowali anonimowo użyczając swego wyglądu postaciom ze scen religijnych, ale i na to nie ma bezpośrednich dowodów.

Nie zakorzenił się w Polsce zwyczaj znany w Niderlandach, gdzie już w średniowieczu, a jeszcze pełniej w renesansie regułą w każdej rodzinie mieszczańskiej, zwłaszcza kupieckiej było pozostawianie potomności swych wizerunków w formie portretów lub scen rodzajowych. Nie pozostały, jak się wydaje, tego rodzaju pamiątki po kazimierskich rodach Przybyłów, Górskich, Celejów i innych.[28]

Nie pozostały także malarskie ślady po krajowych i zagranicznych kupcach przeprawiających się tu przez Wisłę i szczodrze zasilających od XV wieku skarb królewski wpływami z łaźni miejskiej, żeglugi, ceł i stacji, po kupcach zbożowych i tych od wina oraz towarów zamorskich przechodzących przez kazimierski port. Nie pozostał taki ślad po ponad czterdziestu rzemieślnikach cechowych i ich rodzinach. Nie powstały, albo nie zachowały się malarskie wizerunki twórców kazimierskiego dobrobytu w XVII-XVIII wieku – właścicieli kilkudziesięciu spichlerzy i tych, którzy wzbogacili się na handlu nie zbożem lecz solą, czy suknem, mieszkańców miasta, które w początkach XVII wieku liczyło prawie 300 domów i 2000 stałych mieszkańców, podczas gdy Lublin – cztery tysiące głów.[29] Nie znalazły także odzwierciedlenia w kazimierskim malarstwie kataklizmy i plagi jakie na miasto spadały, jak wielki pożar miasta w 1560 r., czy najazdy Szwedów w XVII i XVIII wieku, które sprawiły, że substancja materialna miasta była w 1774 r.[30] prawie o 1/3 mniejsza niż ta we wcześniejszym stuleciu.

Sylwetki kazimierskich mieszczan pojawiły się dopiero w latach osiemdziesiątych-dziewięćdziesiątych XVIII wieku na obrazach Henryka Müntza i Zygmunta Vogla, których głównym tematem nie było jednak społeczeństwo miasteczka lecz jego niszczejąca architektura i bujna przyroda. Zgodnie z ówczesną modą poświęcono je stylizowanym na starożytne „*malowniczym rozwalinom*", przy czym, co charakterystyczne, prace tych artystów nie były wynikiem ich własnych artystycznych fascynacji lecz powstały na zlecenie mocodawców.

Jan Henryk Müntz, autor akwareli *„Zamek w Kazimierzu*" z 1782 r. uważanej za pierwszy obraz o tematyce kazimierskiej, malarz pochodzący z Miluzy we Francji, malował dla księcia Stanisława Poniatowskiego, z którym w latach 1779-83 podróżował po Polsce i Ukrainie.[31] Z kolei, Zygmunt Vogel, rysownik gabinetowy Stanisława Augusta Poniatowskiego, który w latach 1792-94 poświęcił Kazimierzowi niespełna dziesięć akwareli, namalował je w ramach

[28] W zbiorach Muzeum Historycznego Miasta Krakowa zachowały się natomiast tabliczki portretowe majętnego mieszczanina krakowskiego, mistrza złotniczego Grzegorza Przybyło oraz jego żony Katarzyny z 1534 r. zaś w Muzeum Narodowym w Warszawie analogiczne w kompozycji portrety olejne tej pary (zob. "Portrety Przybyłów",„Dziennik polski" z 13 sierpnia 2008 r. oraz https://dziennikpolski24.pl/portrety-przybylow/ar/1276714)

[29] Niemojewski op.cit.s.42.

[30] Liczona na podstawie danych dotyczących stanu zabudowy miejskiej zawartych w *Inwentarzu Starostwa Kazimierskiego przy oddaniu tegoż w posesyę J.P.Sapieżę* z dnia 9 lutego 1774 r. (zob. Niemojewski op.cit.s.38 i Teodorowicz-Czerepińska op.cit. załącznik 5 s.183.)

[31] Był także pierwszym malarzem Puszczy Białowieskiej.

zamierzonego nie przez siebie, ale przez monarchę cyklu obrazów dokumentującego stan zabytków narodowej przeszłości.

Pojawiające się na obrazach tych artystów niewielkie sylwetki Kazimierzan umieszczone tam zostały trochę „przy okazji". Pełnią głównie rolę sztafażu ożywiającego kompozycję i wspomagającego układ perspektywiczny dzieła. Co jednak istotne, pozostają w one w bezpośrednim związku z tematem obrazów oraz kontekstem miejsca i czasu przez co nadają tym postaciom wyraźny rys autentyzmu. Niosą wprawdzie skromną, ale dość rzetelną informację o wyglądzie i zajęciach pokazanych tam postaci.

Na akwareli Müntza z 1782 r. poświęconej ruinom zamku w Kazimierzu znajdujemy także obraz otaczającego je, istniejącego tam wówczas, miejskiego pastwiska, a także zminiaturyzowane postacie pasterzy doglądających stada krów i owiec. Kompozycja dostarcza informacji nie tylko o stanie zamkowych ruin, ale także o wyglądzie i codziennych czynnościach pewnej grupy mieszkańców miasteczka, w którym obok miejskich występowały także typowo wiejskie zajęcia. Obecność rolników w składzie socjalnym mieszkańców Kazimierza w ostatnim dwudziestoleciu XVIII wieku potwierdzają także dokumenty urzędowe, w tym m.in. *„Tabela raportu miasta Kazimierza"* z 2 stycznia 1792 r. W zawartych tam statystykach zatrudnienia jego mieszkańców wymienia się między innymi 32 rolników. Jak można dowiedzieć się z tego raportu, zajęcie to nie należało do dominujących w mieście, bowiem: *„Miasto leży nad samą Wisłą i w Porcie samym Zbożowym Handlem Wodnym Spławem, to jest Defluinacją, mniej rolnictwem zabawia się*."[32]

Bardziej liczne i różnorodne postacie mieszkańców Kazimierza znajdujemy na akwarelach Zygmunta Vogla. W miniaturowych figurkach ludzi można rozpoznać: *„mieszkańców miasta i wędrowców z tobołkami na plecach, mnichów i Żydów, żebraków i dzieci.. Na Wiśle płyną łodzie, rybacy pracują przy połowie."*[33] Widać tam także: flisaków wyruszających szkutą w podróż spod kazimierskiego spichlerza; kobiety, mężczyzn i dzieci przy ich codziennych zajęciach oraz odpoczywających w różnych pozach; elegancko, z cudzoziemska, ubrane mieszczańskie rodziny; młode kobiety w długich sukniach zdobionych zapaskami z koszami wypełnionymi praniem lub zakupami (pewnie służące), wiejskie kobiety z tobołkami na plecach (może przekupki).Widoczne są różnice w zamożności i pozycji społecznej pokazanych na obrazach postaci. Obok elegancko ubranych mieszczan pojawiają się sylwetki mężczyzn w łachmanach i bosych dzieci. Odzież większości postaci jest barwna. Jak wydaje się, także użyty przez artystę kolor informuje o statusie społecznym odtwarzanej postaci. W strojach osób zamożnych dominują błękity i róże, u biedoty – ciemne brązy i szarości. Sylwetki mieszkańców Kazimierza, wprawdzie podane przez Vogla w uproszczonej formie i zminiaturyzowane, zawierają sporą dozę autentyzmu, co znajduje oparcie także w tym, że ten artysta malował zawsze z natury.

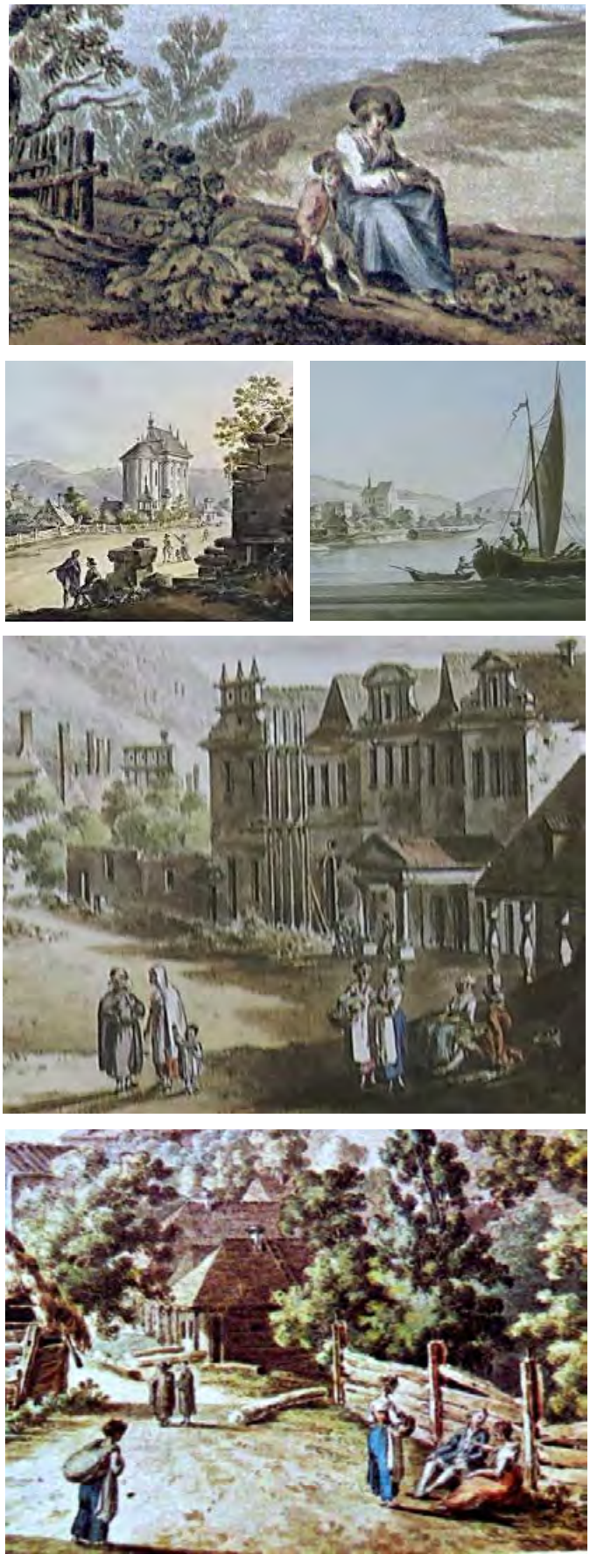

Il.16. Zygmunt Vogel, powiększone fragmenty akwareli: „Widok rynku w Kazimierzu", „Widok Kazimierza od strony Puław" „Widok klasztoru Reformatów i kościoła św. Anny", „Widok części miasta Kazimierza", „Widok ogólny miasta Kazimierza" wzięty od strony klasztoru Reformatów" 1792-94 (Gabinet Rycin BUW).

[32] *„Tabela raportu miasta Kazimierza"* z 2 stycznia 1792 w: Jadwiga Teodorowicz-Czerepińska „*Kazimierz*…" op.cit. aneks 9 s.184.

[33] Krystyna Sroczyńska *„Podróże malownicze Zygmunta Vogla"*, Wydawnictwo „Auriga", Warszawa 1980 s.38.

Il.17. Jean-Baptiste Le Prince „Żydówka Polska" oraz „Żyd Polski" 1765, akwaforta (Muzeum Narodowe w Warszawie). Il.18. Jan Piotr Norblin (rys.) „Żydówka Polska" oraz „Furman żydowski", II poł. XVIII w. akwatinta (Muzeum Narodowe w Warszawie).

Żydzi

Pojawili się w osadzie prawdopodobnie jeszcze w XIII wieku wraz z falą mówiących w jidysz Żydów aszkenazyjskich, którzy byli wysiedlani z państewek niemiecki i czeskich.[34] Tych, którzy osiedlali się w Wielkopolsce wziął pod opiekę książę Bolesław Pobożny, nadając im w 1234 r. specjalny przywilej tzw. *Statut Kaliski*. Został on w 1334 roku rozszerzony przez Kazimierza Wielkiego, jako przywilej generalny, na terytorium całego kraju. Jest zatem wysoce prawdopodobne, że jeszcze za czasów tego monarchy istniała w Kazimierzu znaczna grupa osiadłych tu przedstawicieli tej narodowości.

Żydzi kazimierscy trudnili się głównie handlem, rzemiosłem i usługami. Na przestrzeni wieków szybko zwiększali swoją liczebność oraz potencjał gospodarczy. O ile w 1531 roku miasto liczyło niespełna 300 osób, w tym 50 pochodzenia żydowskiego, to pod koniec Pierwszej Rzeczpospolitej, w 1782 roku, Kazimierz *„stał się właściwie miastem żydowskim, zamieszkanym przez 880 chrześcijan i aż 1246 osób wyznania mojżeszowego"*.[35] Żydzi rozwijali swą działalność gospodarczą, pomimo licznych zakazów wydawanych przez kolejnych władców, którzy nie byli dla nich tak łaskawi, jak Kazimierz Wielki. Już w XV w. zostali poddani zakazowi sprzedaży mięsa i soli. Zygmunt August zakazał im warzenia piwa, a Stefan Batory *„szynkowania*". Michał Korybut Wiśniowiecki rozszerzył ten zakaz i zabronił im handlu wieloma produktami spożywczymi. Ale za to kilka lat później otrzymali Żydzi pozwolenie na budowanie domów i kamienic w Rynku i *„po ulicach*" oraz na prowadzenie handlu winem i warzenie piwa. Jan III Sobieski wprowadził dla nich zakaz propinacji, a następnie obłożył podatkiem. Kolejny władca zabronił im handlu towarami żywnościowymi w kramach, ale z kolei Stanisław August zezwolił na *„murowanie domów i trudnienie się handlem"* utrzymując jednocześnie zakaz propinacji.[36]

Poza miniaturowymi, ledwo widocznymi postaciami na akwarelach Zygmunta Vogla „*Widok rynku w Kazimierzu*" i *„Widok ogólny miasta Kazimierza wzięty od strony klasztoru Reformatów"* z 1794 r. trudno wskazać inne malarskie lub graficzne wizerunki Żydów kazimierskich z okresu Pierwszej Rzeczpospolitej. Pewne wyobrażenie o ich wyglądzie i ubiorach mogą dać grafiki z 1765 r. francuskiego malarza i rytownika Jean-Baptiste'a Le Prince'a zatytułowane: „Żydówka p*olska"* (*„ Femme Juive Polonoise*") i „Żyd p*olski*"(*„Juif Polonois"*, na których autor przedstawił te postacie w strojach z epoki.

Le Prince specjalizował się w dokumentowaniu wyglądu i ubiorów różnych narodów, a rysunki wykonywał z natury. Odtwarzane przez niego postacie dysponują zatem dużą dozą autentyzmu. Przyjmuje się w literaturze przedmiotu, że grafiki Le Prince'a mogły stanowić inspirację dla Jana Piotra Norblina i jego protektorki księżnej Izabeli Czartoryskiej do przygotowania i wydania w 1818 r. w Paryżu *„Zboru rozmaitych strojów polskich"* w oparciu o ponad 100 projektów i szkiców wykonanych przez malarza podczas jego trzydziestoletniego pobytu w Polsce, poczynając od 1774 roku

***

Struktura stanowa społeczeństwa polskiego trwała przez cały okres Pierwszej Rzeczpospolitej, aż do utraty niepodległości w 1795 roku. Formalnie, ustrój stanowy zniosła dopiero konstytucja marcowa z 1921 roku, która stanowiła w art.96, że: *„Rzeczpospolita Polska nie uznaje przywilejów rodowych ani stanowych…"* W rzeczywistości, struktura społeczna na ziemiach polskich zmieniała się wcześniej, już podczas całego ponad studwudziestoletniego okresu zaborów. Podlegała wpływom ustawodawstwa narzuconego przez zaborców, a także aktualnym trendom rozwoju gospodarczego i społecznego w Europie, które doprowadziły między innymi do zmiany statusu chłopstwa oraz do powstania nowych klas i warstw społecznych, takich jak burżuazja, proletariat przemysłowy i wywodząca się ze szlachty i mieszczaństwa inteligencja. Procesom tym podlegała także społeczność Kazimierza Dolnego. Odpowiedź na pytanie, czy i ewentualnie jakie odzwierciedlenie znalazło to w twórczości malarzy i grafików w kolejnych okresach historycznych wykracza poza ramy niniejszego opracowania.

[34] Andrzej Jaworski, Bohdan Strynkowski „Żydzi kazimierscy – dzieje, kultura, kuchnia", Towarzystwo Przyjaciół Kazimierza Dolnego, Kazimierz Dolny 1989 s. 7-8.

[35] Tamże s.11.

[36] Więcej w: Jadwiga Teodorowicz- Czerepińska „*Kazimierz Dolny…"* op. cit. s. 172 i nast.

Paweł Sygowski

RABINI KAZIMIERZA DOLNEGO

Wymienione w poniższym tekście imiona, patronimika i nazwiska podane zostały tak, jak zapisano je w tekstach archiwalnych. „Ośrodek Brama Grodzka – Teatr NN" wyraził zgodę na publikację w „Brulionie Kazimierskim" wybranych fragmentów „Karty dziedzictwa kulturowego" Kazimierza Dolnego.

„Karta" taka, to podstawowy zbiór informacji historycznych i kulturowych o danej miejscowości. Wzór „Karty" powstał w „Ośrodku Studiów i Ochrony Środowiska Kulturowego" na zlecenie Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego. „Karta dziedzictwa kulturowego" dla Kazimierza Dolnego została opracowana przeze mnie w 2015 r., na potrzeby programu „Shtetl Routes", prowadzonego przez „Ośrodek Brama Grodzka – Teatr NN" w Lublinie. Na podstawie informacji w „Karcie dziedzictwa" zostało opracowane hasło „Kazimierz Dolny" do publikacji „*Szlakami sztetli. Podróże przez zapomniany kontynent".*

Książka ta jest rodzajem przewodnika po spuściźnie żydowskiej wybranych miast wschodniej Polski, zachodniej Białorusi i zachodniej Ukrainy. W „Karcie dziedzictwa kulturowego" podane są podstawowe informacje o danej miejscowości: jej położenie, jej historia, dzieje tutejszej społeczności z uwzględnieniem jej różnorodności, najważniejsze elementy tworzące jej krajobraz kulturowy – istniejące i już nieistniejące. W opracowaniu takim, co było specyfiką wspomnianego programu „Shtetl Routes", szczególna uwaga została zwrócona na informacje o społeczności żydowskiej danego miasta oraz na zachowane pozostałości tradycji żydowskiej, a także na utracone jej ślady. Ze wspomnianej „Karty" Kazimierza Dolnego, dla potrzeb niniejszej publikacji, zostały wybrane i przedstawione poniżej informacje dotyczące historii społeczności żydowskiej tego miasta – nieco zaktualizowane. Zostały one opracowane na podstawie kwerendy archiwalnej w Archiwum Głównym Akt Dawnych i Archiwum Państwowym w Lublinie oraz kwerendy bibliograficznej. Ze względu na specyfikę „Karty dziedzictwa" poniży tekst nie jest opatrzony przypisami, natomiast na końcu artykułu podana jest podstawowa bibliografia dotycząca Żydów Kazimierza Dolnego. Wymienione w poniższym tekście imiona, patronimika i nazwiska podane zostały tak, jak zapisano je w tekstach archiwalnych. „Ośrodek Brama Grodzka – Teatr NN" wyraził zgodę na publikację w „Brulionie Kazimierskim" wybranych fragmentów „Karty dziedzictwa kulturowego" Kazimierza Dolnego.

Historia Żydów w Kazimierzu Dolnym XVI-XVIII w.

Wyjątkowe położenie miast królewskiego Kazimierza – na skrzyżowaniu wodnego i lądowego szlaku handlowego – spowodowało jego szybki rozwój, szczególnie od czasów Jagiellonów, kiedy miasto znalazło się nie tylko na szlaku ze Śląska i Wielkopolski na Ruś, ale także na trasie między stołecznym Krakowem, a stołecznym Wilnem. Żydzi byli obecni w Kazimierzu już w drugiej połowie XV w., skoro w 1507 r. opłacali podatek koronacyjny, a w 1509 r. jedną trzecią podatku od tutejszych mieszczan. Był to jeden z ówczesnych większych kahałów na terenie dzisiejszej Lubelszczyzny – obok Lublina (na Podzamczu), Chełma i Szczebrzeszyna. W odróżnieniu od niektórych miast królewskich (Lublina, Wąwolnicy czy Krasnegostawu) Kazimierz nie posiadał przywileju *de non tolerandis Judaeis* – zakazu osiedlania się Żydów. Żydzi mogli tu nabywać place, wznosić domy – o czym odnotowane zostało m.in. w przywilejach z 1618, 1676 i 1717 r. – ale obowiązywały ich zakazy handlu niektórymi towarami, zakaz wyrobu i sprzedaży gorzałki (1562, 1616, 1777 r.) – propinacja należała do starosty kazimierskiego i tutejszego probostwa. Położenie miasta na skrzyżowaniu jednych z najważniejszych szlaków handlowych w Rzeczypospolitej – nad spławną Wisłą, przy przeprawie przez tę rzekę, sprawiło, że miasto było jednym z najważniejszych portów śródlądowych kraju. Tu przywożono z daleka i bliska różne towary (m.in. zboże, potaż, saletrę), które spławiano

do Gdańska, tu zawierano liczne kontrakty kupna i sprzedaży, ale w związku z tym nierzadko zgłaszano do sądów nieuczciwe transakcje. W materiałach archiwalnych jest szereg informacji o tym, że po drodze do Kazimierza zdarzały się napady na karawany kupieckie i kradzieże towarów, ale także o tym, że w mieście dokonywane były urzędowe konfiskaty i rekwizycje – za długi, niespłacone kredyty i niezapłacone podatki. Od przywożonych tu towarów pobierano cło – od tych spławianych i tych przywożonych. Starostowie pobór ten, tak jak i inne dochody („czopowe", „furmankę"), wydzierżawiali najczęściej Żydom. Poborem tym w 1 połowie XVII w. zajmował się Moszek Józefowicz (1605), a potem wdowa po nim – Frumeta i jej synowie Lewko i Abraham (1639), a może także jej wnuk – Abraham Lewkowicz (1647). Innym poborcą był Jeleń (Hirsz) Dawidowicz (1643) i zapewne jego syn Dawid Jeleniowicz (1654). Tutejsi Żydzi, tak jak w innych miastach zajmowali się głównie drobnym handlem (obnośnym i kramarstwem), byli też krawcami, szewcami, piekarzami. Bogatsi – to dzierżawcy różnych dochodów starostwa, probostwa i miasta (m.in. propinacji), a także kupcy zajmujący się szeroko prowadzonym handlem hurtowym. W Kazimierzu dodatkowym zajęciem Żydów, nie spotykany na taką skalę w innych nadwiślańskich kahałach, był transport wodny Wisłą – przewóz łódkami i łodziami ludzi na mniejsze i większe odległości, spławianie towarów szkutami i komięgami do Gdańska. Stamtąd przywożone były surowce i gotowe wyroby rzemieślnicze, rozmaite trunki, inne artykuły spożywcze, które to towary następnie rozprowadzane były w bliższej i dalszej okolicy. Kahały (także kazimierski) pełniły funkcję banków – przyjmowały od magnaterii, szlachty, kościołów i klasztorów sumy, lokowane u nich na wysoki procent – „osiem od sta". Wynikiem wzrostu pozycji szybko bogacącego się kahału kazimierskiego było uzyskanie już w 1557 r. przywileju, od króla Zygmunta Augusta, zezwalającego na wzniesienie murowanej synagogi – drugiej takiej po bożnicy lubelskiej (wato odnotować, że większość gmin na terenie Lubelszczyzny wzniosła murowane bóżnice dopiero w 4 ćwierci XIX w.). Ten czas pomyślnego rozwoju Kazimierza przerwały zniszczenia wojenne Rzeczypospolitej połowy XVII w. – najazd kozaków Chmielnickiego, Potop szwedzki, najazd Rakoczego z Siedmiogrodu, inwazja wojsk moskiewskich, a także zniszczenia, będące skutkiem postojów i przemarszów oddziałów polskich. Częstymi były także przypadkowe pożary, a nierzadko morowe powietrze. Skutkiem tego był upadek ogólny handlu, co szczególnie dotknęło Kazimierz. W 1661 r. lustrator odnotował tu tylko 7 domów żydowskich. Miasto zaczęło się wkrótce odbudowywać, czemu sprzyjało nie tylko położenie, ale także przywilej nadany tutejszym Żydom przez króla Jana III Sobieskiego w 1676 r. Utracone w czasie wojen dokumenty, pozwoliły im, przy odnawianiu tychże, uzyskiwać zezwolenia na handel wszelkimi towarami (1684). Spowodowało to reakcję pozostałych mieszczan, w wyniku czego ponawiano zakazy, ale kolejne klęski żywiołowe powodowały ponowne starania o przywileje, i ponowne zakazy. Sytuacje konfliktowe mogły mieć także podłoże religijne. W roku 1690 doszło do „tumultu" (bijatyki) pomiędzy chrześcijanami a żydami w czasie wielkanocnej rezurekcji, a kolejny „tumult" miał miejsce w 1699 r., kiedy na rynku procesja w święto Bożego Ciała spotkała się z tłumem Żydów witających przybyłego tego dnia rabina Judę. Miasto pozwało w tej sprawie starszyznę żydowską Kazimierza przed Trybunał Koronny w Lublinie. Starszyzną (seniorami) byli w tym czasie Ozajasz Judaszowicz, Izaak Moszkowicz, Litman Elkonowicz, Dawid Zelkowicz, Moszek Dawidowicz i Marek Ickowicz – zapewne najbogatsi przedstawiciele społeczności żydowskiej miasta.

Także w XVIII w. kahał kazimierski – pomimo szkód wojennych, pożarów, powodzi i epidemii – dzięki korzystnemu położeniu miasta – odradzał się stosunkowo szybko. Po zniszczeniach wojny północnej Żydzi w Kazimierzu otrzymali w 1717 r. kolejny raz dokument dający im dużą swobodę w handlu, tak że już w 1723 r. opłacali podatek wysokości 100 guldenów, a w poborze 1732-1733 r. – już 600 guldenów. Z tego czasu (1730 r.) znany jest kolejny skład starszyzny kahalnej, którą stanowili: Lewek Dawidowicz, Abraham Lewkowicz, Nuchym Borkowicz i Jozef Majerowicz.

Z drugiej połowy XVIII w. pochodzą informacje o liczbie opodatkowanych Żydów w całym kahale kazimierskim i samym mieście. W 1765 r. podatek (2 zł od głowy rodziny) płaciło 239 Żydów w Kazimierzu i 176 w pozostałych miejscowościach należących do kahału. Wykazy podatkowe z 4 ćwierci XVIII w. podają, że w 1778 r. podatek (tym razem 3 zł) płaciły 303 osoby w mieście i 141 w 27 okolicznych wsiach, miasteczku Wąwolnicy i jednej karczmie. W 1790 r. opodatkowanych było 337 Żydów w Kazimierzu i 237 w okolicznych wsiach i Wąwolnicy. Na terenie ówczesnego województwa lubelskiego był to już tylko 9 kahał pod względem wielkości, wśród 31 kahałów na tym terenie (po Lublinie, Lubartowie, Kraśniku, Biłgoraju, Józefowie nad Wisłą, Łukowie, Bełżycach i Łęcznej).

Wśród zajęć mieszkańców Kazimierza (także Żydów) nadal istotną rolę odgrywały zawody związane z jego funkcją portową – przeładunkami i spławianiem towarów Wisłą. Wśród licznych spichlerzy nad Wisłą kilka należało do rodziny Feuersteinów, a kilka do Szmula Jakubowicza Zbytkowera – kupca i bankiera, dostawcy dworu króla Stanisława Augusta Poniatowskiego. Pod koniec XVIII w. miasto straciło swoją pozycję gospodarczą, co było m.in. wynikiem zmiany koryta rzeki, które odsunęło się od spichlerzy, co istotnie utrudniło przeładunek i transport towarów Wisłą. Zmieniła się także sytuacja polityczna państwa.

XIX w.

Po III rozbiorze Polski Lubelszczyzna na kilkanaście lat znalazła się w zaborze austriackim, w tzw. Galicji Zachodniej. Austriacy wprowadzili już w 1787 r. obowiązek posiadania przez Żydów nazwisk (niemiecko brzmiących). W krótkim okresie Księstwa Warszawskiego (1809-1815) wprowadzono Urzędy Stanu Cywilnego (zgodnie z „Kodeksem Napoleona"), z księgami do zapisywania akt urodzeń, małżeństw i zgonów – wspólne dla wszystkich wyznań, prowadzone zazwyczaj przez miejscowych księży proboszczów.

Po Kongresie Wiedeńskim (1815 r.) utworzone zostało Królestwo Polskie w zaborze rosyjskim. Z tego czasu pochodzą bardziej

szczegółowe statystyki ludności. W 1819 r. w Kazimierzu odnotowano 1901 mieszkańców, w tym 915 chrześcijan i 986 Żydów (51,9%); w 1827 r. – 2096 mieszkańców, w tym 1197 Żydów (57,1%); w 1860 r. – 2624 mieszkańców, w tym 1509 Żydów (57,5%). Około 1882 r. w 250 domach (z nich 89 murowanych) mieszkały 3297 osoby, w tym 1784 Żydów (51,4%). W innych miastach dominowała wówczas drewniana zabudowa (w 4 ćw. XIX w. w Bychawie były tylko 3 budynki murowane: kościół, plebania, bożnica). Od 1819 r. do 1904 r. w Kazimierzu liczba chrześcijan wzrosła – z 915 do 1834, a żydów – z 986 do 2514 (wówczas 57% mieszkańców), co wskazuje na większą dynamikę rozwoju tej społeczności. Na początku XIX w. kazimierska gmina żydowska zmniejszył się, gdyż Żydzi z Wąwolnicy i z okolicznych wsi wokół niej utworzyli odrębny kahał.

W Królestwie Polskim nowa administracja starała się uregulować przepisami tradycję społeczną i religijną Żydów – ich obecność w państwie tak, aby była ona czytelna dla władz. Już w 1816 r. rozpoczęto w Królestwie przygotowania do reformy funkcjonowania tu Żydów. Zaczęto od przeprowadzenia rozpoznania stanu kahałów. Z zachowanych materiałów archiwalnych wiadomo że w 1816 r. w Kazimierzu rabinem był Zelman Aszkanazy (lat 45), pochodzący z Ostroga „w Rossyi". Był tu także, zapewne obecny czasowo, rabin Turobina – Szmul Lipszytz (lat 34) – pochodzący z Opoczna. Na pierwszym miejscu tego wykazu (1816 r.) wymieniony jest jednak Leybel (Lejbuś) Hohgelerter (Hochgelert) – lat 70, pochodzący z Ostrowca w woj. sandomierskim. Jest on wówczas określony jako „magid" (kaznodzieja), przybyły do Kazimierza około 1796 r. W 1812 r. odnotowany jest w Kazimierzu (w księgach metrykalnych) „podrabin" Szmul Hohgelerter, syn Szmula Leybusiowicza – wdowiec lat 60 – który w tym roku bierze ślub z wdową – Zyslą Lemlowiczówną z Lublina. To zapewne jedna i ta sama osoba, używająca albo dwóch imion, albo jest to błąd zapisu. Według aktu stanu cywilnego z 1827 r. „Leyba Hochgielert" – „Zastępca Rabina Synagogi Kazimierskiey", syn Szmula i Sóry z Ostrowca, zmarł 25 stycznia w wieku 92 lat – pozostawił po sobie żonę Zyslę z Horowiczów Hochgielertową. Być może to właśnie Hohgielert jako pierwszy propagował tu idee chasydyzmu. Chasydyzm był wówczas już obecny – w 1812 r. w kazimierskich księgach metrykalnych odnotowany jest Lejba Rapoport lat 24 „Husyta".

Rabinem w 1812 r. był wspomniany wyżej Zelman Aszkanazy (Meszulem Zelman Aszkenazy), pełniący tu tę funkcję od 1800 r. Pochodził on z rodziny o tradycjach rabinackich, urodził się w Kazimierzu w 1771 r., ale wychowywał w Ostrogu, gdzie pobierał nauki u ojczyma – rabina Meira Margulisa. Ożenił się z Genendlą, córką bogatego kupca kazimierskiego – Josefa Mandelsburga, zwanego „reb Juzup Wielki". Zapewne za namową teścia zajął się handlem, co zakończyło się dla niego bankructwem i więzieniem. Aszkenazy, określany przez chasydów jako „misnagd" (wyznawca ortodoksyjnego, tradycyjnego judaizmu), był wybitnym talmudystą i dla tego dużo lepiej sprawdził się jako rabin, które to stanowisko w Kazimierzu pełnił co najmniej do 1816 r., następnie był rabinem w Nasielsku, a od 1825 r. został głównym rabinem Okręgu Bożniczego w Lublinie – którą to funkcję pełnił do śmierci w 1843 r. Pochowany został na lubelskim nowym cmentarzu żydowskim. Jest on autorem szeregu komentarzy – m.in. do „Miszny". Warto odnotować, że jego teść, wspomniany Josef Mandelsburg, zapisał w testamencie (w 1810 r.) sporą kwotę na utrzymanie w jego domu rodzinnej „szkółki" (domu modlitwy) w Kazimierzu, pod numerem 19 (w rynku). Wśród wykonawców tego testamentu był jego zięć Zelman. Ponieważ Mandelsburg też był wyznawcą ortodoksyjnego judaizmu, istnienie prywatnego domu modlitwy może wskazywać na znaczącą już w tym czasie obecność chasydyzmu w mieście. Jego macewę i jego żony Estery (podwójną) – na starym cmentarzu odnotowuje Meir Bałaban, wizytujący stary cmentarz w latach 20. XX w. W Kazimierzu urodziło się dwóch synów Zelmana Aszkenazego – Mordechaj Beniamin – około 1793 r., a około 1800 r. urodził się Jehoszua Heszel. Mordechaj został rabinem w Kępnie – być może jest on identyczny z odnotowanym w Kazimierzu, tu zamieszkałym Markusem Zelmanowiczem Aszkenazym, który na początku 1812 r. bierze ślub z Hają Izraelowiczówną „w Kępnie w Departamencie Kaliskim zamieszkałą". Bardziej znaną postacią był jego młodszy brat – Jehoszua Heszel, w archiwaliach odnotowywany jako Herszek. Herszek Aszkenazy był początkowo rabinem w Dubnie na Wołyniu, potem rabinem w Grodnie, a w 1852 r. został zaproszony do objęcia stanowiska głównego rabina Okręgu Bożniczego w Lublinie. W 1861 r. był na nabożeństwie patriotycznym w katedrze lubelskiej, ale swoich kazaniach (wydanych w języku polskim) potępił powstanie styczniowe. Nie był zwolennikiem chasydyzmu, ale współpracował z lubelskim podrabinem – chasydem Lejbą Eigerem. Zmarł w 1867 r. i podobnie jak jego ojciec został pochowany na nowym cmentarzu żydowskim w Lublinie. Rodzina Aszkenazych była obecna w Kazimierzu co najmniej do czasów I wojny światowej.

We wspomnianym wykazie z 1816 r. wymienionych jest też kilku „kahalnych" kazimierskich: Wolf Wohlman (lat 52), Hersz Mandelsburg (lat 23) – obaj z Kazimierza, Berek Kohen (lat 45) z Józefowa nad Wisłą – późniejszy zastępca rabina w Kazimierzu, Dawid Friedenburg (lat 43) – z Humania („w Rossyi"), a także „szkolnik" – Izrael Rozenblas (faktycznie Rozenblit), pełniący tu tę funkcję już od 10 lat. „Szkolnik" („szames", „posługacz bożniczny") – to w społeczności żydowskiej postać ważna, choć jej status nie by zbyt wysoki. „Szkolnik" zajmował się załatwianiem różnych spraw w gminie – religijnych i świeckich, pełniąca wiele praktycznych funkcji – zajmujący się m.in. przekazywaniem informacji, pobieraniem opłat, utrzymywaniem budynków gminnych, zgłaszaniem informacji do akt stanu cywilnego, kontaktowaniem się z władzami świeckimi w danym mieście czy miasteczku.

W ramach podjętych reform administracja państwowa Królestwa Polskiego przystąpiła do likwidacji kahałów, które formalnie w 1823 r. zastąpiono „Dozorami bożnicznymi". „Dozór bożniczny" (trzyosobowy), wybierany miał być co trzy lata (przez Żydów płacących składki na utrzymanie gminy) i miał zarządzać budżetem gminy – dochodami i wydatkami. W tym celu na „Dozorze" spoczywał obowiązek sporządzania projektu budżetu gminy na okres 3 lat, który

następnie musiał być zatwierdzony przez władze powiatowe i gubernialne. Wprowadzanie zmian następowało jednak bardzo wolno. Najstarsze projekty budżetów gminy kazimierskiej zachowane są dopiero z lat 40. XIX w. (tak jak i w większości innych gmin). Dochody to opłaty pobierane przy okazji różnych świąt, zapisów metrykalnych, różnych dzierżaw, oraz składka od bogatszych Żydów. Wydatki to utrzymanie rabina (lub jego zastępcy) i pracowników gminy (kantora, rzezaka, pisarza), utrzymanie budynków bóżniczych, pomoc biednym i opłacenie podatków. Niezależnie od „Dozoru" religijnym przywódcą społeczności żydowskiej pozostawał rabin, lub jego zastępca, wspomagany przez starszyznę – „duchownych".

W 1810 r. wprowadzone zostały, o czym wspomniane było już wyżej, księgi stanu cywilnego. Jedna wspólna księga dla wszystkich wyznań, prowadzona była zazwyczaj przez księży rzymskokatolickich – proboszczów parafii w poszczególnych miastach i miasteczkach. W księdze tej odnotowywano także zgłaszane urodzenia, śluby i zgony Żydów (sic !), co było sytuacją niezbyt zręczną dla obu stron. W czasach Królestwa Polskiego – w 1826 r. – wprowadzono oddzielne księgi stanu cywilnego dla każdego z wyznań. Księgi Stanu Cywilnego „Wyznania Mojżeszowego" to kopalnia wiedzy o społeczności żydowskiej danego miasta. Przy okazji wpisów notowano w nich osoby zgłaszające urodzenia i zgony oraz świadków – często przedstawicieli gminy („szkolników"), a przy ślubach osoby zgłaszające zawarcie małżeństwa (rabinów, lub ich zastępców), osoby zawierające związek małżeński, ich rodziców – świadków, a także jako świadków funkcjonariuszy gminy). Często przy zapisie notowano zawody wykonywane osoby zgłaszające informację oraz zawody świadków, czasem adresy (ulice i numery domów), miejscowości należące do gminy żydowskiej (wsie, w których mieszkali Żydzi – m.in. dzierżawcy, karczmarze, młynarze, rolnicy). Z analizy zapisów można dowiedzieć się wiele na temat różnych kontekstów funkcjonowania społeczności żydowskiej, np. mogą być przyczynkiem w badaniach nad urbanistyką miasta, mogą wskazać miejscowości, z których pochodzili współmałżonkowie – z gminy i spoza niej, można wskazać lata, w których miały miejsce epidemie cholery (w Kazimierzu w 1831 – zawleczona przez wojska rosyjskie tłumiące powstanie listopadowe, kolejne w 1855 r. i w 1892 r.).

Archiwalia kazimierskie, głównie wspomniane księgi metrykalne (niestety zachowane niekompletnie), wymieniają różnych funkcjonariuszy gminy. Wiadomo że funkcję rabina, po śmierci Leyby Hochgielerta, pełnił Moszek Rotenberg (na przełomie 1827 i 1828 roku) syn Szlamy, uczeń słynnego lubelskiego chasydzkiego cadyka Jaakowa Jicchaka ha-Lewi Horowica – „Widzacego z Lublina". Moszek Rotenberg – „Rabin w Mieście Włodawie", przybył tu w 1827 r., żeby pełnić funkcję rabina. Wkrótce, na początku 1828 r., on także zmarł (w wieku 80 lat). To być może Rotenberg zaprosił do Kazimierza Jechezkiela Tauba (zob. niżej) – innego ucznia lubelskiego cadyka. „Zastępcami rabina", zmieniający się w tym czasie dosyć często, byli miejscowi „duchowni" – Ela Mandelsbaum (od wiosny do jesieni 1827 r. i krótko na początku 1829 r.), Lejbuś Gurfinkiel – odnotowany tylko raz w 1827 r. oraz wspomniany już (1816 r.) „kahalny" Berek Kohen – „kramarz", pochodzący z Józefowa nad Wisłą, który pełnił funkcję „zastępcy rabina" w 1828 r. Kolejny „zastępca rabina" – Izrael Aaron Karfinkiel – chasyd, określany jako „Magid", syn Godela ha-Lewi z Kraśnika, także krótko pełnił tu swoją funkcję – od wiosny 1829 r. do wiosny roku 1831. Karfinkiel zmarł w czasie epidemii cholery – 30 kwietnia 1831 r., i został pochowany na starym cmentarzu żydowskim (jego macewę wspomina Meir Bałaban w swojej książce z 1929 r.). Karfinkiel był ojcem słynnego konwertyty – Chaskiela (Stanisława) Hoge, urodzonego w Kazimierzu w 1791 r., mieszkającego później w Warszawie – sekretarza Stanisława Staszica, działacza społecznego, tłumacza z języka hebrajskiego i na język hebrajski, cenzora ksiąg hebrajskich, zwolennika haskali, autora szeregu rozpraw w języku polskim, sekretarza Komitetu Starozakonnych w Królestwie Polskim. Hoge w 1833 r. przeniósł się do Londynu, gdzie kontynuował działalność, szczególnie publicystyczną, tam w 1845 r. powrócił do judaizmu i tam też zmarł w 1860 r. Po Karfinklu funkcję „zastępcy rabina" pełnił Lejbuś Wajnberger – także krótko – od wiosny 1831 r. do początku 1832 r. Kolejny „zastępca rabina" – Mordko Frydman był tu trochę dłużej – przez ponad 10 lat – od jesieni 1832 r. do co najmniej końca 1842 r. Kilkanaście lat „zastępcą rabina" był Jakub Moszkowicz Goldman (1849-1865), a w tym też czasie, w 1861 r., krótko (przez 3 miesiące) funkcję „zastępcy rabina" pełnił „duchowny" – Ejzyk Licht (zm. w 1864 r., w wieku 76 lat – odnotowany w akcie zgonu jako „wyrobnik").

Chasydzi

To, że nie udawało się przez wiele lat wybrać kolejnego rabina wynikało – jak to zanotowano później – z wewnętrznych sporów w społeczności żydowskiej miasta. Głównym powodem tych sporów było zapewne pojawienie się tu chasydyzmu. Obecność chasydów na terenie Królestwa Polskiego, jest na ogół dosyć słabo udokumentowana w archiwaliach, ale w Kazimierzu są oni wzmiankowani – co prawda rzadko, ale są. Chasydzi pojawili się tu być może już pod koniec XVIII w., i są tu odnotowywani w początkowych latach XIX w. (w 1812 r. Lejba Rapoport – zob. wyżej). Znany przedstawiciel chasydyzmu – cadyk Jechezkel (Ezechiel) Taub, urodzony w Płońsku, syn Cwi Hirsza, przybył do Kazimierza w 1827 r., wyproszony z Ciepielowa przez tamtejszych ortodoksyjnych Żydów. Taub osiadł tu i tu założył swój dwór, tu też zmarł w 1856 r. (nie zachował się akt zgonu). Miejsce jego pochówku jest nadal przedmiotem rozważań. Według tradycji został on pochowany na starym cmentarzu żydowskim, a nad jego grobem wzniesiono ohel. Cmentarz ten już w końcu XVIII w. był przepełniony. Pod koniec 1 połowy XIX w. władze administracyjne nakazały zamknięcie tego cmentarza i założenie nowego. Działkę na cmentarz – „kawał pola z zaroślami na mogiły czyli miejsca dla zmarłych" (przy ulicy Czerniawy) – ofiarował w 1851 r. Motek Hercberg. W lecie 1852 r. budowniczy gubernialny sporządził plan, w którym założono, że teren ten ma być ogrodzony od strony drogi murem, a także ma tam być drewniany dom przedpogrzebowy, kryty gontem. Darowiznę Hercberga zatwierdziła Rada

Administracyjna Królestwa Polskiego dopiero na początku 1861 r., ale pochówki rozpoczęto już wcześniej – zapewne jeszcze przed połową lat 50-tych XIX w., a na pewno musiał być czynny w czasie epidemii cholery w 1855 r. W czasie kiedy Taub zmarł nowy cmentarz żydowski był już czynny, jest więc prawdopodobne że Jechezkiel Taub spoczął właśnie na nowym cmentarzu. Wspominany przez mieszkańców Kazimierza ohel na starym cmentarzu mógł być wzniesiony nad grobem któregoś z wcześniejszych rabinów, np. Lejby Hochgelerta czy cadyka Israela Aarona Karfinkla. Ohelu Tauba nie odnotowuje Mejer Bałaban, który odwiedził ten cmentarz i w swoim opracowaniu z 1929 r. wspomniał znajdujące się tu nagrobki znaczniejszych osób.

Taub zapoczątkował dynastię chasydzką znaną przede wszystkim ze śpiewanych przez niego i jego potomków „nigunów" (melodii bez słów). Z czasem jego synowie, a potem także ich synowie przenieśli tradycje tej dynastii do innych miast Królestwa Polskiego (m.in. Zwolenia, Nowego Dworu, Wołomina, Dęblina (Modrzyc), a nawet do Galicji (Jabłonów). Zwolennicy tej dynastii zakładali „klauzy" (swoje domy modlitwy) w innych miastach (m.in. w Chełmie). Do dziś tradycja tej dynastii przetrwała w Izraelu.

W 1865 r. w urzędowym wykazie rabinów i duchownych w Kazimierzu odnotowany jest Chaim Taub (Jisrael Chajim) – „Duchowny", lat 36, który, jak zapisano, przybyły tu w 1856 r. z Płońska w guberni płockiej. Pojawił się on w Kazimierzu jednak już wcześniej – w 1848 r. Chaim Taub, lat 20, zastępca rabina w Tarłowie, zgłasza do tutejszych akt stanu cywilnego narodziny córki Dwojry, a w 1851 r. córki Perli Łai (obie z żony Chany). Wskazuje to, że bywał u ojca w Kazimierzu – także w późniejszych latach, i jego starsi bracia też musieli tu bywać. Można przypuszczać, że już w 1856 r. stanął on na czele kazimierskich chasydów, zastępując zmarłego tu ojca. Chaim Taub to zapewne najmłodszy syn Jechezkiela. W Kazimierzu mieszkała wówczas także wdowa po Jechezkielu – Rojza, z domu Abrachimow (?), córka Abrama i Estery, która zmarła tu w 1880 r., w wieku 79 lat. Mieszkała tu też w tym czasie siostra Chaima – Sara, po mężu Gliksberg, wspomniana w 1865 r. Chaim Taub odnotowywany był jako „Duchowny Zastepujący Rabina" – od co najmniej 1867 roku, do roku 1875. W księdze metrykalnej z 1889 r. zapisano, że Israel Chaim Taub – żydowski „duchowny" zmarł w Kazimierzu 2 października 1889 r., w wieku 60 lat. Wcześniej, w 1886 r. zmarła jego żona – Chana z domu Chopsztejn (Hopsztain, Hopstein), córka Suchera (Issachara), która była wnuczką słynnego kozienickiego cadyka – Jisraela Hopsztaina – zwanego „Magidem z Kozienic". Na nowym cmentarzu została pochowana córka Chaima i Chany – Bajla Miriam (zmarła pod koniec XIX, lub na początku XX w.), a jej macewa, znajduje się w pomnikowej ścianie wzniesionej w 1984 r. na terenie tego cmentarza. Na niej wymieni są: jej ojciec Chajim, dziadek cadyk Jecheskiel Taub i pradziadek Jisrael magid – z Kozienic). Macewa ta może świadczyć o tym, że na tym cmentarzu pochowani są też inni przedstawiciele rodziny Taubów, którzy zmarli w 2 połowie XIX w., w tym m.in. Rojza Taub, Chaim i Chana. Rodzina Taubów była obecna w Kazimierzu co najmniej do końca XIX w. – w księdze metrykalnej z 1896 r. odnotowano, że zmarło tu dziecko Rachmila Tauba i jego żony Dwojry Gitli, przebywających tu czasowo (zapewne u rodziny), stałych mieszkańców miasteczka Sienno, w powiecie Iłża.

Najczęściej wymienianymi przez archiwalia osobami związanymi z funkcjonowaniem gminy są „szkolnicy". Przede wszystkim to oni byli obecni przy zgłaszaniu zapisów metrykalnych – urodzin i zgonów, a także jako przedstawiciele gminy obecni byli też przy ślubach. W 1 połowie XIX w. długoletnim „szkolnikiem" był Izrael Herszkowicz Rozenblit (od 1810 r. do początku 1831 r. – zmarł w czasie epidemii cholery, w wieku 69 lat). Inni wymienieni w archiwaliach „szkolnicy" to: Ajzyk Joskowicz – furman (1810-1812), Marek Usierowicz (1812), Szloma Lewkowicz Goldwaser – krawiec (1829-1831 – także zmarł w czasie epidemii cholery), Zachariasz Tuchsznajder – krawiec (1831-1864), Beniamin Fajgenblat (1859-1891), Rafał Tyszelman – introligator (1864-1875), Froim Buchbinder – „mydlarz" (1866), Lejbuś Koral (1879-1884), Abram Josef Chitelman (1887-1910), Pejsak Kugiel – czapnik (1887-1910), Lejzor Jankiel Tuchsznajder – szewc (1889-1892), Beniamin Tyszelman (1889-1910), a krótko także Lejbuś Gurfinkiel (1905) i Moszek Mandelbaum (1905).

Inne osoby związane z funkcjonowaniem gminy to „rzezacy koszerni" – m.in. Mendel Abramowicz (1815) i Szyja Cytrynbaum (1827); „kantorzy" nazywani też „śpiewakami" – m.in. Jakub Maynotta (1810) i Fiszel Jakubowicz Mayzel (1827); „łaziennik" – Jankiel Wigdorowicz (1810); „stróż nocny" – Jeskiel Abramowicz (1812); „prawnik" – Szlama Zylbersztejn (1815). Osoby określane jako „dozorca" zajmowały się faktycznie dozorowaniem, a nie byli funkcjonariuszami „Dozoru bóżnicznego" – to m.in. Herszek Hidelsztejn" (1810), Boruch Rozenbaum (1830), Chaim Wartman (1831). Przedstawiciele „Dozoru bóżnicznego" odnotowani byli dopiero w późniejszych aktach (zob. niżej).

Wśród odnotowanych w zapisach metrykalnych zawodów, wykonywanych przez Żydów w XIX w., były głównie te tradycyjne – to m.in.: krawiec, szewc, piekarz, rzeźnik, kramarz, handlarz, wyrobnik; oraz te rzadziej odnotowywane zawody to m.in.: „Bakalarz", „Winiarz", „Translator", „Mistrz Kunsztu Hamerskiego", „Retman" i „Szyper wodny".

Spory w gminie żydowskiej w II połowie XIX w.

Ówczesne podziały wewnątrz społeczności żydowskiej nie są dziś zbyt czytelne, ale na ich obecność wskazują różne informacje archiwalne. Funkcję „zastępcy rabina" od 1848 r. pełnił, wspomniany wyżej, Jakub Moszkowicz Goldman (1849-1865). Został on w 1859 r. oskarżony o nadużycia finansowe oraz o to, że „nie uczęszcza do bużnicy tylko modli się w domu prywatnym", a ponadto nie umie czytać i pisać po polsku, w związku z czym powinien odejść z tego stanowiska. Goldman jednak „zjednał sobie kilku chussydów, którzy

chcieli jego powrotu" i został, po krótkiej przerwie (zastąpiony przez Ejzyka Lichta) przywrócony na to stanowisko w kwietniu 1861 r. Jednak na skutek kolejnych skarg w 1862 r. wybrano inną osobę, pełniącą funkcję zastępcy rabina – Gecla Kerszenbauma, który jak się okazało też nie znał polskiego, więc do czasów wyboru nowego zastępcy znowu przywrócono Goldmana, który jednak po kilku latach (w 1865 r.) ponownie został odsunięty.

Spór wewnątrz gminy jest też widoczny przy okazji kolejnych wyborów „Dozoru bóżnicznego". W 1857 r. „dozorcami" byli Izrael Lejb Zandsztajn – „dzierżawca podatku koszernego" i Szmul Grün (Grin) – „szyper". W projekcie budżetu gminy w roku 1867, podpisanym przez „dozorców" Grina i Izraela Icie Flisa, nie uwzględniono pensji dla rabina, gdyż „Gmina dotąd Rabina nie wybrała". Również nie przewidziano pensji dla „dwóch Szkolników Bożnicznych", ponieważ mieli oni własne dochody. Jeden ze „szkolników" był „przy bużnicy", drugi „przy Dozorze Bożnicznym". Może to także wskazywać na podział społeczności żydowskiej na grupę ortodoksów i chasydów. Wkrótce (1868 r.) grupa Żydów napisała skargę do Rządu Gubernialnego Lubelskiego na „Dozorcę" Grina, donosząc o popełnianiu przez niego „bezprawia i robienie nieporządków", a głównie o to, że nie dopuszcza do wyborów nowego rabina, gdyż funkcję zastępcy rabina pełni jego krewny – wspomniany Gecel Kerszenbaum. Podpisani pod petycją (60 osób) żądali wyboru nowego dozoru bóżniczego. Okazało się jednak, że obowiązki rabina pełnił nie Kerszenbaum, ale wspomniany Chaim Taub, a w opinii burmistrza miasta Grin jest dobrym „dozorcą". W 1869 r. zarządzono jednak nowe wybory, gdyż wcześniej zmarł jeden z „dozorców" – Herszek Borensztajn. W wyborach tych zostali wybrani: Szmul Grin (ponownie), Chil Libhaber i Chaim Mordko Blumenfeld. Magistrat miasta poinformował Naczelnika Powiatu Puławskiego o wyborach, pisząc, że ze 139 osób mających prawo głosu na wybory przyszło tylko zaledwie 57 uprawnionych, gdyż inni są w podróży albo chorzy. Zaznaczono, że wybrani „dozorcy bożniczni" nie należą „do sekty Hasydów". Szmul Grin i Chaim Mordko Blumenfeld, pozostali „dozorcami" przez kolejne lata. W 1877 r. dołączył do nich Chaim Minc (Münz) – wszyscy oni należeli do najbogatszych wśród mieszkańców gminy i wchodzili do pierwszej klasy płatników składki na jej utrzymanie (do nich należał też Chaim Taub). Skład „Dozoru" zmienił się w 1883 r. – jego członkami zostali Hersz Cytryn, Michel Blumenfeld i Abram Glikształjn (wszyscy nie należący do „sekty Chussytow"), w 1888 r. „Dozorcą" pozostał Michel Blumenfeld, do którego dołączyli Fiszel Rabinowicz i Szimel Edelsburg. Na początku XX w. do składu „Dozoru" powrócił Chaim Minc.

W roku 1877 r. na stanowisko zastępcy rabina został wybrany „duchowny" z Kraśnka – Chaim Lejb Majerowicz Zilberminc, mający 42 lata, zatwierdzony administracyjnie dopiero w 1886 r. W archiwaliach do tego roku określany jest on jako „pełniący obowiązki rabina". Zilberminc podpisywał kolejne budżety gminy, w których zrezygnował z pensji (300 rubli rocznie), co jest sytuacją dziwną, wynikłą być może z tego, że nie wszyscy spośród płacących składkę na utrzymanie gminy (tylko bogatsi Żydzi) chcieli opłacać nie akceptowanego przez nich rabina (ortodoksę albo chasyda). Po kilkunastu latach (1894 r.) władze administracyjne zakwestionowały ten wybór, gdyż jak zapisano Zilberminc nie zna języka rosyjskiego i „nie prowadził ksiąg rabińskich jak wymaga tego prawo". Oskarżenie takie spowodowane było donosem albo skargą i zapewne było kolejną konsekwencją sporów wewnątrz społeczności żydowskiej Kazimierza. Na to stanowisko bardzo szybko zgłosiło się kilku chętnych rabinów z innych gmin – z Lubartowa, Krasnobrodu, Połągi (w guberni kurlandzkiej), Włodzimierza Wołyńskiego (w guberni wołyńskiej), Tomaszowa Lubelskiego, Krasnegostawu, Brzezin (w guberni piotrkowskiej) i Trojanówki (w guberni wołyńskiej). Żydzi kazimierscy wybrali jednak na rabina Wolfa Joswowicza Bornsztejna – rabina z Końskowoli. Pełnił on tę funkcję w obu miastach przez ponad półtorej roku (1895-1896). Chaim Zilberminc po zaliczeniu egzaminu rabinackiego odwołał się i wrócił na to stanowisko w sierpniu 1896 r. Pod dokumentami zaczął podpisywać się już po rosyjsku, a wcześniej, jako „zastępca rabina", podpisywał się po polsku. Funkcję rabina pełnił w Kazimierzu co najmniej do 1910 r.

O wewnętrznych podziałach w społeczności żydowskiej w końcu XIX i na początku XX w. zdaje się świadczyć też statystyka z 1889 r., podająca, że był tu 1 rabin, oprócz tego 1 „duchowny" i aż 3 „nauczycieli tradycji religijnych" (najwięcej spośród innych gmin Lubelszczyzny). Własnością gminy była wówczas 1 synagoga i 1 dom modlitwy, ale parokrotnie różne osoby podejmowały starania o utworzenie prywatnych domów modlitwy. W 1872 r. Do Rządu Gubernialnego Lubelskiego zwrócił się Chaim Mordka Blumenfeld z prośbą o zezwolenie na zbieranie się na modlitwę jego rodziny i sąsiadów w jego prywatnym domu. Zgoda uzależniona była m.in. od płacenia przez wnioskodawcę corocznie 7 rubli i 50 kopiejek na rzecz „Dozoru bużnicznego". Argumentem Dawida Szlomy Szlamy, starającego się o takie zezwolenie w 1893 r., było to, że w Kazimierzu mieszka 2437 Żydów (w 92 domach, spośród około 250), a jest tu tylko 1 synagoga i 1 szkoła modlitewna, w których „w czasie modlitwy panuje wielka ciasnota". W podaniu z 1902 r. – od „Dozoru bóżnicznego" do władz administracyjnych – zanotowano, że taki dom modlitwy albo szkoła ma być przeznaczony dla „następców Tauba", czyli dla chasydów.

Pod koniec XIX w. w Kazimierzu osiadł chasyd – Mordechaj Twerski, syn Awrahama „Magida z Turzyska" na Wołyniu, z dynastii cadyków z Czarnobyla. Po jakimś czasie zrezygnował z pobytu w mieście i w 1905 r. wyjechał z rodziną i grupą jego zwolenników do Warszawy.

XX w. – do czasów II wojny światowej

Koniec XIX w. i początek XX w. to czas ruchów społecznych – powstawanie partii politycznych, organizacji społecznych i związków zawodowych – co było wynikiem rozwoju przemysłu. Intensyfikacji organizowania się różnych społeczności sprzyjała wymiana informacji związana z większą możliwością przemieszczania się

Podpis rabina Lejbusia Hochgielerta (Hochgielertnera) i świadków – „szkolników" i burmistrza Wawrzyńca Goltza

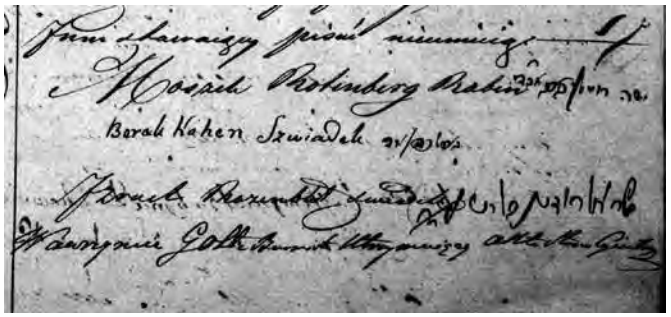

Podpis rabina Moszka Rotenberga i świadków i burmistrza Wawrzyńca Goltza

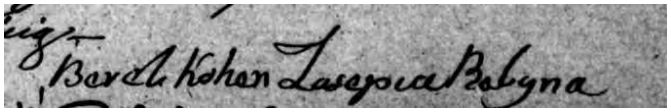

Podpis Berka Kohena – zastępcy rabina

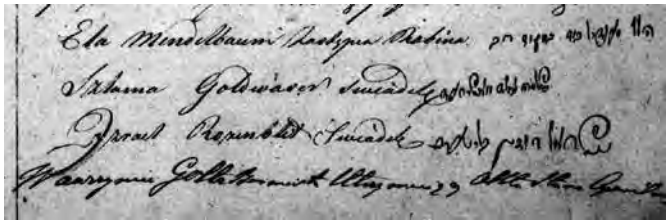

Podpis Eli Mandelbauma – zastępcy rabina, świadków i burmistrza Wawrzyńca Goltza

Podpis Izraela Arona Karfinkiela – zastępcy rabina, ojca panny młodej, pana młodego, świadków i burmistrza Wawrzyńca Goltza

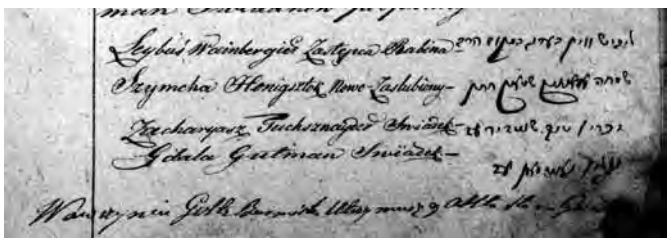

Podpis Lejbusia Wajnbergiera – zastępcy rabina, pana młodego, świadków i burmistrza Wawrzyńca Goltza

(kolej) i dostępnością do prasy. Niewątpliwy na wpływ na zmianę zachowań społecznych miały też wydarzenia I wojny światowej – przemarsze wojsk, tułaczka ludzi – całych rodzin czy poszczególnych osób, co było m.in. konsekwencją zniszczeń wojennych, które dotknęły wiele miast, miasteczek i wsi (głównie pożarów, będących wynikiem działań wojennych).

Po odzyskaniu przez Polskę niepodległości jako rabin Gminy Wyznaniowej Żydowskiej w Kazimierzu wymieniany jest (od 1920 r.) Izrael Zilberminc, być może syn albo krewny poprzedniego rabina. Na skutek działań wojennych i zniszczenia miasta liczba Żydów spadła o połowę – z około 2700 do 1382, ale wkrótce szybko wzrosła do 2350 osób w 1927 r., z których składkę bożniczą opłacało 325 najbogatszych Żydów. W budżecie opracowanym w tym roku wymieniono osoby z niego opłacane – wspomnianego rabina Izraela Zilberminca, dwóch rzezaków – Chaskiela Zynszajna i Mendla Rozenberga, sekretarza – Szola Frydmana oraz inkasenta (zapewne kasjerkę) – Basię Goldbaumową, którą potem zastąpił Lejba Lewinson (1928 r.), a następnie J. Bromberg (1930 r.). Budżet przygotowywali członkowie „Dozoru bóżniczego" – Pejsach Goldbaum – prezes, Jankiel Cukier, Noech Sznajderman i Srul Huberman, a zatwierdzał podpisem rabin.

Okres międzywojenny to w odrodzonej Polsce czas oddolnego organizowania się społeczności w różnego rodzaju związki pracownicze, stowarzyszenia, partie także społeczności żydowskiej – również w Kazimierzu – (tu m.in. partie: Poalej Cijon, Mizrachi, Agudas Isroel, Bund), biblioteki, czytelnie, kluby sportowe (Makabi, Sztern), powstała kasa zapomogowa i bank żydowski. To, że Kazimierz stał się miastem popularnym wśród malarzy, pisarzy, poetów i fotografów (w tym Żydów), musiało też oddziaływać na społeczność żydowską – nie tylko tutejszą. M.in. tu nakręcono filmy „Jidl mit fidl" (tytuł polski – Jideł gra na skrzypcach) i „W lasach polskich", a wygląd miasta stał się inspiracją do dekoracji dla filmu „Dybuk". Studentów malarstwa jeszcze przed I wojną światową przywoził tu na plenery Władysław Ślewiński, a w okresie międzywojennym Tadeusz Pruszkowski. Wśród jego studentów byli też Żydzi – m.in. Eliasz Kanarek, bracia Efraim i Menasze Seidenbeutlowie, a z Kazimierza – Szmul Wodnicki i Chaim Goldberg. Ówczesne miasto i jego społeczność opisali w swoich opowiadaniach m.in. Szalom Asz, Adolf Rudnicki i Jakub Glatsztejn, a udokumentował licznymi fotografiami Benedykt Jerzy Dorys.

W 1939 r. w Kazimierzu mieszkało 4641 mieszkańców, w tym około 2,5 tys. Żydów. Po wybuchu II wojny światowej Niemcy stosunkowo szybko, już w 1940 r., utworzyli tu getto, do którego nakazano przenieść się Żydom z miasta i okolic, na czele społeczności żydowskiej wyznaczono zarząd – „Judenrat". Getto znajdowało się na niewielkim terenie kwartału żydowskiego wokół Małego Rynku. Wkrótce przesiedlono tu grupę Żydów z Puław, a następnie grupę Żydów z Czech. W budynku browaru przy ul. Puławskiej został utworzony obóz pracy przymusowej, który działał od wiosny 1940 do jesieni 1942 r. Więźniowie (ponad 100 osób) pracowali w kamieniołomach i na terenie miasta. Z pozyskanych z cmentarzy

macew wykonywali oni chodniki i stopnie na terenie obozu, a także w mieście (przy siedzibie Gestapo w klasztorze reformatów). W marcu 1942 r. mieszkańców getta przesiedlono do getta w Opolu Lubelskim, a następnie wywieziono ich do któregoś z obozów zagłady – przypuszczalnie do Bełżca. W tej grupie opuścił Kazimierz ostatni kazimierski rabin Izrael Zilberminc, który według wspomnień mieszkańców szedł w kolumnie wychodzących Żydów niosąc Torę. W czasie likwidacji obozu pracy znajdujących się tu Żydów wywieziono dokądś, a kilkunastu rozstrzelano jesienią 1943 r. na nowym cmentarzu żydowskim.

Dzieje gminy żydowskiej Kazimierza Dolnego wymagają szerszych rozważań. Kwerenda dosyć rozproszonych materiałów archiwalnych powoduje odnajdywanie nowych informacji, które w połączeniu z dotychczasowymi publikacjami poszerzają naszą dotychczasową wiedzę. Badania nad historią tej społeczności winny być kontynuowane, gdyż gmina kazimierska była jedną z najciekawszych gmin żydowskich w Polsce.

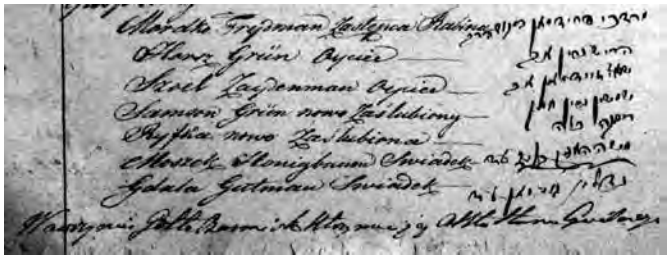

Podpis Mordki Frydmana – zastępcy rabina, ojców państwa młodych, państwa młodych, świadków i burmistrza Wawrzyńca Goltza

Podpis Jakuba Goldmana – zastępcy rabina, ojca panny młodej, pana młodego, świadków i burmistrza Feliksa Machnackiego

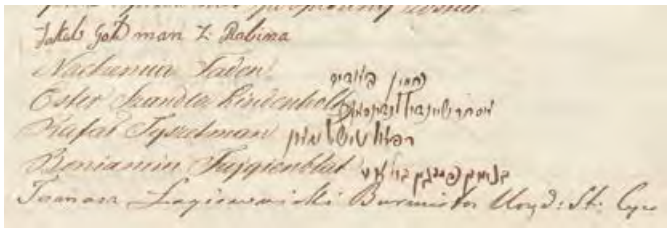

Podpis Jakuba Goldmana – zastępcy rabina, państwa młodych, świadków i burmistra Tomasza Łagiewnickiego

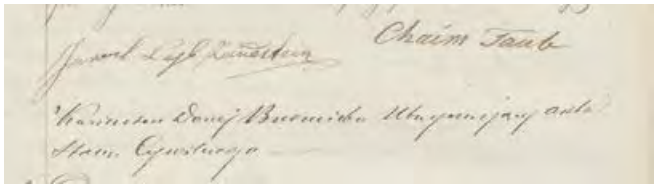

Podpis Chaima Tauba – „Duchownego" pełniącego obowiązki rabina i świadka ślubu

ANEKS

Wśród fragmentów macew w pomnikowej kompozycji na terenie nowego cmentarza żydowskiego zachował się fragment macewy żony któregoś z rabinów. Z inskrypcji nagrobnej wiadomo, że macewa stała nad grobem Frajdy Lei córki Jaakowa. Nie zachowała się jednak informacja o dacie jej śmierci, ani imię jej męża. Forma macewy wskazuje, ze wykonana została pod koniec XIX lub na początku XX w. Poszukiwania zapisu w księgach metrykalnych osoby o takim imieniu i patronimikum zakończyły się niepowodzeniem, ale brak kilku ksiąg z tego czasu. Mogła to być żona rabina Jakuba Goldmana, albo Chaima Lejby Zilberminca. Być może żmudna kwerenda archiwalia pozwoli w przyszłości ustalić kim była odnotowana na macewie osoba. Tekst inskrypcji nagrobnej tłumaczeniu na język polski przez Andrzeja Trzcińskiego brzmi następująco:

...

[Jest nagroda] za jej uczynki od Boga groźnego.

Nakazów dla kobiet bardzo przestrzegała.

A także pozostałe przykazania wypełniała.

Swojemu mężowi – rabinowi, gaonowi była posłuszna.

Aniołowie poprowadzili ją na spoczynek.

Oto ta niewiasta, rabinowa, pani

Frajda Lea córka naszego nauczyciela Jaakowa ...

z lewitów, żona tutejszego rabina ...

...

Podpis (po polsku) Chaima Lejby Zilberminca – zastępcy rabina, państwa młodych, świadka i wójta gminy Kazimierz – Karola Ulanowskiego

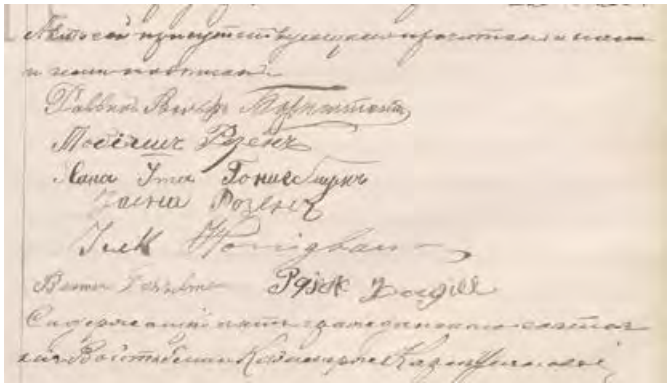

Podpis (po rosyjsku) Wolfa Bornsztejna – rabina, państwa młodych, ojców państwa młodych, świadków i i wójta gminy Kazimierz – Karola Ulanowskiego

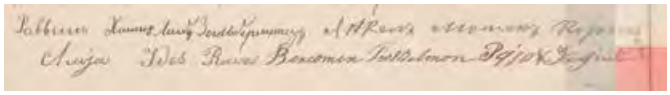

Podpis (po rosyjsku) Chaima Lejby Zilberminca – rabina, państwa młodych i swiadków

Tyły południowej pierzei Rynku
źródło: Archiwum

ŹRÓDŁA

Archiwum Główne Akt Dawnych w Warszawie
Centralne Władze Wyznaniowe Królestwa Polskiego

Archiwum Państwowe w Lublinie
Urząd Stanu Cywilnego – wyznanie mojżeszowe
Rząd Gubernialny Lubelski I (1837-1866)
Rząd Gubernialny Lubelski II (1867-1917)
Urząd Wojewódzki Lubelski – Wydział Społeczno-Polityczny (1919-1939)
Starostwo Powiatowe Puławskie (1920-1939)

PODSTAWOWA BIBLIOGRAFIA

M. Adamczyk-Garbowska, *Kazimierz vel Kuzmir. Miasteczko różnych snów*, Lublin 2006.
M. Bałaban, *Zabytki historyczne Żydów w Polsce*, Warszawa 1929
Cała, H. Węgrzynek, G. Zalewska, *Historia i kultura Żydów polskich. Słownik*, Warszawa 2000
Historia i kultura Żydów Janowca nad Wisłą, Kazimierza Dolnego i Puław. Fenomen kulturowy miasteczka – Sztetl. Materiały z sesji naukowej „V Janowieckie Spotkania Historyczne". Janowiec nad Wisłą 28 czerwca 2003 roku (red. F. Jaroszyński), Janowiec nad Wisłą 2003
W. Husarski, *Kazimierz Dolny*, Warszawa 1953
Jizkor buch. Pinkas Kuzmir. Sefer zikaron (red. D. Sztokfisz), Tel Aviv 1970
K. Kozyra, *Cmentarze żydowskie w Kazimierzu Dolnym*, Lublin 2002 (mps pracy magisterskiej pod kier. dr Andrzeja Trzcińskiego, Uniwersytet Marii Curie-Skłodowskiej, Wydział Artystyczny)
Materiały źródłowe do dziejów Żydów w Księgach Grodzkich Lubelskich, oprac. H. Gmiterek – t. 1 (1697-1733), Lublin 2001; t. 2 (1669-1697) Lublin 2003; t. 3 (1633-1669), Lublin 2006; cz. 4 (1587-1632), Lublin 2014
W. Odorowski, *Malarze Kazimierza nad Wisłą*, Warszawa 1991
A. Sas-Jaworski, B. Strynkowski, Żydzi kazimierscy. Dzieje, kultura, kuchnia, Kazimierz Dolny 1989
A. Sas-Jaworski, *Dzieje Żydów kazimierskich*, Warszawa 1997
I. Schiper, *Przyczynki do dziejów chasydyzmu w Polsce (1942)*, Warszawa 1992
S. L. Shneiderman, *The River Remembers*, New York 1953
P. Sygowski, *Nieco informacji o Żydach, bożnicach i cmentarzach żydowskich Kazimierza Dolnego* [w:] Brulion Kazimierski , cz. 1, z. 2/2001; cz. 2, z. 3/2001
P. Sygowski, Żydzi Wąwolnicy i ich cmentarz, Lublin 2018
Sylwetki Żydów lubelskich. Leksykon, (red. nauk.: A. Kopciowski, A. Trzciński, S. J. Żurek, M. Adamczyk-Garbowska), Lublin 2019
Szlakami sztetli. Podróż przez zapomniany kontynent (red. prowadzący – E. Majuk), Lublin 2013
Śladami Żydów. Lubelszczyzna (oprac. tekstów: M. Kubiszyn), Lublin 2011
J. Teodorowicz-Czerepińska, *Kazimierz Dolny. Monografia historyczno-urbanistyczna*, Kazimierz Dolny 1981
Tu był kiedyś mój dom … Księgi Pamięci gmin żydowskich (wybór, opracowanie i przedmowa: M. Adamczyk-Garbowska, A. Kopciowski, A. Trzciński), Lublin 2009

Zofia Mitosek

ALFABET KAZIMIERSKI

(trochę osobisty)

A – Andrzej Pawłowski, geograf opublikował w drugim numerze Brulionu artykuł „Jak kształtował się kazimierski pejzaż". Okazuje się, że początki tego miejsca sięgają 250 000 000 lat. Dowodzą tego relikty z wapnia, które w kształcie muszli odkryto w kamiennych skałach otaczających resztki gór. W miejscach tych istniało morze, a właściwie różne morza, w zależności od różnic w milionach lat. Słynne gleby lessowe, przynoszące chwałę i urodzaj okolicznym polom pojawiły się o wiele później, już po wysychających morzach i zapełniły wąwozy. Dzisiaj możemy tylko przypuszczać, jaka była kazimierska przeszłość. Ja w niej uczestniczyłam, zbierając w Wiatrakówce kamienie z odbiciami muszelek.

B – Baszta była od zawsze. Widać było, jak dominowała nad Kazimierzem, piękna i groźna. Podobno była wieżą obronną z czasów króla Kazimierza. Albo – jak mówili inni – miejscem więziennym dla rozbójników. Historycy jednak stwierdzili, że wieża wyprzedzała budowę zamku Kazimierza Wielkiego, sięgała czasów Łokietka, i że stanowiła rodzaj latarni morskiej (na górze paliło się ognisko) dla statków płynących ze wschodu do portu na Wiśle. Kiedy byłam mała, bałam się na basztę popatrzyć, a co dopiero wejść. Chłopaki na szczyt włazili i pokrzykiwali. Ja znalazłam się przy schodach. Na kolanach wlokłam się na górę. Ale na szczyt nie weszłam. Już prawie dorosła, pokonałam siebie i zobaczyłam z góry niezwykły widok. Wisła, Góry, dachy spichrzów, kominy Puław. A z drugiej strony – pola, lasy, Czerniawy... Ale już prawie dorosła, tkwiłam na szczycie na kolanach.

C – Czerniawy są niezwykłe. Nie dlatego, że spędziłam tu dzieciństwo i młodość. Czerniawy były piękne. Przed wojną mówiono „Polska Szwajcaria" albo „Wąwóz dla zakochanych". Przed drugą wojną. Bo po pierwszej Kazimierz pozostał spustoszony przez Austriaków. Kiedy odbudowywano centrum, artyści dostrzegli piękno Czerniaw. W latach dwudziestych budowano tu duże wille, część z nich istnieje do dzisiaj. Między innymi nasz dom, koło kierkuta – bo dziadek to miejsce przepisał synowi, który się żenił z biedną dziewczyną. Biedna dziewczyna nie okazała się biedna, bo przy-

Rodzinny dom autorki, willa „Leśniczówka". fotografia z oferty AD NIERUCHOMOŚCI CEZARY PAPLIŃSKI

niosła stolarzowi talent artystyczny, malowała szkatułki, które mąż produkował. I tak powstał duży dom: dla rodziny, letników polskich i żydowskich. Dom na wzgórzu, wśród drzew i kwiatów.

J – Jako dziecko chłonęłam piękno Czerniaw. Do drogi schodziło się po schodkach. Bo po drugiej stronie było inne wzgórze, z domem pisarki Kuncewiczowej, której zresztą w Polsce nie było, w pięknym budynku mieściły ubowskie kolonie. Wchodząc na to wzgórze zbierałam konwalie, które na mojej górze nie kwitły. A dalej w stronę źródła, na przeciwległej górze rosły małe brzózki, które „rozkwitały" (tak mówiłam) na pierwszego maja. Wołałam: To już wiosna, to już wiosna. A potem goniłam na naszą górę zbierać przylaszczki. Na szczycie był sad i pole. Dziadek nie żył, syn stolarz miał inną robotę, pole ktoś dzierżawił, ale w sadzie były gruszki i jabłka, oliwki, poziomki, renety. Wracałam do domu z góry przez Wiatrakówkę z fartuchem pełnym owoców. A potem przez najpiękniejszą alejkę świata, gdzie kwitły storczyki, a na poboczu rosły grzyby. Takie były Czerniawy. Dlaczego nikt o nich nie pisze, za to piszą o Mięćmierzu, kamieniołomach, Wiśle i Puławskiej ze spichrzami, o wąwozie korzeniowym i Kwaskowej Górze rozjechanej przez meleksy. Tu zresztą teraz mieszkam. Uciekłam z Czerniaw od skłóconej o spadki rodziny. Rodzina też wyjechała. Kazimierz Dunia z pełną ambicją wykształcił czworo dzieci. Nie za swoje pieniądze, ale za dobrą wolę Polski Ludowej. A Czerniawy? Giną w spalinach i huku samochodów. Nieraz nawet parkują na kirkucie, odnowionym cmentarzu żydowskim.

D – Dunia to nazwisko popularne w Kazimierzu. Dziadek Dunia, stryjek Dunia, sąsiad z Lubelskiej Dunia, burmistrz Dunia, Zosia Dunia... Do czasu. Dunie się nie kończą, ale kończy się moja miłość do Duniów. Na weselu siostry studenci z STSu śpiewali „Ajaj Dunia ma, Dunia diewoczka maja". Po rosyjsku. Tata nie lubił ruskich. Ja nie lubię ruskiej Duni. Szybko oderwałam się od wieczystej generacji. Stałam się Mitoskiem z Puław. Też śmieszne nazwisko, Mitosek pochodzi z Woli Gułowskiej. Tu urodził się Sienkiewicz. A trochę dalej chłopsko-profesorska rodzina mojego męża

E – Ekfraza to utwór literacki opisujący dzieło sztuki. Myślę więc książka Waldemara Odorowskiego „Malarze Kazimierza nad Wisłą" jest sumą ekfraz? Bo opisuje obrazy Karmańskiego, Michalaka, Siemińskiego? Ale sprawdzam w słowniku terminów literackich: ekfraza to utwór poetycki opisujący obraz. Odorowski nie jest poetą, tylko historykiem sztuki. Kto napisze wiersz o obrazach Michalaka? Starego i młodego? Na razie nikt. Poproszę Wandę, ona tworzy poezje. Więc może napisać o obrazie swojego syna, Jasia Michalaka. Fenomen kolejki poznałam w latach osiemdziesiątych ubiegłego wieku. Wiadomo, puste sklepy, na kartki kupowało się mięso z kością, cukier, wódkę. Nam było wszystko jedno, byle było jedzenie dla dzieci, byle było wino. Za kartki dostawałam francuskie książki – stary krytyk literacki potrzebował ich na wódkę i papierosy. Kiedy nie wytrzymywałam, jechałam do Kazimierza. I tam, w sklepie elektrycznym kupowałam nieosiągalny w Warszawie mikser. A w sklepie przy plebanii wino mszalne. A w sklepie tekstylnym ciepłą bluzkę. To wszystko w Kazimierzu b y ł o. I różne sklepy przy rynku b y ł y. Ale najważniejszy był sklep mleczny, ważniejszy od mięsnego, bo mięso kupowało się u baby. A w mlecznym ser żółty, bez kartek, ile chciałaś, bo kto by w Kazimierzu jadał ser żółty. I masło, i śmietanę, i twaróg. Kolejka w mlecznym kształtowała cały mój dzień, kiedy doszłam na rynek była prawie szósta. Wielki tłum, ludzie dyskuto-

Willa Ignacego Daszyńskiego (nieistniejąca). fot. Jerzy Kuna

wali, mówili, że na granicy stoją ruskie czołgi, ale ich Solidarność nie wpuści. I dziwili się, że Wałęsa, prosty robotnik działa przeciw komunistom. A gdy nad Farą zaczynało wschodzić słońce, z radością zbliżałam się do lady i koło siódmej wracałam na Czerniawy. Jadłam z mamą śniadanie (sery, sery), pakowałam torby (mięso od baby też) i z kazimierskimi zapasami goniłam pierwszym autobusem do Warszawy, żeby zdążyć na popołudniową poetykę. Do dzisiaj widzę zimowe słońce nad farą.

G – **Gromy** z jasnego nieba spadły w południe. Rano było spokojnie, ale niebo kręciło się podejrzanie. Nagle około dwunastej zagrzmiało. Czym prędzej składałam krzesła i leżaki. Jeszcze miałam podskoczyć do miasta po chleb. Jeden kilometr to nic, pojechałam rowerem. Na Lubelskiej grzmiało coraz mocniej, niebo zrobiło się ciemne, rozjaśniane błyskawicami. I te gromy. Ileż czasu szykował się deszcz... dojechałam z chlebem do domu i modliłam o krople wody. Ale nic, tylko grzmoty. Wreszcie odpuściło, wśród błyskawic płynęły potoki wody. Grodarz wylał się na drogę. I nie przestawało grzmieć, burza nie mogła się skończyć. Kot schował się pod tapczan. Wyszedł, kiedy gromy ucichły. Lało „jak z cebra". Drogą płynęła kawa z mlekiem. To cudowny less nabierał siły. Ruszyłam, kiedy się uspokoiło. Drogą szły zachlapane przez dowcipnych kierowców dziewczyny. Rzucały kamienie w szyby wozów, które ich ochlapywały, i uciekały w krzaki. Kierowcy klęli burzę, glinę i pomysłowe panienki.

H – **Hebrajskie** pismo zobaczyłam na Kierkucie. Pod górą zostało dużo żydowskich nagrobków, niektóre bardzo piękne, z rzeźbami kielichów i książek. I dziwne napisy, z prawej na lewo. To groby jeszcze sprzed wojny, pewnie bogatych Żydów. Moje intuicje potwierdzili złodzieje. Pewnej niedzieli, kiedy szłam w górę na kwiatki – właśnie rozkwitły dzwonki - zobaczyłam niżej, przy grobach mężczyzn z łopatami. Pewnie szukali złota. Uciekając do domu, krzyczałam „złodzieje", przestraszyli się i szybko odeszli. Więcej na Kierkut sama nie chodziłam.

I – **Irka,** moja piękna siostra chciał by artystką. Grała na fortepianie, śpiewała w chórze i solo, np. ballady Mickiewicza. Artystka po maturze musi trafić do szkoły na miarę swojego talentu. Pojechała na egzamin aż do Poznania. Wybrała repertuar, solo i w chórze. Wyszła z egzaminu promieniująca. Odpowiedź pojawiła się szybko. Miła panno, twój piękny głos nie pokona skomplikowanych melodii. Masz chore płuca. Wtedy przypomniała sobie zwapnienie płuc, które przeszła po wojnie. Z płaczem wróciła do Kazimierza. Zdała egzamin na geografię w Lublinie. Śpiewała w chórze akademickim.

J – **Już** nie ma fortepianu. Wróciłam ze szkoły, a ojciec krzyczał: złodzieje, wszystko zabiorą. Bo to było tak: długo fortepian stał w pokoju, zajmował prawie połowę, ojciec nie grał, wolał skrzypce, ale czasem przyjeżdżał brat i grał Suliko, a i Irka coś brzdąkała z opery. Podobno w czasie wyzwolenia grali na nim ruscy żołnierze. Ale potem nie było pieniędzy i ojciec wynajął dom Orbisowi. My w lecie spaliśmy w kuchni czy na strychu, a w pokojach letnicy z Warszawy. Fortepian wynieśli do małego domku. Jeszcze stał. Siostra urządziła tam sobie pokój i pisała magisterium z geografii, a w przerwach grała. Ale przyszedł wielki podatek, domiar za Orbis, ojciec nie miał z czego zapłacić, przypomniał sobie, że żona czapnika chciała kupić instrument, ma dzieci, więc poszedł do niej i powiedział: niech pani bierze. Sprzedał za 1000 złotych, w sam raz

Pensjonat Sosików, fot. Jerzy Kuna

na domiar. Kiedy wróciłam do domu, fortepian wywozili furą. Mnie tam wszystko jedno, i tak nie grałam, nie to co bracia i siostra, ich przed wojną uczył jakiś pianista. Na moją naukę nie było już pieniędzy. W nosie mam Orbis, ale fortepianu żałuję. Pociesza mnie muzyka z radia, słucham do snu Sonaty księżycowej Beethovena.

K – Kiedy tata pozbył się fortepianu, wyciągnął mniejsze instrumenty: mandolinę, skrzypce, harmonię (mówi się akordeon) i muzyka dalej brzmiała po wigilii. Ojciec kochał skrzypce. Był chory, na rencie zajął umuzykalnianiem najmłodszej córki. Znalazł na strychu jeszcze jedne skrzypce, stare partytury, dokupił nowe nuty i kalafonię, po szkole miałam się uczyć grać. Zaczęłam od gam, potem uczyłam się nut i koniec, nie mogłam więcej. Uciekałam na sanki, ojciec dalej grał, wracałam do domu, włączałam kołchoźnik, ojciec wołał: słuchaj, grają Bacha, ty też będziesz grała jego fugi. Gdzie tam, nie chciałam. I wtedy ojciec brał harmonię, siadał pod piecem, grał tanga, polki, mazurki, a ja tańczyłam. I tak się skończyła się moja przygoda z graniem.

L – Lubię chodzić na zamek. Co mój ojciec Kazimierz Dunia miał wspólnego z królem Kazimierzem poza tym, że się tu urodził? I jeszcze coś. Pod zamkiem Kazimierza Wielkiego sprzedawał pamiątki z Kazimierza. Ja, Kazimierzanka, dedykowałam dwóm Kazimierzom książkę o powieści, z dedykacją „Kazimierzowi – ojcu, miastu". Ale powinnam napisać „Szekspirowi", bo na okładce mojej „uczonej" książki jest reprodukcja obrazu Kazimierskiej Konfraterni Sztuki. I napis: „Gdzie tak naprawdę tworzył Szekspir, czyli nieznane kartki z dziejów Kazimierza". I rozproszone fragmenty miasta, z portretem Szekspira w środku. Obraz zniknął z Kazimierza, ale w mojej głowie pozostała idea sztuki, którą przeniknięte jest życie.

Ł – Ładne. Kazimierz, księżyc, kamień z muszelką, przebiśnieg, muchomor, fiołek, hortensja, poziomka, mój sąsiad Olek, pole z chabrami, jaskółki, maliny, motyle, wąwozy, dzieci na podwórku...

Brzydkie – parasole na rynku, podcienia bez jaskółek, handlarki z pamiątkami, kebab na miejscu księgarni, dom Slavii Radow, Lewiatan zamiast apteki, ruiny po restauracji Esterka, toalety nad Wisłą.

M – Mój dom jest obok Kierkuta. Cmentarz żydowski został przeniesiony z Lubelskiej na Czerniawy w 1858 r., a w 1928 r. dziadek przypisał młodemu Kaziowi działkę koło Kierkuta. Ojciec zatrudniony w branży stolarsko-rzeźbiarskiej ożenił się z Janką Szymanowską, kuzynką samobójczyni Dębskiej, która nauczyła ją malować. Produkcja małych pudełeczek pozwoliła wybudować duży dom z kolumnami. Kierkut nie przeszkadzał, rzemieślnicy śmiali z żydowskich płaczek, które opłacane przez żałobników ożywiały tragiczne uroczystości. Czasami po pogrzebie wstępował do nas rabin aby napić się wody i nie tylko wody. Lubił gadać z ojcem, mówił: Panie Dunia, pan to masz szczęście, takie żonę i taki dom. Ale nie stawiaj pan swoich pamiątek na rynku koło naszych straganów, my jesteśmy tacy biedni... I wychodził po schodkach. Kilka miesięcy później na naszym domu pojawił się „baner": „Stosowne kasetki, tace ozdobne, popielniczki, postumenty do zegarów – wszystko rzeźbione w drewnie – kupić można w Chrześcijańskiej Pracowni Kazimierza Dunia na Czerniawach. Firma wychodzi naprzeciw klienteli o różnych gustach przyjmując zamówienia na specjalne wyroby w zakresie rzeźbiarstwa". Ojciec się śmiał, interes to interes, nawet chrześcijański. I zdarzało się, że wynajmował pokoje na żydowskie kolonie.

Ale przyszła wojna. Żydzi opuścili swoje domy, musieli się przenieść do getta nad Grodarzem. A z czasem opuścili Kazimierz. Nie z własnej woli. Rodzice opowiadali, jak szli Czerniawami do Poniatowej, a potem nie wiadomo gdzie. Spokojni ludzie, spokojni sąsiedzi nie wiedzieli, że idą do obozów koncentracyjnych. Niemcy łapali uciekinierów, wtedy na Kierkucie słychać było strzały, płacze, krzyki dziecinne „Meme, meme". Nie słyszałam, byłam w brzuchu matki. Matka płakała, po cichu mówiła: „Mordercy". Płakała, kiedy ojciec po egzekucji, kiedy czarne suki odjechały, brał wodę i gonił na kierkut. A może jeszcze ktoś żyje... A matka do śmierci powtarzała: gdybyś wyszła za Niemca, wyrzekłabym się ciebie.

M – Matka – widzę ją jak stoi w oknie przed tarasem i mówi „Mój Boże, świat jest taki piękny, a tu trzeba umierać". I widzę jak schodzi z górki do samochodu, siostra zabiera ją do Pionek. Ja jej nawet nie odprowadzam, piszę referat na kongres do Kanady, śpieszę się. A Mama na to „piszesz i piszesz, poleciałabyś na alejkę, padał deszcz, może są grzyby, ja nie mogę wchodzić w górę, to przynajmniej ty..." A ja na to: „Czytasz i czytasz, co z tego pamiętasz". A ona: „A co mam robić, na dziurawiec nie pójdę, na mszę, jeśli mnie zawieziesz. I są jeszcze książki. Sienkiewicza zawsze lubiłam, teraz na twoim strychu znalazłam Nałkowską. Kazik nie czytał, nic tylko skrzypce i skrzypce. I chórzystki w kościele. Kazik to mój ojciec, już 10 lat nie żyje. Skromną dziewczynę oczarował chłopak z miasta, po ślubie troje dzieci i ja w czasie wojny. Marzyła o pięknych strojach, o książkach, a tu zamiast futer przyszła wojna. Potem ojciec pracował w Lublinie aby wykształcić dzieci, a ja miałam Matkę i książki dla siebie. Zimą siedziałyśmy pod piecem, ja czytałam Andersena, a Mama swoje książki z biblioteki: Kraszewskiego, Sienkiewicza, Prusa. Kiedyś podkradłam jej „Emancypantki" i przeczytałam w ciągu kilku nocy. Długo szukała Prusa, żeby oddać do czytelni. Jakoś go podrzuciłam. W lecie nie było czasu na lekturę: chodziłyśmy na grzyby i jagody i szykowałyśmy jadło dla chmary rodzeństwa z ojcem, która w niedzielę wpadała na przysmaki do Mamy. Umarła szybko i czysto – jak powiedziała Kuncewiczowa o swoich rodzicach. Dom stoi pusty. Odczepić się od Czerniaw, przecież duchy żyją wszędzie, wystarczy być w Kazimierzu.

N – Nad Wisłą jesienią jest pięknie. Nie latem, kiedy tłum wypełnia wały. Lubię jesienny zmierzch, kiedy słońce już schowało się za wzgórze w Janowcu, a nad Kazimierzem unosi się lekka mgła, czuję wilgoć, resztki liści pod nogami, została tylko

jedna barka. Wspominam czasy studiów, kiedy pogrążona w książkach w staromiejskiej bibliotece, wyrywałam się nad inną, warszawską Wisłę, aby pobyć w myślach nad tą kazimierską. I przypominał mi się księżyc nad drogą w Czerniawach, wielka zimna kula, która wynurzała zza góry, a ja wyliczałam planety Merkury, Uran, Neptun, Pluton, Ziemia, Mars. I przypominała mi się „Sonata księżycowa"... Ten księżyc towarzyszy moim snom w Warszawie – przez okno sypialni widzę złotą kulę i nie mogę spać. Za kilka dni widzę już tylko sierp i sen jest lepszy. A najlepszy jest w nowiu, kiedy księżyc na kilka dni ginie. I nagle jego sierp pojawia się z drugiej strony, aby znowu dotrzeć do bezsennej pełni.

N – Nie ma Esterki. Nie chodziłam w dzieciństwie do restauracji, byłam za mała i za biedna. Ale po maturze zaczęły się dansingi, tańczyłam z moim puławskim narzeczonym do późnej nocy. Kiedyś mój puławski narzeczony został poddany kawalerskiej próbie. W szale rock and rolla zobaczyłam za werandowym oknem kilku kazimierskich chłopaków. Wołali Tadka. Wiedziałam, że chcieli mu wlać. Pełen honoru rwał się do nich, ale z koleżanką udało się go zatrzymać. Dalej tańczyliśmy. Do dwunastej. Ambitni „rycerze" kazimierskiej panny nie wytrzymali, z koleżanką wzięłyśmy naszego chłopaka pod ręce i biegiem popędziliśmy do domu. Ale to był już koniec Esterki. Ktoś kupił budynek, rozebrał stary, miał wybudować nowy, ale aż do dzisiaj blisko Fary stoi ruina.

O – Obrazy w moich domach (mieszkam też w Warszawie) się wymieniają. W Warszawie Kazimierz: dwa dzieła Andrzeja Siemińskiego – odmienne czasowo wersje Wisły, wielkie dzieło artysty z Bractwa Świętego Łukasza (nie mogę odczytać nazwiska artysty, ojciec mówił, że zostawił obraz, bo nie miał pieniędzy, żeby zapłacić za pokój) wisi nad moim łóżkiem, przypominając o Farze, potem Kmity studnia pod kościołem i futurystyczne drzewo Ikonowicza. Na innej ścianie jest jednak wielka kopia realistycznego Picassa „Dziecko z gołębiem". W Kazimierzu są obok siebie trzy obrazki - to Fikołki Krzystoporskiego, dalej – Natalii Subboty zwariowane pałace, dalej – kochany Place du Tertre z Paryża oraz – zachwiany rynek – czyj może być rynek kazimierski jak nie Tramecourta. A z boku Kossowskiego bagna nad Chodelką. Jest jeszcze w innym pokoju łąka Gnatowskiego i dziwny obraz Siemińskiego: na dole tłum ludzi, których głowy wyglądają jak łąka pełna kwiatów, a w tle nieba coś na kształt krzyża. Wystarczy. Galerii nie odwiedzam, mój dom to nie muzeum, widzieć to tyle, co czytać, martwię się, gdzie znajdę miejsce dla Ewy Siemińskiej.

P – Przyjaciółka była córką doktora. Najważniejsza w szkole, na przerwach jadła kanapki z pomarańczami, kto z kazimierskich dzieci jadł wtedy pomarańcze! W klasie dominowały dzieci stolarzy, szewców, krawców, chłopscy uczniowie z okolic. Zaprzyjaźniłyśmy się z Ewą w siódmej klasie, kiedy na WF-ie po walce o piłkę obydwie wycierałyśmy zakrwawione kolana. Razem ganiałyśmy po wzgórzach, odwiedzałyśmy klasztorne piwnice, żeby zobaczyć oszklone trumny z trupami zakonników. Koło Ewy było pełno chłopaków, a ja zawsze miałam nieszczęśliwe miłości. Ale we dwie byłyśmy najlepsze w klasie. Na początku ogólniaka jej matka zadecydowała, że będzie się uczyć u sióstr Urszulanek, w Szymanowie pod Warszawą, bo Kazimierz nie ma odpowiedniego poziomu dla córek doktora. Ewa wyjechała, pisała listy, przyjeżdżała na ferie, urządzałyśmy wtedy prywatki. Zdała na medycynę. Nieraz opowiadała mi o seksie na studiach. Szybko wyszła za mąż, szybko rozwiodła się, szybko znalazła drugiego męża, wyjeżdżała jako lekarz do Afryki, pracowała jako chirurg, po śmierci syna natychmiast zaadoptowała bliźniaki, będąc szkolną lekarką wychowała i wykształciła dwóch chłopców. Ciężko pracowała i dużo paliła. Kasłała. Kiedy mówiłam jej, że to groźne, odpowiadała „Każdy musi umrzeć". I umarła. Płaczę po Ewie, była moją przyjaciółką, a teraz jest tylko wspomnieniem.

R – Rynek w Kazimierzu zdominowany był przez Aptekę. Istniała tam od zawsze. Jeszcze przed pierwszą wojną. Ale dwa lata temu zniknęła. Właściciel apteki pochodził z żydowskiej rodziny Lichtsonów, przetrwał wojnę, mieszkał w Łodzi, władze PRL nie odebrały mu rynkowej kamienicy, na której piętrze długo urzędowała milicja. A na dole sklep tekstylny i właśnie apteka. Pomieszczenie ze starymi szafami i regałami, na których wystawione były zioła i leki bez recepty. Z tyłu warsztat farmaceutyczny, w którym pracowała pani Walczakowa. A w centrum, przy kasie główna Aptekarka. Po jej śmierci unowocześniono regały, ulotnił się czar dawnych leków, ale dalej apteka była centrum Rynku. Dawny właściciel chciał sprzedać kamienicę, kilka lat temu znalazł się kupiec z okolic i zastąpił Aptekę Lewiatanem. Nie ma dawnej Apteki, jedyna działa na Lubelskiej. Przypominam sobie, że kiedy zdałam maturę, będąc na rynku wstąpiłam po zioła. Aptekarka spytała: No i co, dostałaś się na studia? Odpowiadam, że tak. Gdzie, w Lublinie? Nie, na polonistykę w Warszawie. Chyba nie uwierzyła.

S – Stodoła dźwięczy Chopinem. W jesienne popołudnie z trudem dotarłam przez kocie łby do Mięćmierza. W stodole Towarzystwo Przyjaciół Kazimierza, trochę ludzi, na scenie wielki fortepian, a szef towarzystwa Bartłomiej Pniewski przedstawia młodą kobietę, która zaśpiewa pieśni Chopina. Stodoła wypełnia się tłumem, nikogo nie znam, w większości to artyści osiadli tutaj, jest jakiś chłopak bywający na moich sobotach literackich. Młoda kobieta śpiewa, pogrążam się w jesiennej muzyce, przypomina mi się jesienny grób na Saint Lazare w Paryżu. I te melodie, płynące ludowymi parafrazami. Dziwne, przecież ja nie lubię Chopina, za dużo go było w domowym kołchoźniku, ale te pieśni dzisiaj mnie uwodzą. Wracam do Kazimierza moją Mikrą przez Okale i nucę „Mgła, mgła mi do moich oczu zawiewa". A po bokach drogi widzę wierzby, które przypominają mi fotografie Tomka Sikory.

S – Szkoła nasza zawsze była dobra. W budynku zbudowanym przed wojną, w 1951 r. wykształcili się pierwsi maturzyści, między innymi moja siostra. Większość z nich wybrała się na studia,

polonistki z Kazimierza w Warszawie działały w Studenckim Teatrze Satyryków. Kiedy ja pojawiłam się w szkole, budynek okazał się za mały i Karol Siciński zaprojektował nowy, a właściwie powiększył stary. Liceum kwitło, istniały dwie klasy maturalne. Młodzież z okolic mieszkała w internacie nad attyką, z mojej klasy prawie wszyscy dostali się na studia. Mieliśmy dobrych nauczycieli i wspaniałych absolwentów, lekarzy, chemików, architektów, muzyków, historyków. Sławili nasze miasto w całej Polsce: architekt Tado Michalak, filmowiec Tadeusz Pałka, Ewa Leszczyńska – chirurg, Maciek Chojecki - kardiolog , Marysia Cieślak – profesor chemii, Ela Głowacka - entomolog i ja, profesor UW i Sorbony. Oraz wielu wielu innych, nie pamiętam, już dawno wyjechałam z Kazimierza. A tam stoi nowa, trzecia szkoła wybudowana po eksplozji gazu. Wielka – tylko uczniów jest mało.

T – Trzynasty grudnia 1981. Pamiętam ten ranek, twardy głos Jaruzulskiego, kalie, które zostawiłam w kościele, przerażone krzyki sąsiadów, bimber który piliśmy z rozpaczy, milczący telefon, pytania co się dzieje z rodzicami w Kazimierzu, trzeba tam jak najszybciej pojechać, ojciec chory. Pojechałam dopiero 2 stycznia. Za późno. Na dworcu wschodnim musiałam pokazać papier usprawiedliwiający wyjazd do Puław. Pokazałam telegram, ale urzędniczce w kasie to nie wystarczało, każdy może dostać papier z poczty, żądała uzasadnienia z urzędu dzielnicowego. Nie miałam, mój pociąg odjechał. Po długich sporach kobieta ustąpiła, mogłam kupić bilet. Za późno, kiedy weszłam do szpitala, tata umierał. Chorzy mówili, że jeszcze dwie godziny wcześniej rozmawiał. Co by mi powiedział, córce podobnej do niego „jak dwie krople wody". Był na zatwierdzeniu mojego doktoratu, poznał mojego promotora... A teraz – mogłam tylko ucałować jego twarz i zamknąć mu oczy. W Kazimierzu matka płakała, powiedziała „Przecież będzie mu zimno". A ja myślałam o bezduszności urzędniczki, która słuchała się władzy. Była sobota, pewnie w niedzielę poszła do kościoła.

U – Uwagę moją zawsze przyciągały książki. To chyba po Matce. Szkoła, studia, wykłady w Paryżu i Kanadzie – literatura była najważniejsza. Pamiętam jak jechałam pociągiem z Montrealu na wykład w Toronto i czytałam – po francusku – „Bramy raju" Andrzejewskiego. Obok mnie siedziała starsza pani i też czytała. Spytała, co czytam. Ja ją także. Ona pogrążała się w Margaret Atwood. I zaczęła opowiadać o klubie książki, który działa już pięćdziesiąt lat. Były małżeństwa, chrzciny, pogrzeby. Zbierają się nad lekturą powieści. Ale nie tylko, czytają dokumenty, reportaże, teksty polityczne. Rozstałam się z miłą czytelniczką. I zaraz pomyślałam o Kazimierzu. Wracam do Polski, ale nie tylko uniwersytet jest ważny. I za rok powstał Salon literacki w Domu Kuncewiczowej. Czytelników było sporo, zagłębiali się w powieściach i wierszach. Działa ten klub już 12 lat, teraz w KOKPICIE. Zbieramy się co miesiąc, lektury są poważne, nie żadna łatwizna, literatura południowoamerykańska, ale także Hemingway, Faulkner i Tokarczuk – jeszcze przed jej Noblem przerabialiśmy „Księgi Jakubowe".

Z – Znalazłam literacką konkurencję. Przygotowuję na sobotę literacką „W poszukiwaniu straconego czasu". Trafiam na francuską książkę „Dictionnaire amoureux de Marcel Proust". Taki sam układ jak w Alfabecie Kazimierskim, podział na pierwsze litery, bez żadnej kompozycji. Na przykład ***Immortel*** (nieśmiertelny), a kilka stron dalej ***Instant d'avant*** (za chwilę) A co ja innego robię? Wprowadzam bałagan do kazimierskich cudów, Rynek łączę ze stodołą, szkołę z księżycem, a nad tym wszystkim unosi się miłość do Miasta, tak jak miłość Marcela do Czasu.

Dawny pensjonat na Czerniawach, fot. Jerzy Kuna

Wanda Michalak

WIERSZE

fot. Sylwester Doraczyński

Noc białej śmierci

Wybucha fajerwerk: co się dzieje?
Rzeka pełznie polonezem i słucha gwiazd:
Uspokój się; to strzał na wiwat!
Od brzegu rusza flisak: nie wierzy,
patrzy na leprozorium...
fala niesie strach:
...Zaraza skończona?
Przecież trwa sto lat sto lat sto lat!..
Pokryty wapnem szpital – truchleje, milczy
a spod wody tryska herold!
Łapie się wiosła, łyka świat:
– choroba – wygasła – ocalało – mało,
idą ze znakiem ZDROWY na czole...
Z nich bogowie i muzy kompletują dwór,
poeta złe oko laurami zasłania,
a król staje na głowie – korona nie spada,
nie parzy, leży jak ulał, pęcznieje i pęka!
Tysiąc odłamków razi ciężarną kobietę:
bucha krzyk krew miłość boska
aż znika dziecko
po drugiej stronie
dna

Pisklęta

Orły w niewoli wydają
kalekie potomstwo:
głupie sowy,
kruki albinosy,
wyrodne pelikany,
czerwone łabędzie
i kolibry–giganty.
Później stary orzeł pada
na zawał lub wylew, a orlica
ma ptasi nowotwór.
Z czasem dzieci
wracają do gniazda na skale:
towarzyszy im śmiech.
Kto się śmieje, śmiać się będzie,
wcale nie ostatni.
Niewola trwa dopóty,
dopóki
więzień tańczy
jak mu zachichoczą.

Poezja I

Głód ma cuchnący oddech i krwawiącą skórę
nogi z waty i noc w głowie,
z której błyskają srebrne i złote ognie
Poezja jest wieżą z kości Innego,
albo minus wieżą poniżej poziomu ziemi,
skąd słychać głosy
wiszących głową w dół
łamanych kołem dziejów i pychą klasyków.
Klasycyzm nie woła z dachów,
siedzi w puszce i szepce
sobie na uszko trzymane przy ścianie:
Poezjo, moja duszko! Cóż dziś wystukamy?...
Wolność wie, że potrafi,
choćby i tym razem się nie udało.

Miasto

Przepadnij miasto o wytrzeszczonych oczach
i rękach skręconych w woluty.
Idźcie precz żabie brzuchy i nachalne skrofuły.
Uciekajcie wdowy w ciężkich welonach,
tkwiące u ceglanego muru na żeliwnym balkonie.
Opuśćcie mnie strychy spróchniałe, lochy zbutwiałe,
drżące klatki schodowe i zmurszałe bramy.
Niech się zapadną łęgi, niech bagno pochłonie kruki,
okupujące ogrody.
Pękajcie brudne szyby i wystygłe piece,
pękaj, moja głowo:
niech się wyłuska kolec,
niech odpocznę.

Rosną miasta

Rosną w tobie miasta: im dłużej tym bardziej.
Są z ciosów granitowych,
bezgłośnie zatrzaskujących pierścienie,
które ogromnieją.
Nie wiesz, co się dzieje,
lecz nie wierzysz,
że są tylko fabryczne syreny,
tylko cmentarne konwalie
i strach.
Ogrody są tak jaskrawe,
jak studzienny błękit
nagłych oczu.
Przyjdą do ciebie.
Czekaj.
Są.
Blask ma się ku zachodowi,
lecz wstanie.
Nawet jeśli ściemnieje na nowo nad miastem,
to będziesz już wiedział,
że jest.

Dom

Dom jest niedużą skrzynką
w rękach najwyższego,
z której wielkie oczy
oglądają świat.
Dlatego dzień jest jasny
ogień ciepły
woda czysta
chleb powszedni
i bądź wola twoja.
Jeśli nie
po domu hula wiatr a o dach bębnią łzy.
Jeśli tak – bliźniego swego
naucz.

W domu starców

W domu starców mieszkają dzieci –
same sieroty.
Są piękne, złośliwe, łakome, próżne
i ciekawe świata,
który traci szczegóły i wygładza się
w dalekowzrocznych oczach:
jest kolorową ptaszarnią
lub drogą przez nieprzebyty las.
I tu, i tam pojawia się mama,
choćby po raz kolejny
chciała zniknąć z rodzinnego
pliku.
W domu starców dzieci znów są bezzębne,
lecz przed sobą mają przyszłość:
ukołyszę je do snu,
kiedy przyjdzie ich czas.

Szczęście

Szczęśliwy, kto ma okna
w każdą stronę świata,
bo ze słońcem wirują
chleb, warsztat i ogień.
Szczęśliwy, kto sad tuli
i do szpaka gada,
śledzi krety, czci ważki
i zawraca strumień.
Szczęśliwy, sprawiedliwy,
który źdźbła nie widzi,
oddycha sarabandą,
ziewa, kiedy lżą
Nieustraszony zwiastun
najlepszej nowiny
ze światła i zmiłowania.

Wanda Michalak – absolwentka polonistyki i dziennikarstwa (UAM) i muzeologii (UJ). W latach 2005 – 2016 kierowała Domem Kuncewiczów, oddziałem Muzeum Nadwiślańskiego w Kazimierzu Dolnym. Utworzyła i wydawała czasopismo literackie „Klematis", pisała miniatury teatralne wystawiane na muzealnej scenie. Ich bohaterami byli m. in. Maria i Jerzy Kuncewiczowie, George Sand, Julia Hartwig, Zbigniew Herbert. Jest ponadto autorką baśni „Gdzie jesteś, wróżko?"(1979 r.), powieści „Wielkie Nieba! Fuga" (2004 r.), dramatu „Stół" (2007 r.), tomu poezji „Pacynki i zioła" (2019 r.) i zbioru esejów „Literackie noblistki. Piętnaście lasek dynamitu" (premiera 10 lipca 2020 r.).

Aleksander Błoński

TAKA MELODIA, TAKA PIOSENKA

Piszę przerażony epidemią. Długo długo po jej wybuchu wychodziły tygodniki, miesięczniki (co tu dużo gadać – periodyki) jakby nigdy nic. W horoskopach radzili inwestować i latać za granicę dla rozrywki.

Jak jeszcze było „normalnie", to w reklamach samochód musiał jechać po moście. Może to most exclusive, a może, że most łączy.

Zacząłem gorzej sypiać. Szczerze powiedziawszy, jeszcze gorzej, bo nigdy za dobrze. Słucham radia. Trochę przykimnę, przecucę się i słucham.

Prognozę pogody sponsoruje wytwórnia rupieci Zbynio. Jakby nie zasponsorowała, to byśmy nie znali prognozy, czy jak? I jeszcze serumregenerumflupumpaznokcium (na jednym oddechu) niewłaściwiestosowanyzagrażatwojemużyciulubzdrowiu. Pewnie najpierw zdrowiu, później życiu. Czyli przed użyciem, ciesz się życiem. Ostrzeżenie o lekach w totalnym bełkocie, za to rozwlekle: Jak zawsze świeże, tanie laptopy i drobne AGD, no Marian!

Najlepsze są teksty piosenek. Nie będę dawał cudzysłowów, bo to przekleństwo drukarza i korekty. Co ja z tym drukarzem? Pewnie teraz daje się pen drive`a i oni z tego lecą. Minister Szyszko zwoził do Brukseli słoiki z kornikiem-drukarzem. Wojciech Młynarski mówił, że piosenka pomaga w myśleniu, ale go nie zastępuje. W takim razie myśleć mi wolno.

„Wiem, co chodzi ci po głowie". Na to jest skuteczny szampon. „A ty wino pij. Sąsiedzi walą w drzwi. Niech się walą". „Niech wali się świat". Ten przynajmniej nie jest detalistą.

Problem zakupów w piosence. „Kupiliśmy prawie wszystko, a nie mamy nic". Tak właśnie było. Nie robić zapasów, wszystko jest na sklepowych półkach. A później ryk z objazdowych głośników „ZOSTAŃ W DOMU". No to skąd mieć zapasy, zostając w domu? To się nie trzymało kupy, a może właśnie się jej trzymało?

„Wyprowadź się z moich stron". Akcja piosenki musi toczyć się w powiecie, przecież nie w metropolii. Przypomniał mi się student-cudzoziemiec, który twierdził: a w naszej Prażewica to ja miał wszistkie ciewcziny! Żartowniś z jego roku: to musiała być jakaś malutka miejscowość.

„Gdzieś w hotelowym korytarzu krótka chwila". Oczywiście Osiecka. Albo: „Ile mogłeś mieć takich chwil". Problem tak zwanej chwilówki, czyli pożyczki na krótko. W międzywojniu: „zaraz wezmę od szefa a conto, kupię jej bukiecik róż".

Jeszcze coś z aktualności. Prominentny przedstawiciel pewnego ugrupowania, pragnący zachować anonimowość, mówi do żony, z którą ma rozdzielność majątkową: miałem w Sejmie taki ciężki dzień, że nic nie zjadłem. Ona: otworzę ci puszkę. On: chętnie, tylko najpierw coś zjem.

Wiem. Cała ta pisanina powinna mieć związek z Kazimierzem.

Pensjonat „Pogodny". Gościł tam Uniwersytet Trzeciego Wieku. I zawołanie: Dziewczyny! Obiad! I dziewczyny pod siedemdziesiątkę mkną na posiłek. A któregoś dnia rano słyszę męski głos: Dzień dobry nieletnia. Ale może to było: Dzień dobry nie letnia.

Bo kto się na gorącej sparzył, ten oziębłą…

No, chłopie, żebyś nie przedobrzył.

fot. Aleksander Biński

Maria Krzysztoporska

PLANETA SZKOLNA 21 W GALAKTYCE KAZIMIERZ DOLNY...

...to tytuł wystawy Jerzego, niezwykle znaczącej dla układu planetarnego Krzysztoporskich, w którym tu i tam zapuszczają oni swoje korzenie.

Od 1983 r. nasza rodzina, Marysia, Jurek i Jakub Krzysztoporscy, zapuszcza korzenie w kazimierską glebę, a ten proces opisać można poprzez zjawisko, wzięte ze świata roślin, pod dziwnie brzmiącą nazwą - HETERORYZJA. Czego dotyczy to zjawisko i jak się ono ma do wkorzeniania się Krzysztoporskich w lubelską krainę?

Korzenie krótkie i długie

Otóż jest to zjawisko zróżnicowania korzeni na krótkie i długie. Podstawową funkcją korzeni długich jest zapewnienie roślinie umocowania w podłożu, a także transport substancji pobranych przez korzenie krótkie, które zapewniają roślinom zaopatrzenie w wodę i sole

Jerzy i Maria Krzysztoporscy

mineralne. Pomimo istnienia warunkowanego genetycznie generalnego układu korzeni, system korzeniowy wykazuje dużą plastyczność, dostosowując się do niejednorodnych warunków panujących w podłożu. W miejscach, gdzie ilość składników pokarmowych jest wyższa, następuje zagęszczenie systemu korzeniowego poprzez powstanie dodatkowych rozgałęzień bocznych, a nawet zaniku korzenia pionowego.

Jeśli uznać, że korzeń pionowy naszej małej trzódki zlokalizowany jest w Warszawie, to boczne korzenie rozciągają się po znacznie rozleglejszych terenach naszego kraju, szczególnie jeśli chodzi o mnie i Jakuba, zakorzenienie Jerzego w warszawską glebę jest mocniejsze. Jest to związane z miejscami z których pochodzą nasi przodkowie, ale również tymi miejscami w Polsce, które przez nas odwiedzone, zawierały w sobie zdecydowanie wyższą ilość składników dających pokarm naszym umysłom i sercom, zagęszczając nasze ukorzenienie poprzez częstotliwość z jaką powracamy do nich. Takimi miejscami są Bieszczady czy Beskid Sądecki z ukochanym Starym Sączem.

Moje i Jakuba korzenie, poprzez mojego Tatę sięgają ziemi lubelskiej, a konkretnie wsi Pilaszkowice zlokalizowanej w powiecie świdnickim, gmina Rybczewice, stanowiących onegdaj ojcowiznę króla Jana III Sobieskiego, którego wizerunek odnajdujemy na ścianach kazimierskiej Fary, jako uczestnika Mszy Świętej przed wyruszeniem na bitwę pod Wiedniem. Moja Mama i Tata, kiedy byli jeszcze młodym małżeństwem, podczas jednego z licznych spływów Wisłą, wyszli na kazimierski brzeg z pokładu kajaka i jak wielu, pozostali pod urokiem tego niepowtarzalnego miejsca. Za przyczyną Mamy moje boczne korzenie sięgnęły Suwalszczyzny, pięknych okolic o zbliżonym do Lubelszczyzny pofałdowaniu terenu, gdzie błękit wody Wisły zastępują rozlewiska wielu jezior. Na Górze Zamkowej, na terenie wsi Szurpiły, położonej pomiędzy jeziorami: Szurpiły, Jeglówek, Jeglóweczek i Kluczysko w czasach odległego średniowiecza, znajdowała się siedziba Jaćwingów, ludu bałtyjskiego spokrewnionego z Prusami i Litwinami, którzy w roku 1282 najechali w liczbie 3 tysięcy na Lubelszczyznę, bynajmniej nie w celach turystycznych.

Siła jednej wycieczki

Powróćmy jednak z mroków średniowiecza do czasów współczesnych i stanowiącego pewien rytuał edukacyjny, najazdu jednodniowych wycieczek uczniów szkół podstawowych, pieszczotliwie nazywanych przez niektórych Kazimierzan „stonką" zrzuconą na Kazimierz Dolny w sezonie poza wakacyjnym. Lata temu byłam uczestnikiem takiego zorganizowanego najazdu, z którego w mojej pamięci pozostały poprzestawiane, jak przypadkowo rozrzucone klocki, cuda kazimierskiej architektury. Nie było jeszcze wtedy Kazimierskiego Muzeum Klocków Lego, które wprowadziłoby jakiś porządek w ten dziecięcy rozbiegany sposób zwiedzania. Ale Kazimierz odwiedzały nie tylko wycieczki nieletnich, czasami przyjeżdżały też grupy emerytów i rencistów, którym po przydługiej pogawędce przewodnika na

Ogródek sztuki - wejście.

parkingu pod spichlerzami, pozostawał skromny czas na wchłonięcie uroku kazimierskiego rynku i tylu innych czekających na nich cudów.

Jednym z porażonych urodą miejsca był Jerzy, który w roku 1980, pozostając na rekonwalescencji po wypadku motocyklowym (rana kolana, którą to przypadłość najlepiej opisał bohater Denisa Diderota, Kubuś Fatalista – „Panie nie sądzę, aby istniało w świecie coś okrutniejszego niż rana w kolano"), zgodził się pojechać ze swoją Mamą na jednodniową wycieczkę właśnie do Kazimierza. Tu wchłonąwszy piękno miejsca, zapomniał o ranie w kolano i postanowił wrócić tu na dłużej.

Nasze początki w Kazimierzu

I wróciliśmy do Kazimierza, który przez te 37 lat zmieniał się na naszych oczach, ale jest jednym z dwóch naszych miejsc serdecznych, położonych na prawym brzegu Wisły, od której brzegu idąc pieszo, czy na warszawskiej Pradze Północ, czy w Kazimierzu, mamy do przebycia podobny dystans.

Nasze noclegowe początki to pole namiotowe przy przystani nad Wisłą, czy camping przy spichlerzu PTTK, schronisko Wianuszki, a z czasem kwatera u państwa Gajdków na ulicy Nadrzecznej, czy mały domeczek usytuowany w sadziku przy ulicy Krakowskiej, w obszarze nazywany przez nas „wsią podkrakowską", wynajmowany od państwa Motyków, gdzie jeden z naszych znajomych, nie bacząc na pozostawione mu otwarte drzwi do domku, podczas nocnego

Galeria Jerzego

Wejście do domu.

seansu w sadzie pokonał, według własnego oświadczenia, 15 tysięcy komarów.

Nasze początki w Kazimierzu to piękne czasy inwazji komarów i skromnych warunków higienicznych na polu namiotowym, a jednocześnie uroczej bliskości Wisły, młodzieży grającej na gitarach i bębnach, lodów na Sadowej u „Lodka", kawy w szklankach, zapiekanek i listy przebojów „Trójki" słuchanej i tańczonej w Amfibarze, gromad ptaków siadających wieczorami na drzewach przy wale, no i oczywiście Jurek od rana, ale również wieczorem przy skromnym oświetleniu rynku, zapisujący akwarelami na papierze to co w klimacie kazimierskim niepowtarzalne. Tak rysującego i malującego Jurka wypatrzył właściciel „Galerii Galanterii" Edek Kalinowski „Siwy", rozkładający ekspozycję obrazków we wnęce przy Rynku. Było to miejsce niepowtarzalne, gdzie swoje dzieła wstawiało wielu malarzy i gdzie rozmawiając i żartując można było przesiedzieć cały dzień. Zdarzało się w soboty, gdy zamieszkaliśmy w bezpośredniej bliskości dworca Warszawa Wschodnia, iż porannym pociągiem docieraliśmy do Puław, aby po spędzeniu uroczego dnia w „Galerii Galanterii" wieczornym pociągiem powrócić do Warszawy. Galeria poznanych u „Siwego" osób to nie tylko malarze, ale również mieszkańcy Kazimierza. Wielu z nich, już dzisiaj podobnie jak „Siwego", odwiedzamy na kazimierskim cmentarzu wdzięczni za wspólnie spędzone chwile.

Sąsiedzi nie tylko ze Szkolnej

Z „Siwym", jego żoną Becią, córką Madzią połączyła nas bliska relacja, gościli nas w swoim mieszkaniu w szkole, było ciasno, ale rodzinnie. Z Edkiem, Betą i Magdą, po pokonaniu Wisły Edkową pychówką, biwakowaliśmy na plażach nad Wisłą naprzeciw Męćmierza i Kazimierza, to były cudowne chwile z pieszymi wypadami do Janowca, świeżymi smażonymi rybami, słonecznymi i wodnymi kąpielami. Na okolicznościowych przyjęciach Beci poznawaliśmy, nie przewidując tego, swoich przyszłych sąsiadów ze Szkolnej. Poznawaliśmy też uroki tej ostatniej, wiejskiej w charakterze, uliczki Kazimierza. Ale na zamieszkanie na niej pod numerem 21, musieliśmy poczekać do 1995 r., o czym potem.

Drugim miejscem przesiadywania i nawiązywania kontaktów był murek przy kawiarni Rynkowa. Tu poznaliśmy Wojtka Hubickiego i jego żonę Miłkę Szczepkowską. Polubiliśmy się gorąco. Jeszcze wtedy Wojtek i Miłka mieszkali w Katowicach i tak jak my przybywali na sezon do Kazimierza. W tych czasach hasło, że piwo Łódzkie wyjechało już windą z piwnicy kawiarnianej, było jak zwołanie do pospolitego ruszenia do stolików. Inną funkcję pełniła kawiarnia rano, gdy o godzinie 10 na kawie i herbacie spotykali się stali bywalcy, omawiający przebieg rozpoczynającego się dnia. W późniejszych czasach spotkania na porannej herbatce otrzymały nazwę „próżniaczej herbatki". Najbardziej wierną uczestniczką porannych herbatek w Rynkowej, do końca jej funkcjonowania pod kierownictwem Janusza Ziółka, pozostała Miłka Szczepkowska. Były również takie dni, gdy poranne spotkania przechodziły, w południowe, po czym popołudniowe i w końcu wieczorne nasiadówki przy zmieniającym się składzie. Występowało również zjawisko poszerzających się stolików. Przy stolikach spotykało się wielu artystów malarzy, rosła w umysłach i sercach koncepcja Kazimierskiej Konfraterni Sztuki. Powstawały i znikały galerie sztuki otwierane przez poszczególnych artystów lub ich zgrane zespoły. Niepostrzeżenie w artystycznym klimacie Kazimierza, u boku „mistrzów" dorastało pokolenie dzisiejszych czterdziestolatków, którzy stanowią artystyczną teraźniejszość i przyszłość miasteczka.

Jurek i jego galeria

W 1994 r. Jerzy wraz z Wojciechem Hubickim otworzyli w jednym z pomieszczeń budynku Jatki, autorską galerię „Mały Rynek". Wtedy mieszkaliśmy jeszcze na ulicy Krakowskiej i o określonej porze Jurek przychodził na przygotowany przeze mnie obiad, a w galerii zastępował go Wojtek. Po powrocie z obiadu Jerzy znajdował śmieszny rysunkowy komentarz Wojtka do bieżących wydarzeń. Jerzy szybko zorientował się, że Wojtek pomimo pożegnania się, po cichu wracał, podchodził do okienka galerii i kontemplował reakcję Jerzego na swoje prześmiewcze zajęcie. Poczucie humoru Wojtka znalazło szczególne ujście w cyklu akwarel „Przedmieścia Kazimierza Dolnego…Monachium…Paryż…Kalkuta itd. Poza obrazami Jerzego i Wojtka w galerii wystawiali swoje prace inni artyści kazimierscy, a wśród nich mieszkaniec Małego Rynku Andrzej Siemiński, z którym i jego żoną Katarzyną zaprzyjaźniliśmy się. Rozmawialiśmy, spacerowaliśmy, uczestniczyliśmy we wspominanych do dziś ogniskach. Latem 1995 r. odszedł od nas nasz ukochany przyjaciel i towarzysz górskich wypraw 12-letni jamnik Oleś. Teraz do głaskania mieliśmy już tylko sukę Andrzejków Babę, przeurocze psisko, które przyplątało się do Katarzyny na ulicy Puławskiej.

Działka numer 21

We wrześniu 1995 r. ziściły się nasze pragnienia znalezienia własnego miejsca w Kazimierzu. Działkę pod numerem 21 przy ulicy Szkolnej kupiliśmy od pani Katarzyny Jakimowicz i jej brata pana

Zygmunta Jakimowicza, którzy na stałe mieszkając w Warszawie, a będący ludźmi stanu wolnego, wspólnie spędzali wakacje w swoim kazimierskim letnisku. Rodzeństwo państwa Jakimowiczów zakupiło działkę w roku 1970 od małżeństwa Wandy i Aleksandra Czoków z Józefowa pod Warszawą. Po 25 latach cieszenia się urokami skromnego wakacyjnego bytowania na Szkolnej, gdzie nawet znajdujący się po sąsiedzku pensjonat Willa Słoneczna odwiedzany przez znane osoby ze świata kultury, w owych czasach nie oferował letnikom zbyt wielkich wygód, uznali że w ich wieku są to zbyt spartańskie warunki i postanowili sprzedać to, co my z ochotą, dzięki moim rodzicom, zakupiliśmy. Pani Katarzyna Jakimowicz, sanitariuszka w Powstaniu Warszawskim, absolwentka ASP zajmowała się wzornictwem przemysłowym, a jej brat był matematykiem. Oboje urodzeni w latach dwudziestych XX wieku odeszli od nas w pierwszej dekadzie XXI wieku. Spełniło się nie tylko nasze pragnienie, ale również pragnienie pani Katarzyny, która sama rysując i malując chciała, aby to miejsce przeszło w ręce osób malujących, które je pokochają. To pragnienie wypełniło się bardziej niż pani Katarzyna mogła sobie to wymarzyć, gdy w roku 2001 po zakończeniu działalności Galerii „Mały Rynek", Jerzy przeniósł ekspozycję swoich prac do „Ogródka sztuki" przy ul. Szkolnej i miejsce ukochane przez panią Katarzynę stało się miejscem nie tylko stałej ekspozycji prac Jerzego, ale również miejscem już pięciu wystaw wpisujących się, w kolejnych edycjach, w programy Festiwalu Dwa Brzegi.

Tajemnicza ściana znajdująca się na naszej posesji, która przez Wojewódzkiego Konserwatora Zabytków w piśmie z roku 1993 określona została: „murem/ścianą z niszą, stanowiącego obecnie rodzaj muru oporowego dla stoku wzgórza od strony północno-wschodniej, nie zbadana archeologicznie pod kątem układu ewentualnie odkrytych fundamentów", pobudzała i pobudza wyobraźnię współczesnych, dla Miłki i Wojtka stała się pretekstem do próby wystraszenia Jerzego w czasie jego pierwszego noclegu na nowym miejscu. Ściana miał być oczywiście nawiedzana przez duchy dawnych mieszkańców wzniecających nocne hałasy w okolicach północy. Hałasy owszem pojawiły się, ale były to biegające po dachu koszatki…choć strach miał wielkie oczy, a Jerzy do dziś wspomina tę noc.

Jesteśmy u siebie

Potwierdzeniem, że nasze korzenie zaczęły już na poważnie wrastać w kazimierską glebę, stał się fakt przyjęcia do naszej rodziny rodowitego kazimierskiego psa, kundla o wzroście psa dingo, któremu nadaliśmy imię Koleś. Miałka Szczepkowska, która znała Kolesia od kołyski zapytana o jego rasę stwierdziła – to oczywiste, piwik kazimierski! Rodzicami Kolesia była miejscowa para: czarnofutry, wilkowaty przystojniak (imię ojca poszło w niepamięć) i suka o imieniu Wika, o oryginalnej urodzie. Kumplami Kolesia zostali Brązik i Piszczała, kolejne psiaki Katarzyny i Andrzeja Siemińskich.

Nie ma już wśród nas ani Wojtka, ani Edka, ani Miłki, ani Andrzeja, ani wszystkich wymienionych po imieniu psów. Cóż życie ma swoje prawa, a my ze zdziwieniem stwierdzamy, że we wrześniu tego roku minie już 25 lat naszego gospodarowania na Szkolnej pod numerem 21.

A co z korzeniami? Ze względu na ilość składników pokarmowych dla ducha i ciała, w które obfituje kazimierska gleba, następuje u nas nieustanne zagęszczanie systemu korzeniowego poprzez powstanie dodatkowych rozgałęzień bocznych dające uczucie, że jesteśmy u siebie.

Bogdan Rokicki

EDWARD RODZIK – MALARZ AMATOR

Edward Rodzik, lata 70-80 XX w. fot. Henryk Dębski. (zdjęcie uzyskane dzięki uprzejmości Wandy Michalak)

Kazimierzanin

Edward Rodzik urodził się w lipcu 1913 r. w Kazimierzu. Jego rodzice mieli gospodarstwo rolne na Górach III. W Kazimierzu ukończył podstawówkę. W późnych latach trzydziestych ożenił się z Kazimierą z Doraczyńskich, także mieszkanką Kazimierza. Zamieszkali przy ulicy Puławskiej. W 1942 roku urodziła im się córka Maria. Dwa lata później żona Edwarda zmarła.

Po raz drugi ożenił się Rodzik w 1945 r. z Ireną z domu Werman, wdową. Razem wychowywali córkę z jego pierwszego małżeństwa. Mieszkali w wynajętym drewnianym domku przy Senatorskiej, za Łaźnią. Po kilku latach przenieśli się na Lubelską. Tutaj powstał ich własny dom. Część mieszkalną zaprojektował Edward, przewidział nawet kilka pokoi dla letników. Całość konsultował z architektem Karolem Sicińskim.

W życiu zawodowym imał się Rodzik różnych zajęć, ale wszystkie miały związek z handlem, do tego miał wrodzone zdolności. Zaczął od sklepiku galanteryjnego, który otworzył w swym domu na Lubelskiej. Po kilku latach podzielił los wielu „prywaciarzy", których wyparły z rynku podatki i domiary. Wtedy poszedł „na państwowe", a ściślej – „na spółdzielcze". Najpierw była spółdzielnia wikliniarska, a potem GS. To właśnie wtedy prowadził kultowy bar „*Pod Jeleniem"* na Lubelskiej, który z czasem zamienił na sklep „żelazny" na Krzywym Kole. Tutaj wytrwał do emerytury.

Edward był społecznikiem. Szefował miejscowej Ochotniczej Straży Pożarnej, przewodniczył komitetowi rodzicielskiemu w kazimierskim liceum, zasiadał w samorządzie Banku Spółdzielczego w Kazimierzu Dolnym.[1] Zawsze był otwarty na ludzi, towarzyski i powszechnie lubiany. Autentyczna pogoda ducha, jaką reprezentował sąsiadowała z powagą i odpowiedzialnością. Przełożyło się to na ważne stanowisko w lokalnej administracji, według jednych- burmistrza Kazimierza, według pamięci innych - jego zastępcy.

Il.1. Poświęcenie motopompy strażackiej, lata 40- 50 XX w., naczelnik OSP w Kazimierzu Dolnym Edward Rodzik stoi obok księdza, z drugiej strony architekt Karol Siciński..[2]

Narodziny malarza

Zainteresowań plastycznych przez długie lata Rodzik nie przejawiał, może trochę majsterkował. Miał natomiast inne hobby: pszczelarstwo, hodowlę kaktusów, szczepienie drzew i kwiatów. Malowanie odkrył dla siebie na emeryturze i to nie od razu ale dopiero w latach osiemdziesiątych ubiegłego stulecia. Podobno skłoniła go do tego wnuczka *„zaniepokojona nadmiarem wolnego czasu emeryta - od której na urodziny dostał... pudełko farb i pędzle."*[3] Odkrywcą talentu Rodzika był historyk sztuki i dziennikarz Janusz Jaremowicz, który w 1987 r. poświęcił mu specjalny artykuł w *„Literaturze*" [4]

Zainteresowanie prasy artystycznymi dokonaniami malarza nie zmieniło sposobu jego funkcjonowania. Żył i mieszkał tak jak wcześniej. Nie starał się zwracać na siebie uwagi, nie chodził w plener i nie narażał się na zaglądanie mu przez ramię na powstający obraz. Nie zależało mu na „ulicznej" popularności. Malował, jak twierdził, z pamięci. Pracował w zaciszu domowym, a zainteresowanym pokazywał gotowy już produkt - bezpośrednio lub na wystawach, między innymi w „Kokpicie", miejscowym ośrodku kultury.[5] Nie ma pewnych przekazów wskazujących na to, aby któryś z miejscowych malarzy był jego patronem lub idolem. Z pewnością jednak oddziaływała na niego atmosfera miejsca, w którym żył od dziesiątków lat – miasteczka malarzy-artystów, z których niektórzy byli jego sąsiadami. Pewnie nie raz odwiedził też kazimierskie muzeum i jego ekspozycję malarstwa. Mógł zatem czerpać zarówno ze współczesnych, jak też z dawnych wzorów.

Dorobek

Edward Rodzik tworzył przez około dziesięć lat. Stąd jego spuścizna malarska nie jest duża. Zachowało się nieco ponad trzydzieści obrazów jego pędzla. Trzy płótna zasiliły zbiory Muzeum Nadwiślańskiego w Kazimierzu Dolnym. Także trzy trafiły do Muzeum PTTK w Puławach.[6] Reszta znajduje się w rękach rodziny i osób prywatnych.

Najliczniejszą grupę zachowanych prac stanowią pejzaże miejskie. Był *„pejzażystą urzeczonym miasteczkiem, Kazimierzem."* [7]Na swych płótnach odtwarzał głównie zabytkową zabudowę Kazimierza, te fragmenty miasteczka i te pojedyncze budowle, które jednoznacznie kojarzyły się z Kazimierzem, były jego symbolami. Malował więc Rynek, Mały Rynek z bryłą Starych Jatek, wszystkie kazimierskie kościoły – najchętniej Farę, ale także Reformatów i Świętą Annę, spichlerze. Na szerszych planach łączył w panoramę widoki Fary, Zamku i Baszty.

---

1 Zob. http://www.bskazimierzdolny.pl/o-banku/historia-banku.html.

2 Zdjęcie ze zbiorów córki malarza Pani Marii Bieryło.

3 Paweł Lis w: „*Nikifor z Krzywego Koła"* , http://wkazimierzudolnym.pl/nikifor-z-krzywego-kola.html. Była to jednak raczej inicjatywa córki malarza; wnuczka miała wówczas tylko kilka lat.

4 Janusz Jaremowicz *„Edward Rodzik"* , „*Literatura*", 1987/11-12. (przedruk w : Janusz Jaremowicz : *„Z galerii sensów"* Zeszyty Naukowe Galerii *„aTak*" : koncepcja i red. tomu Magdalena Sołtys, 2010).

5 http://www.kokpit.com.pl/pl/historia-instytucji.

6 Są obecnie niedostępne z uwagi na trwającą reorganizację tej instytucji.

7 Janusz Jaremowicz *„Edward Rodzik"* przedruk op.cit.s.174.

Il.2.Edward Rodzik „Widok na Farę , Zamek i Basztę od strony ulicy Puławskiej" lata 80-te XX wieku, olej na płycie (własność prywatna).

Najwięcej uwagi poświęcał malarz pejzażom Rynku. Malował je we wszystkich standardowych ujęciach – w stronę Fary, w widoku na pierzeję południowo-zachodnią z kamienicą Gdańską oraz w stronę wschodniego narożnika Rynku i góry Trzech Krzyży. Konsekwentnie omijał sylwetki kamienic Przybyłowskich. Zapewne odtworzenie licznych reliefów zdobiących ich fasady sprawiało mu techniczne trudności. A może z innych powodów nie miał do nich zamiłowania. Nie malował także kamienic stojących w pierzei północno-zachodniej Rynku, co jednak nie dziwi, gdyż ten fragment głównego placu Kazimierza nie cieszył się powodzeniem także u wielu innych malarzy oraz u fotografików. Ta niegdyś patrycjuszowska część miasta, o bogatej architekturze utrwalonej między innymi w pracach Zygmunta Vogla utraciła w wyniku wielkiego pożaru w 1866 r.

Il.3. Edward Rodzik „Rynek w widoku na Farę", lata 80- te XX w., olej na płycie,(własność prywatna).

Il.4.Edward Rodzik, „Rynek w widoku na wschodni narożnik Rynku i Górę Trzech Krzyży" lata 80-te XX w. , olej na płycie (własność prywatna).

i kolejnych wojen swą dawną urodę i po licznych przebudowach oferowała twórcom dość banalną architekturę.

Chętnie poświęcał malarz swe płótna scenerii Małego Rynku. Była mu dobrze znana, mieszkał bowiem po sąsiedzku na Lubelskiej. Niekiedy powtarzał ulubione ujęcia, jak choćby widok Rynku i Małego Rynku w stronę klasztoru Reformatów. Czasem ożywiał swe architektoniczne kompozycje miniaturowymi sylwetkami ludzi, zwierząt, pojazdów. Powstawały wtedy, może trochę w sposób niezamierzony, sceny z życia miasteczka. Widok Rynku zapełnionego zaparkowanymi samochodami osobowymi, autobusami i motocyklami to prawdopodobnie obraz weekendowego Kazimierza licznie odwiedzanego przez turystów. Z kolei, widok Małego Rynku gdzie na niewielkim obszarze zgromadził malarz dziesiątki postaci kobiet, mężczyzn i dzieci zajętych codziennymi sprawami oraz sylwetki różnych środków transportu, to najwyraźniej obraz dnia powszedniego tego fragmentu miasteczka.

Rodzik nie skupiał się wyłącznie na szerokich planach i panoramach dużych fragmentów Kazimierza. Szereg płócien poświecił pojedynczym obiektom, głównie kościołom, a w pierwszym rzędzie Farze.

Il.5. Edward Rodzik, „Rynek", widok na klasztor Reformatów 1986, olej, płótno, (własność prywatna).

Il.6. Edward Rodzik „Mały Rynek", olej na płótnie (własność prywatna).

Il.9. Edward Rodzik „Widok na klasztor Reformatów" początek lat 80 – tych XX w. olej na płótnie (wł. prywatna, fot. z archiwum Janusza Jaremowicza).

Wydaje się, że o takim właśnie wyborze zadecydowała nie tylko wartość architektoniczna i krajobrazowa obiektu, ale także swego rodzaju jego „wyższość duchowa". I nic dziwnego, że malarz przejawiał wobec Fary szczególną atencję, skoro była ona powszechna i ulegali jej liczni artyści, w tym także poeci. Ten *„najbardziej w malarstwie polskim znany motyw",* jak pisał o Farze Antoni Słonimski[8] zachwycił także Zbigniewa Herberta, który po pierwszym z nią spotkaniu zanotował*: „Wokół małego placyku, na którym wysiadamy, tłoczą się drewniane domki, małe jak kurniki. Niespodziewanie nad nimi wystrzela biały masyw kościoła. Stoimy przytłoczeni tym widokiem jak pod ścianą kamieniołomu. To Fara. Wydaje się, że za chwilę spłynie na miasteczko z chmur jak okręt. Jest śliczna, pogodna, renesansowa – i tylko gotycka dzwonnica tkwi w jej sytym ciele jak cierń."* [9]

Edward Rodzik nie zapominał o innych kościołach Kazimierza. Zachowały się wizerunki kościoła i klasztoru Reformatów oraz dawnego kościoła przyszpitalnego św. Anny.

Il. 10. Edward Rodzik „Kościół św. Anny" lata 80-te XX wieku, olej na płycie (własność prywatna).

.

Il.7. Edward Rodzik „Fara w Kazimierzu", połowa lat 80-tych XX w., olej na płycie (własność prywatna). Il 8.Edward Rodzik „Fara i domy od strony Rynku" lata 80-te XX wieku, olej na płycie (własność prywatna).

[8] Antoni Słonimski *„Kronika Tygodniowa"* „Wiadomości Literackie" nr 2 z 1939 r. s.11.

[9] Zbigniew Herbert *„List z Kazimierza"* „Tygodnik Powszechny" nr 47 z 1952 r.

Tematyka płócien Rodzika wykraczała niekiedy poza teren miasta. Malarz lubił przyrodę, prowadził sad, szczepił drzewa, prowadził pasiekę. Jego kontakt z naturą był prawdziwy i bliski. Podobnie jednak, jak w przypadku architektury, za temat swoich prac obierał w pierwszej kolejności te obiekty, które były znane i jednoznacznie kojarzone z Kazimierzem lub jego okolicami. Do takich należały „Królewski dąb" oraz wiatrak z Męćmierza.

Il.11.Edward Rodzik „Królewski dąb Kazimierza Wielkiego" lata 80-te XX wieku, olej na płycie (własność prywatna). Il.12. Edward Rodzik, „Wiatrak", 1986, olej na płótnie, 35x45 cm (w zbiorach Muzeum Nadwiślańskiego w Kazimierzu Dolnym)

Niekiedy odrywał się Rodzik od tematyki kazimierskiej i przenosił w nieznane, trochę tajemnicze rejony, tworząc nastrojowe kompozycje przypominające bardziej bajkowy, niż realny krajobraz. Zachował się obraz namalowany w takiej właśnie konwencji, na którym w wiosennej, pogodnej aurze pokazany został krajobraz górski, gdzie zwracają uwagę fantazyjnie ukształtowane „kopcowate" wzgórza, których wygląd trudno przyporządkować do jakiegokolwiek regionu geograficznego. Motyw górski pojawiał się na płótnach Rodzika także w letnim i zimowym wariancie, jakby malarz czuł potrzebę powrotu w tę scenerię. Może to była tylko fantazja, a może także tęsknota za górami i ich wyobrażenie przez malarza, który w górach był, ale w plener nigdy nie chodził.

Il.13. Edward Rodzik, bez tytułu, lata osiemdziesiąte XX w. olej na płycie (wł. prywatna)[10]

Malarz próbował także swoich sił w martwej naturze. Jedna z takich prób zachowała się w kolekcji Janusza Jaremowicza. Rodzik zastosował w niej standardową kompozycję i takież rekwizyty: stół,

Il.14. Edward Rodzik „Pejzaż górski" lata 80-te XX wieku, olej na płycie (własność prywatna)

Il.15. Edward Rodzik „Pejzaż zimowy z saniami" lata 80-te XX wieku, olej na płycie (własność prywatna).

kotara, flakon z kiścią jarzębiny, talerz z owocami. Powstało kilka wariantów tej kompozycji, różniących się niektórymi detalami, a także kolorystyką. Co istotne, wszystkie one miały wspólny pierwowzór, którym był obraz z 1964 r. znanego kazimierskiego architekta, konserwatora zabytków i malarza Karola Sicińskiego podarowany Rodzikowi przez autora. Wielość wariantów tego płótna wskazuje na

Il.16. Edward Rodzik, bez tytułu (martwa natura), początek lat 80 – tych XX w. olej na płycie pilśniowej (wł. prywatna, fot. z archiwum Janusza Jaremowicza).

[10] Il.13, fot. z artykułu: Pawła Lisa *„Nikifor…"* op. cit.

to, że Rodzik – malarz samouk eksperymentował tu zarówno z kompozycją, jak też z kreską i kolorem. Próby te były pomyślne, skoro ich rezultaty do dzisiaj zdobią wnętrza mieszkań wielu kazimierzan.

Nie są natomiast znane próby portretowe Rodzika. Malarz nie prowadził tu takich eksperymentów, jak z martwą naturą. Zapewne nie czuł się dobrze w tym rodzaju malarstwa. Wyraźnie unikał malowania postaci. Jego bardzo skrótowo podane sylwetki ludzi, i zwierząt wyraźnie wskazują na ograniczenia techniczne. Stąd też nie pojawiają się w jego twórczości sceny rodzajowe, a dzieła nie niosą przekazu społecznego lecz wyłącznie estetyczny i emocjonalny.

Własną drogą

Rodzik malował obrazy niewielkiego formatu, zazwyczaj trzydzieści kilka na czterdzieści kilka centymetrów. Był wierny jednej technice – malował oleje na płótnie, częściej na płycie pilśniowej lub tekturze. Te na płótnie trafiały zazwyczaj do muzeów i ważniejszych odbiorców.

Malarza zajmowała głównie zabytkowa architektura miasteczka. Stąd skłonność do geometryzacji. Najważniejsza była bryła i forma. Najczęściej malował więc kazimierskie kamienice i kościoły, niekiedy uzupełnione tylko plamami zieleni i spokojną, jednolitą taflą nieba. Zawsze dążył do wiernego odtworzenia kształtu budowli. Jego rysunek był staranny, linie i krawędzie wyrównane, „pod linijkę", kąty i profile zgodne z regułami geometrii, jakby autor starał się odtworzyć obraz miasteczka przy pomocy wzorców i szablonów. Jego twórczość cechował konsekwentny linearyzm przy jednoczesnym dość swobodnym stosunku do perspektywy geometrycznej i powietrznej. Na zasadzie „ważności", Fara uzyskiwała więc dodatkową wysokość w stosunku do otaczających ją budynków, a barwy oddalonych obiektów nie traciły na intensywności.

Stosował wyrównaną, gładką fakturę obrazu. Używał wąskiej palety barw. Farby oszczędzał. Przywoziła mu je córka pracująca w innym mieście. Czasem dostał coś od zaprzyjaźnionego sąsiada – malarza Franciszka Kmity. Kolorystyka prac Rodzika nie zawsze była wynikiem jego wyboru. Częściej przesądzała o tym dostępność materiałów. Używał podstawowych kolorów i zasadniczo bez tonowania. Niekiedy pojawiały się ostre kontrasty, także ciepłych i zimnych barw. W niektórych pracach zaznacza się wrażliwość malarza na kolor. Świadczy o niej między innymi delikatna, harmonijna kolorystyka martwej natury, „ogniste" barwy koron drzew w widoku na klasztor Reformatów, czy wielobarwne pola w pejzażu *„Wiatrak*". Światło na obrazach Rodzika nie modelowało kształtu obiektów. Jego kompozycje są malowane płasko, a odtwarzane na płótnie bryły nie rzucają cienia. Pewne próby operowania światłem znajdujemy dopiero w przywołanej wcześniej martwej naturze.

Edward Rodzik sięgał niekiedy do cudzych wzorów. Tak było w przypadku martwej natury zapożyczonej od Karola Sicińskiego. Niektóre pejzaże malował w konwencji kart świątecznych i pocztówek. Kompozycję i kolorystykę pejzażu *„Wiatrak"* zaczerpnął prawdopodobnie z holenderskich widoczków. Przedstawione w niej pomarańczowe, czerwone i niebieskie pola to, zapewne, fragment plantacji tulipanów.

Czerpanie z cudzych wzorów, inspiracja nimi, czy wykorzystywanie ich do doskonalenia własnych umiejętności plastycznych nie przynoszą Edwardowi Rodzikowi żadnej ujmy. Wzajemne zapożyczanie pomysłów tematycznych oraz formalnych, czy rozwiązań kolorystycznych występuje nierzadko także wśród profesjonalnych malarzy i to tych największych, żeby choćby wskazać na trwające dziesiątki lat wzajemne inspirowanie się, a trochę „podkradanie" sobie pomysłów przez Pabla Picasso i Henri Matisse'a.

Artysta

Edward Rodzik należy do nurtu twórców, których określa się mianem malarzy „niedzielnych", „naiwnych", „prymitywnych", „nieprofesjonalnych", a także „malarzy-amatorów". Zwrócono na nich uwagę na przełomie XIX i XX wieku. Charakteryzuje ich brak kierunkowego wykształcenia, a malowanie nie jest ich zawodem lecz pasją. Zazwyczaj nie żyją z jego uprawiania, mają swoje własne zawody i najczęściej zaczynają malować dopiero po zakończeniu kariery zawodowej. Ich obrazy nie zawsze respektują zasady perspektywy. Operują skrótami i uproszczeniami formalnymi, stosują proste techniki, niezborną kreskę i nadmierne przywiązanie do szczegółu. Używają z reguły podstawowych barw oraz ostrych kontrastów, zaś tematyka ich dzieł często nawiązuje lub wręcz mieści się w świecie fantazji i baśni. Ich prace często przyrównuje się do malunków dzieci.

Widoczne w dziełach tych malarzy warsztatowe ułomności nie stanęły na przeszkodzie uznaniu ich twórczości za sztukę. I słusznie, skoro wielu uznanych malarzy-artystów było samoukami, jak choćby van Gogh, skoro nawet Edouard Manet miewał kłopoty z kompozycją, a wielu innych malarzy profesjonalnych wspomagało się przy tworzeniu kompozycji różnymi pomocami, jak np. siatka Albertiego, *camera obscura*, *camera lucida*, a nawet fotografia. Często także ci najwięksi i bez wątpienia profesjonalni inspirowali się dziełami amatorów, jak miało to miejsce choćby w przypadku Pabla Picasso, który kompozycję swojej słynnej *„Guerniki"* oparł na obrazie *„Wojna*" francuskiego malarza naiwnego Henri Rousseau-Celnika.[11] Ci „niedzielni" malarze stali się też inspiracją dla całego kierunku artystycznego – surrealizmu. Z ich twórczości czerpali także Chagall i Léger, a w obrazach Nikifora odnajdywał inspirację do swoich prac m.in. Edward Dwurnik.[12]

Dzisiaj nie ma wątpliwości, że malarstwo naiwne to sztuka. Obrazy Rousseau-Celnika goszczą na ścianach Musée d'Orsay i Muzeum Picasso w Paryżu, National Gallery w Londynie, National Gallery of Art w Waszyngtonie, Museum of Modern Art w Nowym Jorku, Ermitażu w Sankt Petersburgu i wielu innych. Nikifor ma własne

[11] Zob. Jonathan Jones " *When Henri met Pablo"* https://www.theguardian.com/artanddesign/2005/oct/29/art.

[12] Więcej zob."*Malarstwo Polskie",* Redakcja Encyklopedii PWN, Wydawnictwo Naukowe PWN, Warszawa 2009 s.248

Il.17. Henri Rousseau "Park w Saint-Cloud",

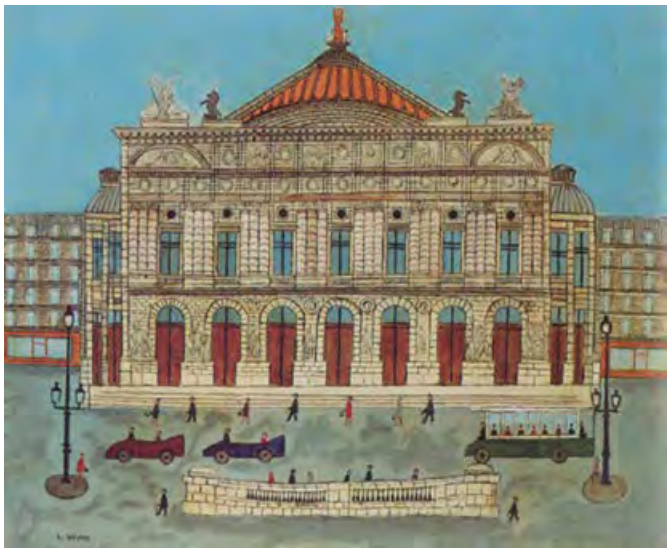

Il.18. Louis Vivin „Pejzaż miejski".

muzeum w Krynicy-Zdroju. Prace Teofila Ociepki zasilają zbiory Muzeum Śląskiego, Muzeum Górnośląskiego, Muzeum Okręgowego w Bydgoszczy. W Muzeum Śląskim w Katowicach od lat funkcjonuje dział oraz galeria sztuki nieprofesjonalnej.

Prace Edwarda Rodzika także trafiły do muzeów. Pierwsze było Muzeum PTTK w Puławach, które włączyło do swoich zbiorów kilka prac tego malarza. W ślad za nim poszło Muzeum Nadwiślańskie w Kazimierzu Dolnym. I chociaż obecność dzieła w muzeum nie przesądza, sama przez się, o jego wartości, to jest ona niewątpliwie ważna, bo to głównie muzea określają kanon sztuki, zarówno tej światowej, jak też narodowej, a także lokalnej.

Edwarda Rodzika wiele łączyło z innymi malarzami-amatorami: brak edukacji plastycznej, późny wiek podjęcia twórczości, nadmierne skupianie się na detalach kompozycji, liczne kłopoty warsztatowe, a jednocześnie - wielka swoboda twórcza, która nie była ograniczona regułami perspektywy, proporcji, teorii kolorów, czy zasad operowania światłem. Podobnie jak oni widział i wyrażał świat.

Nie wiadomo, czy Rodzik zetknął się z twórczością Rousseau-Celnika, ale sposób przedstawiania przez niego zieleni, a zwłaszcza koron drzew (zob. na *Il.2,5,7)* jest bardzo bliski temu, jaki stosował francuski mistrz, choćby na płótnie „*Park w Saint-Cloud"*. Jest prawie pewne, że kazimierski pejzażysta nie spotkał się z malarstwem drugiego po Rousseau-Celniku wielkiego malarza-amatora, emerytowanego urzędnika pocztowego, Louisa Vivin, czy mieszkającego w Polsce hiszpańskiego malarza naiwnego Javiera Nieto Velasco, ale podobnie jak oni upodobał sobie pejzaż miejski i monumentalne budowle, które ożywiał mikroskopijnymi sylwetkami ludzi.

Tym, co natomiast różniło Rodzika od innych malarzy nieprofesjonalnych, to mniejsza doza fantazji i "bajkowości" w jego pracach. Henri Rousseau-Celnik był malarzem dżungli, której nigdy nie widział. Był także malarzem wojny, w której nigdy nie uczestniczył. Wszystko co przeniósł na płótno było wytworem jego wyobraźni. Malarski i okultystyczny świat Teofila Ociepki był w całości wyobrażony. Rodzik codziennie oglądał architekturę Kazimierza, którą potem skrupulatnie odtwarzał w swoich obrazach. Miejsca na fantazję zostawało więc niewiele.

Prace Edwarda Rodzika mają szczery, autentyczny charakter. I w niczym nie przeszkadza zarzucane malarzom-amatorom spojrzenie na świat z pozycji dziecka, bo jak słusznie twierdził Henri Matisse: *„Wysiłek, potrzebny do tego by wyzwolić się od standardowych wyobrażeń, wymaga świadomego bohaterstwa, i to bohaterstwo jest absolutnie nieodzowne dla malarza, który powinien widzieć wszystko tak, jak gdyby widział po raz pierwszy w swoim życiu. Musi on umieć przez całe swe życie patrzeć na świat oczami dziecka, albowiem zanik tej zdolności widzenia oznacza jednocześnie dla malarza zanik wszystkiego, co oryginalne w wypowiedzi."* [13]

Il.19. Javier Nieto Velasco"Pejzaż miejski".

[13] Za : Ignacy Witz *„Wielcy Malarze amatorzy*", Warszawa 1964, Wydawnictwo Związkowe CRZZ s.10.

Waldemar Siemiński

NA RATUNEK

W historii powodzi w Małopolsce katastrofalne wylewy występowały najczęściej w soboty albo w niedziele. Podobnie było i pod koniec lipca 1970 r.

Głęboki niż spowodował kilkudniowe opady deszczu w Tatrach i na Podbeskidziu. Układ frontów atmosferycznych przemieszczał się od Siedmiogrodu, Bułgarii i Ukrainy w kierunku Litwy. Spodziewano się, że będzie się przesuwał w tym kierunku oddalając się od granic Polski. Tymczasem niż się zatrzymał. Spowodował przedłużenie opadów o jedną dobę. To właśnie przesądziło o dalszym biegu wypadków.

W małej wsi koło Nowego Brzeska i Hebdowa w powiecie bocheńskim krytyczny dzień wstał ciepły, rozświetlony słońcem. W okolicach Krakowa poprzedzały go dni jeszcze cieplejsze i bardziej słoneczne. Wioska, osłonięta wałem od Wisły długiej do tego miejsca na 130 kilometrów, spała. Pani Teresa co roku przyjeżdżała do niej, do rodzinnego domu, z Bytomia na wakacje z dziećmi. Wstawała raniutko. Rozkoszowała się ciszą nieznaną na Śląsku. „Bóg mi ją zesłał – myślała – zesłał razem z Nową Hutą". Za chwilę, o piątej, podjadą, hałasując, autobusy zakładowe z Huty i zabiorą młodych do pracy. Potem znowu będzie jak w raju. Schodziła z piętra do ogródka i zbierała najdojrzalsze ogórki i pomidory. Pod metalową siatką płotu rósł piękny maliniak. Zaraz po obudzeniu biegły tam dzieci i rwały pełnymi garściami owoce.

W Krakowie, na brzegu Wisły, tuż pod Wawelem, kilka dni temu rozbiło namioty pięciu chłopaków z Kazimierza Dolnego w Lubelskiem. Radek, Staszek, Edek, Adam i Tomek. Już w zimie, pół roku wcześniej, zbierając się u Radka, postanowili właśnie stąd wypłynąć latem kajakami. Ile to sezonów docierali na kajakach do każdego wiślanego zakamarka pod Kazimierzem. Rzeczne wiry, przykosy, mielizny, odnogi starorzeczy – dobrze to znali. Chcieli poznać Wisłę inną, daleką, ogromną.

Pogoda była sprzyjająca. Wykorzystując to popłynęli najpierw z Krakowa trochę w górę, do Tyńca, zaliczyć tamtejsze skałki i klasztor. Godzinami chodzili po mieście oglądając zachodnie ciuchy na wystawach krakowskich sklepów. W Kazimierzu Pewexu nie było. Stach wypatrzył fajną szwedzką kurtkę. Przyrzekł sobie, że z pierwszej pensji z pracy, którą miał zacząć tuż po spływie, wróci tu i będzie ją miał. Cała piątka zapuściła brody, chociaż żadna nie mogła dorównać Radkowej, już od dawna przez niego noszonej. Dżinsowe spodnie – dzwony rozkloszowane u dołu, na głowach kolorowe czapeczki, koszule flanelowe w kratę… Hipisi! Bawiło ich to i dwa dni dłużej niż trzeba pohulali przez to w Krakowie. I to – okazało się – stało się całym szczęściem dla wsi, która chroniła się wałami nie tylko przed Wisłą, ale i przed wpadającymi w pobliżu do Wisły Rabą i Drwinką.

We wsi widać było pieniądze z Nowej Huty. Huta ogałacała wieś z młodych, ale wieś zasysała ich zarobki w budowy nowych domów już nie drewnianych, ale murowanych, o podwyższonych przeciw powodzi parterach. Stare chaty wycofywały się na obrzeża. Trzymały się już tylko ludzi starych, bezdzietnych, albo tych, których dzieci dopiero zaczynały szukać w Hucie szczęścia. Wiktor, w przyszłości franciszkanin, jak przez mgłę pamiętał taką chatkę swojej babci. Przetrwała powódź, ale została zaraz po niej rozebrana. Dawali kredyt budowlany dla powodzian na jeden tylko procent. Bardziej niż tamten dom wspominał tratwę swoich starszych braci. Pamiętał, bo we wsi, choć leżała nad samą Wisłą, nikt nie miał żadnej łodzi ani łódki. Dwie stare dziurawe leżały gdzieś w wiklinach pomiędzy rzeką a wałem. Tratwę bracia zrobili z wrót stodoły, gdy na krótko po powodzi wrócili do domu. Pływali nią po podwórku pełnym jeszcze wody, ale jego i siostry zabrać nie chcieli. Raz tylko się zgodzili. Na stosie kamieni pomiędzy drzewami zobaczyli zająca. To stał, to kucał na wyoranych z pola siwakach. Podpłynęli i zabrali go na tratwę. Zajączek! Witek z siostrzyczką chcieli go głaskać i się z nim bawić, ale bracia oddali go babci. Babcia złapała go za uszy i walnęła tłuczkiem do ubijania ziemniaków. Beczeli z siostrą.

- Przecież ani trawy ani kapusty nie ma! Wszystko w wodzie zgniło! – krzyczała babka. – Co ja wam włożę do gara? – pytała.

Żadnego buntu przy stole Witek nie pamiętał.

Chłopcy z Kazimierza planu wyprawy z początku trzymali się ściśle. Spłynęli najpierw do Puław. Znaleźli jakąś pustą chłodnię biorącą kurs na Lublin i nią, z całym sprzętem, zabrali się do puławskiej stacji kolejowej. Dali zawiadowcy stówkę i pokazał im gdzie stanie wagon pocztowy pośpiesznego do Krakowa. Kajaki do pocztowego wepchnęli za drugą stówę. Wciskając bagaż na pociąg zorientowali się, że nie zabrali kuchenki. Musiał po nią wrócić

Adam, bo on miał prowadzić kajak bagażowy. W Krakowie, dopiero jak w radiu zaczęły iść komunikaty, że z gór płynie wysoka woda, zrozumieli, że trzeba się zbierać. Widzieli, że przystąpiono do ochrony krakowskich mostów. Czym prędzej uciekać! Wypłynęli pod wieczór, jeszcze przy ładnej pogodzie. Dopiero gdy się spakowali zaczęło lekko kropić. Jak najszybciej trzeba było przejść stopień wodny w Przewozie, bo potem, przy wysokim stanie wody, śluza przy zaporze będzie niedostępna.

Deszcz przeszedł w ulewę. Niebo szybko ciemniało. Podniósł się wiatr. Pierwszy kajak Radka i Stacha torował drogę. Adam z bagażami dwoił się i troił, żeby nie stracić go z oczu.

Do Przewozu nie jest z Krakowa daleko. Posiekani ulewą i wiatrem wiosłowali jednak z wysiłkiem. O tym, że są tuż przy zaporze, zorientowali się za późno. Na metr w gęstej, wirującej w wichurze ulewie nic nie było widać. Dopiero rosnący, przerażający huk spadających gdzieś blisko mas wody ich ostrzegł. Zaczęło ich ściągać i zasysać. Spostrzegli po bokach długie rzędy czerwonych, ostrzegawczych świateł. Dwa kajaki poniosło w lewo, jeden – w prawo. Walczyli ze wszystkich sił, żeby się połączyć.

- Dawaj! Jeszcze! Dawaj – krzyczeli.

Po godzinie szamotaniny dobili do siebie pod olbrzymią betonową ścianą zapory. Spieniona woda sięgała pod jej szczyt. Uczepili się wystających z betonu grubych, żelaznych prętów. Ściana cała drgała i wibrowała.

Na grzbiet ściany, na rękach, wciągnął się Radek. Nogi miał słabe, jedną dużo krótszą, ale w rękach miał moc. Rozejrzał się dookoła. Na końcu ściany, pod którą zacumowali, widać było mały budynek z oświetlonymi okienkami.

– Pójdę tam. Ty ze mną – krzyknął do Edka do drugiego kajaka.

W huku wody i wiatru nie było co pukać do drzwi. Drzemiący strażnik na ich widok zerwał się z krzesła jak oparzony. Z wrażenia nie mógł wydobyć głosu.

– Kurwa! – wrzasnął ochłonąwszy. – Kto wy?! Nikomu nie wolno tutaj wchodzić! Dzwonię na milicję!

Wytłumaczyli mu, wyprosili, zanim zdążył sięgnąć po słuchawkę. Że ich zniosło. Że uciekają powodzi. Kajakami.

Patrzył na nich jak na Marsjan. Jak pojął wszystko opadł z powrotem na krzesło.

– Siadajcie – pokazał na wersalkę pod ścianą. Otarł pot z czoła. – Ilu was?

Okazał się ludzkim człowiekiem. Dał im kilka godzin do brzasku wypocząć i podeschnąć. Poczęstował gorącą herbatą. Wytłumaczył co mają robić dalej.

W dwóch nawrotach przenieśli na ramionach kajaki przez uśpioną wieś do drugiej odnogi Wisły, do której od razu powinni trafić. Przez otwartą śluzę woda waliła na całego. Spuścili kajaki na wodę poniżej śluzy. Na głównym nurcie Wisły znaleźli się około dziewiątej. Mżyło cały czas. Rzeka niosła już bukiety piany. Dryfowały po niej gałęzie i konary wyrwanych z korzeniami drzew. Nie mieli wyjścia. Musieli wrzucić na najszybszy bieg i nie zwalniać aż do końca.

Jedli w biegu – od kajaka do kajaka. O szóstej, siódmej po południu dostrzegli za nadbrzeżnym wysokim wałem kilka wystających dachów. Jakaś wieś. Wisła dochodziła tu metr, półtora do korony wału. Nie mieli już sił. Musieli zanocować.

Chodzili od jednej do drugiej zagrody. Wieś nazywała się Grobla. „My sami nie śpimy. Czuwamy. Woda może być" – zbywali ich i odsyłali dalej. Wprost im „spierdalać" niektórzy kazali. Im dom bogatszy tym bardziej był zamknięty. Zarośniętych, brodatych hipisów nie chcieli. Jedną tylko kobietę ruszyło serce i dała im kołdrę. Mniej miała całego niż dziur. Wyrzucili ją. Zrobiło się mocno ciemno. W ostatniej, drewnianej chałupie, blisko wału, otworzyła im starsza, siwa kobieta. „Tak, możeta spać, ale nie w domu, bo w izbie pełno. W stodole. Tylko nie zaprószyć ognia".

Wyjęli konserwy. Gospodyni rozpaliła pod kuchnią. Zrobiła wrzątek i jajecznicę. Z łóżek przypatrywała się im się gromadka dzieci. W mroku błyszczały ich oczęta. Chyba najmłodszy, chłopiec, wyszedł spod pierzyny i wpatrzony w brodę Radka wgramolił mu się na kolana.

– Bozia – szepnął zachwycony.

Z łóżek dobiegł cichy chichot.

– Cichojta – upomniała dzieci kobieta. – Pan podobny do Jezusa na obrazie – wyjaśniła Radkowi. – Wracaj Witek do łóżka.

Radek odniósł malca na posłanie.

– A jak się nazywacie – zwrócił się do gospodyni, gdy, dziękując, zaczęli wychodzić na zewnątrz.

– A Pająkowa.

– To dobranoc pani Pająkowa. Dobranoc…

Pachniało im sianko bardziej niż mirra i kadzidło. Nie mogło być lepszej sypialni na świecie niż stodoła Pająkowej. Nie mieli już sił rozkładać do suszenia ekwipunku. Każdy mościł się, wił w sianie gniazdo lub kopał norę i czym prędzej zapadał tam w sen. „…i nie wódź nas na pokuszenie, ale nas zbaw od złego…" – mamrotał jeszcze któryś cichnącym szeptem.

– U…u…uła! – nagle jęknęła przestrzeń i – łubudu!!! – huk wstrząsnął wszystkim co było dookoła. Szum, dochodzący z każdej strony, narastający pluskaniem i bulgotaniem…! Płacz ludzi! Skowyt psów przeraźliwy! Zeskakiwali z siana na wyścigi. Już po kostki w wodzie. Wolniej spełzał tylko Radek ze swoją krótszą nogą.

– Zostań w stodole! – rzucił mu któryś. – Zaraz po ciebie wracamy!

Kajaki już porywała woda. Szarpała i prężyła cumownicze linki. Dobiegając do nich mieli wodę już po kolana. Wskoczyli do kajaków i podpłynęli pod Radka. Wyprowadzał właśnie z chałupy Pająków. Na rękach trzymał najmłodszego i jego siostrzyczkę. Starsi chłopcy trzymali się jego paska u spodni. Pająkowa z całej siły parła na drzwi domu. Prąd wody nie dawał ich zamknąć. Wreszcie się jej udało. Kajaki podpłynęły tuż pod nich. W pierwszym świecił latarką Tomek. Mimo to ledwo co było widać. Wiatr wciskał wszystkim w oczy czarną, mokrą płachtę nocy. Gdy się upchnęli w kajakach, Pająkowa krzyknęła:

– Na Górkę panowie! Tam – pokazała ręką kierunek.

Jakieś sto, dwieście metrów pokonali w mgnieniu oka. Płaski,

zakrzaczony grunt podwyższał się. Dobili do polnej drogi pnącej się po pochyłości. Z tego co można było zobaczyć na górce stało jakieś gospodarstwo.

– To sołtysa, Błaszczyka obejście – wyjaśniła Pająkowa, troskliwie formując z wnuków zwartą gromadkę.

Drogą brnęli objuczeni tobołami ludzie pędzący i ciągnący krowy, konie i świnie. Spod podeszew chlupotała i mlaskała im woda z błotem. Gdy ktoś się potknął, upadł, leciały jęki i przekleństwa. Dochodzący zewsząd porywisty szum prącej wody jakby słabł. Przybór zwolnił tempo.

Nagle pokazał się księżyc. Oświetlił bezmiar ciemnej, falującej i bulgoczącej po horyzont topieli. Zatrzęsło nimi ze zgrozy. Z pociągniętej księżycowym sreberkiem toni gdzieniegdzie wystawały dachy, czubki drzew i słupy elektryczne.

– Boże – jęknęła na ten widok babcia Pająkowa. Przeżegnała się. – Boże! – podniosła głos. – A my tam naszą Kaśkę zostawiliśmy!

– Jaką Kaśkę? – zdziwił się Adam. – Co pani gada?!

– Naszą świnkę! W chlewiku – jęczała Pająkowa.

– Ratu…u…u…nku!!! Ratu…u…u…nku! – z kilku stron naraz doszły przeraźliwe wołania o pomoc.

Księżyc chował się z powrotem. Pająkowa, przykładając rękę do zmrużonych oczu, zdołała jeszcze cokolwiek dostrzec.

– Tam na dachu Boczki wołają – wskazała na lewo. – A tam Goliszki. Z poddasza. Dom wysoki mają.

– Chłopaki – Radek obrócił się do swoich. – Wyciągamy wszystko z kajaków. Adam, znajdź tam na Górce miejsce. Pani Pająkowa pomóc Adamowi – poprosił.

I tak się stało. Najpierw wypłynął Tomek. Trzy razy nawracał, żeby przetransportować wszystkich.

– Boczki! Boczki! Płynę po was! Dajcie głos – wołał, bo tylko głosem można było po ciemku złapać orientację na kierunek.

Goliszków ściągał Stacho. Przez lufciki poddasza wpadali mu do kajaka jak ulęgałki. Obrócił po nich kilka razy.

Nic nikomu nie mówiąc Radek z Edkiem, znaną już sobie trasą, ruszyli pod obejście Pająków. Chlewik był zamknięty na skobelek. Wyciągnęli skobelek jednym szarpnięciem. Woda sięgała w nim już na pół metra pod daszek. Sklecony z byle czego łatwo dał się rozwalić. Kaśka odbijała się racicami od jednej ścianki do drugiej, pławiąc się jak w wannie. Przestraszone, ale ciekawskie ślepka, błyszczały jej niegłupio. Naparli kajakiem na najsłabszą ściankę. Ustąpiła. Kaśce nie trzeba było dwa razy powtarzać. Edek mocno ciągnął wiosłem w stronę Górki, Radek swoim delikatnie przyciskał Kaśkę do kajaka. Płynęła bez jednego kwiknięcia, wzorowo współpracowała. Na brzegu Górki zaniepokojony Adam dawał sygnały latarką.

– Pająkowa pomocy! – zawołali. Zostawiwszy wnuczków przybiegła. Czując ją Kaśka puściła serię powitalnych chrumknięć i zaczęła wdrapywać się na ląd. Sto kilo żywej wagi spychało ją do wody, na dół. Trzeba ją było podeprzeć.

– Kasiuńka! Boże mój, Panie wielki! – Pająkowa chwyciła Kaśkę za uszy. – Wszyscy są! Wszyscy! – i zaczęła płakać.

Zbiegli się ludzie. Słychać było z oddali następne wołania o ratunek, ale zagłuszały je prośby i błagania zgromadzonych tuż obok.

– Na strychu u mnie gęsi podskubane. Pokażę drogę panowie!

– Panowie, w stajni koń przywiązany do żłobu. To niedaleko. Płyńmy!

W Grobli był akurat czas skubania pierza. Gęsi bez pierza nie mogą pływać. Wszystkie wyginęły. Koń z pobliskiego gospodarstwa zerwał się z postronka, ale nie wiedział, gdzie płynąć. Radek ze Stachem wzięli go pomiędzy kajaki i szybko znalazł się na Górce. Ale te, uwiązane jak co noc do żłobów, potopiły się. Co za rozpacz gospodarzy!

Ludzi przede wszystkim ratować trzeba było! Dwóch chłopaków pauzowało, trzech pracowało w kajakach. Bez przerwy. Bez chwili wytchnienia. Nikt nie liczył ilu uratowali.

O czwartej nad ranem zaczęło widnieć. Nareszcie mogli coś zobaczyć. Gospodarstwo sołtysa Błaszczyka stało na górce na niewielkim płaskowyżu, na łączce, nawet z małym sadem. Sołtysia górka była wpojona w wał przeciwpowodziowy, wystając trochę ponad koronę wału. Częścią wału usypaną przed Górką wzdłuż górnego biegu Wisły kręcili się ludzie szukając miejsca dla zwierząt i dobytku. Druga część wału usypana za Górką wzdłuż Wisły w kierunku jej dolnego biegu, była puściutka. Chyba bano się po niej chodzić. To tę część wału Wisła przerwała i poprzez nią wtargnęła do Grobli powódź.

„Co za los – myśleli, widząc to, Kazimierzacy. – Na nieruszonej części wału mogła pomieścić się cała wioska. Wał idzie tędy prosto do sąsiednich Trawnik i Ispiny. Gdyby tylko ludzie zdawali sobie sprawę z niebezpieczeństwa!”

Współczuli poruszającym się jak we śnie Groblanom. Pamiętali jednak, jak wczoraj wieczorem zostali przez nich przyjęci. „I za to ich ratować? Za to ryzykować spóźnienie z urlopu? Wywalenie z roboty? W dupie mieć kmiotów! Wsiadać natychmiast w kajaki i szybko do domu”.

Coś ich jednak tutaj trzymało. Koczujący ludzie byli skrajnie zmęczeni… Nie byli zrozpaczeni. Ci ludzie przeszli już przez rozpacz i teraz popadli w apatię. Zobojętnieli na wszystko poukładali się pod drzewami, pod stodołą, domem i chlewem sołtysa, gdzie popadło. Psy spały pod wozami. Stary człowiek szukał prosiaka. Dzieci bawiły się mokrymi, ociekającymi lalkami. Ktoś słuchał tranzystora. Może szukał wieści o pomocy dla Grobli, ale jak dotąd to oni byli jedyną pomocą. Ci, którzy akurat nie byli w kajakach, ściągnęli cały ekwipunek do stodoły Błaszczyka. Z pałatek uwili Pająkom gniazdo. Dzieci i ich opiekunka wcisnęli się w brezentowy kokon i od razu zapadli w sen.

Z Górki i wału dobrze było widać, że w nisko położonej Grobli oprócz sołtysiej Górki były dwa jeszcze, wyżej usytuowane, miejsca. Na jednym z nich oprócz zabudowań mieszkańców stał budynek szkoły. To podwyższenie, zwane Skałą, nie było daleko. Na samym końcu wsi, w głąb lądu, słabo widoczny z powodu sporej odległości, stał kościół parafialny. Wszystko tkwiło w mętnej, pokrytej pianą tafli wody, sięgającej aż do horyzontu.

Gdy tylko, na krótko, spotkali się w komplecie, postanowili:

„Dzieci i ich opiekunów trzeba koniecznie przetransportować z Górki do szkoły na Skałę". Od razu popłynęli tam Radek ze Stachem. Położone u stóp Skały gospodarstwa były podtopione. Podchodząc pod budynek szkoły chłopcy minęli dwupiętrowy dom. Pani Teresa z najwyższego piętra z żałością patrzyła na swój ulubiony zatopiony warzywniak. Przed oczami, jakby to było parę minut temu, miała wodę z pluskiem, tuż po północy, zaczynającą się wlewać po schodkach do niższej kondygnacji domu. Wywracane meble padały z hałasem. Drżała czy wysoki parter się ostoi.

Sąsiedzi zaczęli się chronić w wyżej położonej szkole. Kiedy Radek ze Stachem do niej dotarli zastali klasy gęsto zasłane materacami, po kilkadziesiąt w jednej klasie. Kierownik szkoły uruchamiał właśnie szkolną kuchnię.

– Proszę przywieźć dzieci, naturalnie. Z prowiantem tylko nie najlepiej. Ale jakoś to będzie – pocieszał ich i siebie.

Wrócili na Górkę około szóstej. Babcia Pająkowa nie była zadowolona z nowiny.

– Kaśki samej nie zostawię – oświadczyła kategorycznie.

Wracając przemyśleli i tę sprawę. Trzeba zrobić prowizoryczne polowe zagrody i do nich spędzić chodzące samopas zwierzęta. Z sołtysem szybko się dogadali. Do siódmej miejsce dla nierogacizny było gotowe. Pierwsza wkroczyła do środka Kaśka. Rzucili świniom papierówki z sadu. Jabłek za parę minut nie było.

Pająkowej tłumaczyli:

– W szkole mają telefon. Pewnie ściągną syna i synową z Huty. Długo to nie potrwa.

Nowy dzień stopniowo nabierał nad Groblą jasności.

– Ale cisza – zauważył Tomek.

Rzeczywiście nad topielą nie było słychać ani psów, ani krów, ani odgłosów pracy w gospodarstwach. Od stworzenia świata pierwszy pewnie raz zdarzyła się taka cisza w tej okolicy. Chłopcy wpatrywali i wsłuchiwali się w to bez słowa.

– Siódma już – usłyszeli nagle za plecami. – A w kościele nie dzwonią!

Stał za nimi niewysoki, chudy mężczyzna z rowerem i teczką. Okazało się, że to kościelny. Wczoraj, nocą wracał od córki ze Skały do domu i nie zdążył. Odcięło go od plebani, gdzie proboszcz dawał mu mieszkanie. Schronił się na Górce.

– A ile jest stąd do kościoła? – zapytał go Radek.

Widzieli połyskującą daleko kopułę na wysokiej wieży, ale ile to mogło być kilometrów?

– Z dwa kilometry – poinformował kościelny. – Kościół, plebania, domy, co tam są dokoła, stoją trochę wyżej, ale muszą być zalane. Boże – jęknął, złożył dłonie jak do modlitwy i zakrył nimi oczy. Płakał.

Chłopcy popatrzyli na siebie.

– Płynę – rzucił pierwszy Stacho.

– I ja. I ja – dorzucali następni.

– Adam, wiem, że ty też chcesz, ale musisz pilnować ekwipunku. Płyniemy w dwa kajaki – podsumował Radek.

Kościelny prowadził jak po sznurku. „Tędy panowie! Tu będzie wzdłuż drogi". A potem: „Skrótem panowie. Tędy, przez sad" i tak w godzinę dopłynęli. Kościół stał na wypoziomowanej w połowie niewielkiego wzniesienia płaszczyźnie. Zaraz za nim piętrowa plebania. Za nią kilka domów, których mieszkańcy biwakowali wyżej, na samym szczycie wzgórka pod gołym niebem.

Woda weszła do świątyni, zalała parter plebanii i domy za nią. Wpłynęli do kościoła, prosto pod ołtarz. Świątyń nie zamykało się wtedy. Tabernakulum było jednak zamknięte.

– Nie patrzcie – zadysponował Radek. – Niech nikt nie patrzy.

Za chwilę oznajmił: „Otwórzcie oczy".

Stał w swoim kajaku z monstrancją w ręku. Serca świętego naczynia nie wypełniało boskie ciało w postaci opłatka, podnosił je więc i opuszczał jak sportowe trofeum.

– Panie kościelny nie patrzeć tak na mnie. Ja nie złodziej, ja nie włamywacz. W konserwacji pomiarowego sprzętu w Azotach w Puławach pracuję. Szwajcarskie zegarki reperuję.

Uratowali z tabernakulum i z zakrystii wszystkie naczynia liturgiczne. Gdy znaleźli się pod długą rzemienną linką zwisającą ze sklepienia świątyni kościelny poderwał się raptownie z kajaka na równe nogi i z całej siły nią pociągnął. Rozległ się jasny, rześki dźwięk sygnaturki.

– Trzymajcie mnie panowie – rzucił i ciągnął linkę raz za razem. Sygnaturka zachłystywała się dzwonieniem. Kościelny śmiał się jak oszalały. – Wszyscy słyszą! Proboszcz, parafianie! Sursum corda!

Z piętra zalanej od dołu plebanii wyglądał proboszcz.

– A ja myślałem, żeś potopion – szeroko otworzył ramiona na powitanie kościelnego.

Widząc liturgiczny skarb, który chłopcy stawiali na stole w jego pokoju, padł na kolana i wzniósł ręce.

– Panie – krzyknął. – Niezatapialny jesteś! Neptuna potęga starta! Chwała Ci! Chwała Panie!

Szybko otrząsnął się z euforii i zwrócił się do gości.

– Wybawiciele moi! Nalewką bym was podjął, ale flaszki są w piwnicy. Następnym razem kochanieńki! A skąd przybywacie? – zapytał.

– Z Kazimierza Dolnego nad Wisłą.

– To napiszę do waszego proboszcza, jakich ma dobrych parafian. Bóg zapłać kochanieńki. Bóg zapłać – ściskał z całych sił każdego.

Wracając natknęli się na kobietę z dzieckiem przy piersi płynącą na stogu. Stóg mocno nasiąkł już wodą i coraz ciężej dryfował. Ciągnęło go na dno.

– Pani, dać nam dziecko. Zdejmiemy panią – zaproponowali.

Bała się nawet poruszyć. Spazmatycznie ściskała niemowlę zesztywniała ze zmęczenia i strachu. Mówić już z tego wszystkiego nie mogła. Kiwała tylko na „nie" głową.

Z obu stron ścisnęli kajakami stóg. Stasiek stanął w kajaku i znienacka, na płask dłonią, uderzył kobietę w ucho. Zemdlała. Chwycił dziecko i podał Radkowi. Kobieta zsunęła się ze stogu. Wciągnęli ją do siebie Edek i Tomek. Chlusnęli na nią bryzgiem wody.

– Gdzie dziecko – krzyknęła oprzytomniawszy.

Oddali jej dziecko.

Adama na Górce z trzecim kajakiem nie było.

– Na kolanach błagał go ktoś, żeby popłynął. Po lekarstwa dla żony. Pieniądze mu obiecywał – znalazł się ktoś, kto im wyjaśnił.

Na nienaruszonej części wału panował spory ruch. Szukano paszy dla zwierząt. Z Trawnik i z Ispiny ludzie wieźli na rowerach bańki pitnej wody, mleko, prowiant. Bydło i konie spędzano do dwu następnych zagród wytyczonych wozami, burtami furmanek i żerdziami przybitymi do pni wkopanych w ziemię. Ludzie jakby otrząsnęli się z apatii. Mężczyźni zdjęli ze stodoły sołtysa połówkę wrót, wzmocnili ją dodatkowymi deskami i spuścili na wodę. Ożył dawno zapomniany w Grobli duch flisactwa. Na tak zaimprowizowaną tratwę zabrali starsze dzieci i odpychając się długimi tyczkami posterowali na Skałę, do szkoły. W dwa kajaki Kazimierzacy dowieźli tam w paru nawrotach młodszaków i ich opiekunów. Pająkowa za nic nie chciała rozstać się ze swoją Kaśką. Odpłynęła z Górki na Skałę z Witkiem i jego siostrzyczką ostatnia.

– Nie bać się Pająkowa – uspokajali ją. – My się znamy na świniach. U nas w Kazimierzu świń nie brakuje. Kaśce grama nie ubędzie.

– Niech Bóg Was błogosławi. Szczęśliwe to miejsce, gdzie matki mają takich synów. Chciałabym Kazimierz zobaczyć – przez łzy zapewniała.

– Ja też. Ja też – zawtórował jej Witek.

Gdzieś koło piątej po południu przeleciał nad wsią helikopter. Z wysokości mógł dokładnie widzieć mizerię Groblan. Może ściągnie pomoc, wojsko? W tranzystorowym radyjku co raz przecież mówili o akcji państwa dla powodzian w Małopolsce.

Chłopcy gonili już resztą sił. Nie spali dłużej trzeci już dzień. Na kwadrans, pół godzinki łapali okazje do drzemki pomiędzy kursami kajaków. Ludzie to widzieli.

– Zjedzcie, bo jesteście zmęczeni – przynosili im jedzenie, ale nie było na nie czasu. Zresztą nikomu z nich jeść się nie chciało.

Dopiero koło szóstej po południu skompletowali cały swój ekwipunek, rozrzucony dotąd w paru miejscach Górki, głównie w sołtysiej stodole, gdzie służył rodzinie Pająków. Rozpięli pałatki namiotów, rozpalili kuchenkę. Co z Adamem? Długo go już nie było. Przechadzali się wałem, żeby odetchnąć. Od Trawnik i Ispiny jechała obładowana prowiantem fura ciągniona przez parę dorodnych kasztanów. Gdy dojeżdżała do Górki, z obejścia sołtysa wyjechał ktoś naprzeciw na motorowerze. Gdy mijał furmankę, silniczek motoroweru nagle głośniej prychnął. Konie stanęły dęba. Furman skrócił im lejce. Gibnęło wozem i w sekundę wóz razem z końmi był już w Wiśle. Woda momentalnie pochłonęła go bez śladu. Furman wyskoczył na wał w ostatnim momencie. Stał bez słowa, oniemiały.

– Co ja zrobię – zaczął jęczeć. – Co ja ludziom powiem? Tam pieniądze w teczce były. Ludzie uzbierali dla powodzian. Co ja im powiem – złapał się za głowę, zaczął dygotać jak w febrze.

Ktoś pokazuje wyciągniętą ręką: „O tam, coś czarnego zaczepione na gałęzi wystaje z Wisły!" – krzyczy.

Ale gałęzi w powodziowej rzece jest dużo. Woda porywa nie tylko gałęzie, ale całe drzewa. Stach miał na szyi zawieszoną lornetkę, patrzy, na wystającej z nurtu gałęzi coś czarnego rzeczywiście się chwiało. Skoczyli z Radkiem po kajak i przerzucili go na Wisłę. Na sunącej ciężką ławą, spienionej rzece mocno trzeba było naciskać na wiosła, żeby nie dać się zepchnąć nurtowi. Zlani potem dotarli do gałęzi. Na niej rzeczywiście torba. Ciężka, czarna, namoknięta, zamszowa. Ściągnęli ją z gałęzi do kajaka i zaglądają. Pusta! To nie to, o czym furman mówił? Gdy dobili z powrotem do wału furman był przy nich pierwszy. Złapał torbę, wywrócił do góry dnem. Wyciągnął z kieszeni kozik i rozpruł dno. Na wał wysypały się pieniądze.

– Panowie – objął Stacha i Radka. – Koni nie mam! Wozu nie mam! Ale twarz mam! – wykrzykiwał. – Nikt mi „złodzieju" nie powie! Dziękuję panowie! Dziękuję!

Odprowadzili go z odzyskaną kasą do sołtysa. Chcieli zaraz wracać pod namiot, odpocząć, ale jakaś zrozpaczona matka zastąpiła im drogę i prosi, żeby syna jej ściągnąć z dachu, bo to kaleka. Nie powiedziała, że to kalectwo umysłowe. Gdy razem z nią podpłynęli, syna na dachu nie było widać, tylko słychać było jak zza komina strasznie klął. Na matkę! W żaden sposób zejść nie chciał. Pokazali kobiecie dłonie starte od wioseł do krwi i razem z nią zawrócili. Jedyna osoba, której we wsi nie pomogli. Później związanego ściągnęła go z dachu wojskowa amfibia.

Mąż, co musiał lekarstwo dać żonie, prowadził Adama po wodzie bardzo niepewnie. Mieszkał za wsią, w przysiółku. Po podtopionej Grobli kierował Adamem jako tako, ale gdy tylko znaleźli się za nią, na wielkiej tafli nad polami, masa wody i nieba zakręciła mu w głowie. Płynęli w kółko dookoła paru wystających drzew i słupów. Adam chciał już zawracać z powrotem, gdy nagle: „Trach…ch…!" Drąg zaostrzony jak dzida wlazł w sam środek kajaka. Chłopina przestraszony bał się wysiąść. Adam w slipach zsunął się ostrożnie do wody wybadać sytuację. Woda powyżej pasa, strasznie brudna. Patrzy – ugrzęźli na płocie! Przez dziurę w dnie wlewa się do kajaka woda z gnojem, ze śmieciami wyrzucanymi we wsi na podwórka. Syf! Co robić? Nie było po co wołać o pomoc, o ratunek. Nikogo nie widać jak okiem sięgnąć. Można zwariować! Dopiero pod wieczór na horyzoncie pokazał się punkcik. Rósł w oczach. Amfibia! Zaczęli się drzeć, krzyczeć i machać rękami. Zauważyli ich i podpłynęli. Adam zaczął prosić żołnierzy, żeby go zawieźli do wału, do kolegów, na Górkę, ale żołnierze: „nie, nie" odpowiadają, bo rozkaz mają płynąć do Zielonki. Adam był prawie nagi, trzęsło nim z zimna. Żołnierze ulitowali się i proponują: „Płyńcie z nami do Zielonki. Tam przenocujecie". Nie było innego wyjścia.

W Zielonce ludzie dali mu się umyć i pod pierzynę wsadzili. Chłopa, co go namówił, wysłali spać do stodoły. Pod pierzyną na Adama wystąpiły siódme poty. Od razu zapadł w sen, kamienny, pierwszy od wielu dni. Nawet nie wiedział kiedy zrobiło się rano. Zerwał się z łóżka. Gospodarze widząc, że jest tylko w slipach, znaleźli jakąś derkę i dali mu do okrycia. Pojawiło się wojsko. Tym razem go usłuchali. Jak opowiedział żołnierzom, co robił z kolegami w Grobli, podwieźli go do groblańskiego wału. Chłopaki widząc go na amfibii zaczęli skakać z radości. Wysiadł z amfibii z pełnymi rękami. Dostał

worek konserw, chleba, chociaż innym żołnierze żywność wydzielali. Na odchodne dali mu duże torby małych kostek. Wrzuca się kostkę do garnka i woda jest czysta. Skarb!

Ze Stachem i Tomkiem wypłynęli odszukać uszkodzony kajak. Znaleźli. Zerwali go z drąga z płotu i podholowali do Górki. Stacho poświęcił swoją koszulę, żeby go załatać. Posmarowali w ten sposób załataną dziurę żywicą epoksydową. Po kilku godzinach żywica zaschła i kajak nadawał się znowu do użytku. Był z dykty. Innych kajaków jak „dykciaki" wtedy w Polsce nie było. Po znajomości, na lewo, pożyczyli kajaki z kazimierskiego PTTK. Zaczęli się bać czy podrapane, poobijane, a teraz i uszkodzone kajaki przyjmą im z powrotem.

Mimo, że rozbili w końcu w Grobli, na wale namioty, wyspać się nie było im dane. Tylko Adam złapał trochę snu w Zielonce. Już w namiotach zasypiali, gdy ktoś wsadza głowę do środka i prosi, żeby płynąć po młodego co został sam pilnować domu. Edek się zgodził.

Dopłynął, widzi, że ze strzechy zalanej chałupy jakaś głowa wystaje. Ogląda tę głowę i oczom nie wierzy.

– Gienek?! – woła.

– Edek? – pyta rozpoznająca go głowa.

– A ty tu co Gienek?

– Mieszkam tu.

– A ty co tu robisz, Edek?

– No, ja Ci pomagam. – mówi Edek i zaczyna ostrożnie oswobadzać głowę ze słomianej strzechy. W końcu dało się głowę z torsem chwycić pod ramiona i wciągnąć do kajaka. To był Edka kumpel z wojska! Łóżko w łóżko dwa lata spali na jednej sali w koszarach w Orzyszu.

Zaraz po Edku z namiotu wyciągnął jakiś chłop Staśka.

– Panie! Córki zamknąłem w domu. Wypuścić je trzeba – prosi.

– A po co pan córki zamknął?

– Bo poszła po Grobli wieść, że takich pięciu młodych, zarośniętych jak wilki, grasuje. Bałem się panie!

Roześmiał się Stacho. W tym momencie podchodzi do niego drugi mężczyzna, odciąga na stronę i szeptem tłumaczy, że musi jechać zobaczyć, co z gospodarstwem się dzieje.

– Gdzie? W którą stronę? – pyta go Stacho.

Okazało się, że w tym samym kierunku, a nawet prawie w to samo miejsce, co pierwszy.

– To siadajcie – zaprasza do kajaka Stacho, ale widzi, że oni odwróceni plecami do siebie stoją jak sparaliżowani.

– Panowie. Siadajcie albo pierdolę i nie płynę – grozi im Stacho.

Wsiedli, dalej od siebie odwróceni plecami.

– O co chodzi? Mówcie – apeluje do nich Stanisław płynąc.

Z oporem wydobył z nich, że koń jednego kopnął przypadkiem syna drugiego. Śmiertelnie. Potem córka jednego zakochała się w synu drugiego, ale pogniewane na amen rodziny za nic na ślub nie chciały się zgodzić. Dzieci z Grobli w świat uciekły.

Zdumiony Stacho słucha tego wszystkiego i nagle staje się dla niego jasne, że tych dwóch facetów znalazło się w jego kajaku nie przypadkiem. Zahamował kajak.

– Widzicie? – wiosłem niebo pokazał. – Po to was do mojego kajaka wepchnęło, żebyście nareszcie po ludzku mówić do siebie zaczęli!

Na miejscu nie pomagał im przy wysiadaniu. Sami musieli sobie nawzajem pomagać. Może przez powódź i Stacha w końcu się pogodzili?

Woda opadała, ale nie za bardzo. Znaczyło to, że ruszając w dół, do domu, do Kazimierza będą musieli cały czas ścigać się z czołem powodziowej fali. Rano, na początku trzeciej doby w Grobli, wychodząc z namiotów, poczuli fetor, jakiego dotąd nie było. Pływające po wodzie rozdęte zwłoki zwierząt zaczynały się rozkładać.

– Chłopaki – zwrócił się do kolegów Radek. – Ja najdalej za trzy dni muszę być w robocie. Inaczej mnie wyleją.

Staszek miał zaraz po powrocie rozpocząć w fabryce samochodów ciężarowych FSC w Lublinie pracę. W Kazimierzu czekała na niego poznana niedawno piękna Zosia. Edkowi też kończył się urlop w puławskich Azotach. Tomek był umówiony na rozmowę kwalifikacyjną do pracy jako kierowca w puławskim PKS. Nie mogli zostawać dłużej. Do Kazimierza będą musieli gnać ze wszystkich sił. Mieli do pokonania około 260 kilometrów w 32 godziny do wieczora następnego dnia. Osiem kilometrów na godzinę. Na Wiśle to niemało, nawet kiedy się wliczy, że Wisła powodziowa płynie szybciej niż zwykle.

Sołtys Błaszczyk traktował ich już prawie jak swoją radę sołecką. Pytał o zdanie, zwracał się o pomoc. Teraz oni poszli do niego szukać oparcia.

– Trzeba wam mieć zaświadczenie. Urzędowy papier musi być. Ale do gminy i do powiatu w Bochni daleko. Za daleko…- zasępił się. – Zaraz, zaraz – plasnął się dłonią w czoło. – Przecież pieczątki ma nasze Kółko Rolnicze… I szkoła ma – przypomniał sobie.

Od razu siedli i sołtys zaczął pisać. Że Zarząd Kółka Rolniczego w Grobli zawiadamia iż (tu pięć imion i nazwisk) z narażeniem życia jako pierwsi przy użyciu posiadanych kajaków, włączyli się w akcję ratunkową tutejszych powodzian znajdujących się w beznadziejnej sytuacji, wywożąc ich z zalanych po dachy domów na wzniesienie wystające ponad rozlewisko, zwane Górką… Że Zarząd Kółka Rolniczego z braku innych Czynników Administracyjnych w imieniu ocalałych mieszkańców wyraża wdzięczność i podziękowanie dla wyżej wymienionych… Zaznacza się też – napisał sołtys – że wyżej wymienieni byli na urlopie wypoczynkowym i w obliczu klęski żywiołowej zrezygnowali z wypoczynku niosąc pomoc odciętym od świata mieszkańcom wsi…Zaświadcza się – napisał też na końcu – że w czasie akcji ratunkowej kajaki zostały uszkodzone, w tym jeden poważnie…

Z pismem w ręku sołtys wyszedł przed dom.

– Hej! Chłopy! – zawołał. – Chodźcie tutaj prawdę, że nas na kajakach uratowali, poświadczyć. Niech każdy się podpisze. W pracy muszą to okazać!

Ludzi nie trzeba było prosić. Od razu podpisało się sześćdziesiąt mężczyzn i kobiet. Po pieczęć szkoły popłynęli kajakiem. Kierownik szkoły potwierdził pismo swoją adnotacją i przystawił szkolną pieczęć. W szkole nie było już babci Pająkowej i jej wnuków. Syn zabrał

ich do Nowej Huty. Wsadzili pismo, żeby nie zamokło, do butelki i wrócili na Górkę.

Pismo pomogło w pracy i w kazimierskiej wypożyczalni kajaków PTTK. Przetrwało. Stało się z czasem jedynym dowodem, że dokonali rzeczy, wydawałoby się, nieprawdopodobnej.

Do Kazimierza płynęli jednym ciągiem, nie wysiadając z kajaków. Poniżej Grobli, na łuku zatoczonym przez Wisłę, minęli miejsce, od którego wszystko się zaczęło. Wyrwa w wale miała ze sto metrów. Ziała ponuro. Nie oglądali się już więcej za siebie. Mieli przed sobą tylko półtorej doby: połowę dnia, noc i następny dzień, trzydzieści kilka godzin, z których nawet kwadransa nie mogli zmarnować. Jeden drugiego zmieniał przy wiośle. Adama, samego w kajaku z ekwipunkiem, trzeba było parę razy wspomóc. Miał najciężej. Przypominał sobie, żeby nie zasnąć, nigdzie poza Groblą niewidziane rzeczy: psy przed wodą pnące się na dachy domów po drabinach, wystające z wody kłosy zbóż czarne od szczelnie oblepiających je owadów, myszy jak linoskoczki utrzymujące na kłosach chwiejną równowagę…

Tomek, gdy nie był przy wiośle, moczył i chłodził w wodzie zmęczone, poranione dłonie. Po Radku był najsilniejszy ze wszystkich. Cegłą rzucał na pięćdziesiąt metrów. W Kazimierzu mieszkał ze wszystkich chłopaków najdalej od Wisły, nie znał jej tak jak oni, ale teraz – był tego pewien – dużo się o Wiśle dowiedział.

Edek cały czas nie mógł wyjść ze zdumienia, że uratował kolegę z wojska. A mówią, że cuda się nie zdarzają! Marzył, że kupi sad, będzie handlował owocami i rzuci Azoty – to huczące kłębowisko rur, do którego codziennie musiał wstawać o czwartej rano. Chciał mieć też swoją pychówkę z małym silniczkiem i wpływać nią w najbardziej niedostępne zakamarki Wisły, gdzie nikt nie przepłoszy mu ryb, kiedy złapie trochę czasu tylko dla siebie.

Stacho to kalkulował, to fantazjował. Jak będzie w FSC w Lublinie? Uda się zdobyć tam mieszkanie i sprowadzić Zosię? Czy „cienie" z SB przekażą do fabryki informację o tym, jak w wojsku, w marcu 1968 roku, pełniąc wtedy wartę, próbował zablokować mechanizm otwierający bramę koszar, żeby czołgi nie mogły wyjechać na Warszawę? A może tę całą socjalistyczną obłudę rzucić w diabły i dać dyla na Zachód? Nie mógł wiedzieć, że ze wszystkim tym przyjdzie mu się w życiu zmierzyć. Że wróci z emigracji do Polski, że zbuduje w Kazimierzu dom i że każdego trzynastego grudnia, na pamiątkę tego, jak działał w fabrycznej Solidarności, będzie wypływał kajakiem na środek Wisły, na wyspę, rozpalić ze znajomymi wielkie ognisko. I że los pozwoli mu co lato spędzać na Wiśle, jak w drugim domu, dni i noce. Pędząc z Grobli do Kazimierza był pewien, że przepłynąłby całą Wisłę w cztery, pięć dni ustanawiając rekord nie do pobicia.

Radek nie spał przez całą Groblę. Z niewyspania miał, wracając, zwidy. W nocy widział, jak prosto na jego kajak idzie, cała w bieli, kobieta. Wpatrywał się w jej twarz, ale rysy nie były wyraźne. Mogła to być jego żona, matka dwóch ich synów. Dawno jej nie widział. Po porodzie zaczęła być dziwna. Nie poznawała ani jego ani dzieci. Zabrali ją na leczenie. Zbliżała się do jego kajaka coraz bliżej. Tuż przed tym, jak chciała wejść na dziób kajaka, zaczął go z całej siły cofać wstecznymi pociągnięciami wiosła. Na Stacha, siedzącego z tyłu, spadła fontanna wody... Potem tabun białych koni cwałował przez Wisłę na Radka. Ocknął się. Uśmiechnął się gorzko. Zaraz po wojnie mówiło się, że na białym koniu wjedzie do Polski jej prawdziwy oswobodziciel i przegna komunę. A on, w drugiej klasie kazimierskiego liceum, słysząc na lekcji od dyrektora szkoły, że to nie czerwoni Ruscy tylko Niemcy wymordowali w Katyniu polskich przedwojennych oficerów, wyrwał się, że to nieprawda, bo ma w domu list od wujka, którego Sowieci tam zabili. Jeszcze zanim zdążył ze szkoły wrócić ubecja zrobiła w domu rewizję. Relegowali go z ogólniaka, zamknęli wstęp do wszystkich szkół. Może dlatego musiał nauczyć się wszystkiego sam? Stolarstwa, masarstwa, zegarmistrzostwa… Przypomniało mu się, jak w Grobli mały Witek nazwał go „Bozią". Nie wiedział, że za kilkadziesiąt lat, kiedy jego bujne włosy i broda posiwieją, poproszą go, by pozował jako Pantokrator w filmie, który obejrzy cała Polska. I nie mógł wiedzieć, że Witek, jako zakonnik, zostanie przeorem klasztoru franciszkanów w Kazimierzu Dolnym.

Do przystani w Kazimierzu dopłynęli punktualnie, w półtora dnia od opuszczenia Grobli, tuż przed 20 – tą. Spaleni słońcem, z poranionymi dłoniami, zataczali się po wyjściu na ląd ze zmęczenia. Na Radka czekali synowie. Na Stacha czekała Zosia. Nie wiadomo, kto czekał na Adama, Edka i Tomka, ale na pewno wszyscy byli szczęśliwi.

Od autora

O uratowaniu w 1970 r. z olbrzymiej powodzi mieszkańców małopolskiej wsi Grobla przez pięciu chłopaków z lubelskiego Kazimierza Dolnego dowiadywałem się stopniowo, przez wiele lat. Nie opowiadali o tym codziennie. Żeby skłonić ich do tego, trzeba było stwarzać lub wynajdować specjalne okazje. Zdobyłem w ten sposób relację Adama Tomczyka, Stanisława Matyko i Pawła Skrzeczkowskiego – syna Radka. To, że ratowali dysponując tylko trzema kajakami, nadawało zdarzeniu pikanterii ,ale w tej historii nie sensacyjność wybijała się na plan pierwszy. Żaden z opowiadających nie kreował się na bohatera. Pół wieku temu ich wakacyjny spływ kajakowy Wisłą nagle zamienił się w coś, co zdarza się raz w życiu albo w ogóle. Podjęli to wezwanie – każdy z nich, wspierany przez pozostałych.

Kiedy w kazimierskim klasztorze reformatów zjawił się w 2011 roku urodzony w Grobli franciszkanin Wiktor, rozproszone wątki historii ratowania zaczęły się splatać. Kazimierzance Bożenie Gałuszewskiej udało się nagrać jego opowieść o życiu w Grobli. Bożena naniosła też na papier relacje zdobyte przeze mnie. Do dziś zachowało się zaświadczenie wystawione piątce Kazimierzaków przez sześćdziesięciu Groblan. Sporo czasu poświęciłem na kwerendę krakowskiej prasy z 1970 r.

W organie KW PZPR „Gazecie Krakowskiej" w podsumowaniu akcji przeciwpowodziowej stwierdzono, że: „…zdarzały się w niej

przypadki obojętności, bezduszności, zwyczajnego draństwa. Nie tylko do Pasieki nie dotarła na czwarty dzień powodzi kolumna sanitarna. Podobnie było w Niedarach, Majkowicach, Grobli i Drwinie w powiecie bocheńskim". Ale o tym, że w oficjalnie w ten sposób potwierdzonemu osamotnieniu Grobli, w jej nieszczęściu, spróbowali (skutecznie) zaradzić Kazimierzacy wspomniała tylko króciutko i raczej pobieżnie, gazeta „Chłopska Droga", pisząc: „…o grupce turystów – kajakarzy, brodatych chłopcach, którzy zawitali do Grobli niedzielnym wieczorem… i których kajaki były prawdziwym skarbem, gdy trzeba było walczyć z Wisłą, gdy zaszła potrzeba ratowania ludzi i cennego dobytku".

Pamięć o tym najżywsza była w Grobli. Ilekroć któryś z ratowników zjawił się we wsi był serdecznie witany i goszczony.

Radek Skrzeczkowski i Adam Tomczyk już nie żyją. Pozostali uczestnicy wyprawy kajakowej: Stanisław i Edward Matykowie oraz Tomasz Bielecki osiągnęli wiek emerytalny. Coraz słabiej pamiętają wydarzenia z lipca 1970 r. Na podstawie kruchego, fragmentarycznego materiału trudno było wiernie odtworzyć dramatyczne wydarzenia. Jedno jednak jest pewne: to, że pięciu ludzi, dysponując tak skromnym sprzętem, dokonało czegoś wyjątkowego i to nie dla zysku, sławy albo nawet czyjejkolwiek wdzięczności. Wdzięczności, która im się należy.

Edward Balawejder

NAJWAŻNIEJSZY DOM MARII KUNCEWICZOWEJ

Dom „Pod wiewiórką", zgodnie z wolą Kuncewiczów jest dziś obiektem muzealnym, dokumentem epoki i stylu życia byłych właścicieli, salonem literackim, ważnym miejscem artystycznych spotkań.

„Doprawdy, nie znam pisarza, który by z taką namiętnością, troskliwością, obsesją budował i chronił swą twórczością od zagłady dom własnego życia. Nikt też nie objawił mi z równą siłą, że DOM to jedna z najważniejszych spraw ludzkiej egzystencji, warunek swobodnego i pełnego kształtowania się osobowości, określony wzór zachowania, uczciwości i kultury" pisała Helena Zaworska, przyjaciółka Marii Kuncewiczowej [1].

Dom z duszą

Zapewne godząc się na przyjazd do Kazimierza, Maria Kuncewiczowa nie zdawała sobie sprawy, czym będzie dla niej to miasto i jakie miejsce zajmie w jej życiu i twórczości. „Do Kazimierza długo nie chciałam jechać. Zjawiłam się tam w roku 1927 za sprawą męża, urodzonego w Jakubówce pod Lublinem, wychowanego i zamiłowanego w Lubelszczyźnie. Widywałam stare sztychy, gdzie wyobrażony był rynek kazimierski, okolony szczątkami renesansu, zasnuty nawozem koni chłopskich, pstry od fur i sukman, od chałatów, kóz, gęsi i pejsów. Lubiłam takie sztychy, nie lubiłam takiego życia", napisała w „Fantomach"[2]. Wspominając swoje dotychczasowe życie wyznaje jednak szczerze: „W mojej rodzinie dość już było podróży. Przodkowie moi – do czwartego pokolenia wstecz – byli zesłańcami, emigrantami, żołnierzami Polski na cudzych ziemiach"[3]. Miała bowiem już za sobą wędrówkę rodziny Szczepańskich – z której pochodziła – i wiele skomplikowanych losów, rzucających ją w różne miejsca – wybudowany więc w Kazimierzu dom, poza warszawskim mieszkaniem, stał się dla Marii Kuncewiczowej ważnym i oczekiwanym miejscem. Pisała w „Kluczach": „życie w nim wydawało się teatrem, a świat dekora. Dom okazał się istotą. Złożony z miliona komórek, miewał rumieńce, bywał blady, promieniał i chmurniał. Budził się razem ze mną. Razem ze mną zasypiał, ale w nocy dziwniał, snuł swoje osobne życie – belki wzdychały, roniły żywicę, lasowało się wapno, wyły kominki, osiadały kamienie, przypominał się daleki las, z którego przywędrowały bale sosnowe i olchowe gonty, śnił się kamieniołom nad rzeką, rodziły się myszy, psy, koty, korniki, pająki... Dom gęstniał, pochłaniał mnie, a jednocześnie sam wzrastał w tajemniczą perspektywę, która mogła być moją historią, chociaż nią nie była.... Dom zdążył stanąć, a ja zdążyłam osiąść" [4]. W nim spędziła, wraz z mężem Jerzym, najpiękniejsze przedwojenne lata, tu przeżywała okres bujnej kazimierskiej cyganerii, stąd, rankiem 9 września 1939 roku „dom nastawiony na szczęście trzeba było opuścić"[5], pozostawiając swój zdobyty już materialny i twórczy ślad.

Dzicy lokatorzy

Bardzo wymowny jest jej tekst o wojennej przeszłości domu i okresie do jego odzyskania, zamieszczony u schyłku już życia w „Listach do Jerzego", odwołujący się do czasów ich nieobecności w nim: „Od tego właśnie domu wkrótce odjechaliśmy na długo i daleko. Miał wielu wojennych i powojennych lokatorów. Niektórzy byli mordercami, inni męczennikami, jeszcze inni złodziejami. Do kogo przez ten czas należał nasz dom? Lotnicy niemieccy spalili na dziedzińcu bibliotekę i niektóre obrazy. Odeszli. Nastał rabunek bardziej zorganizowany po rządami naczelnego lekarza... uzdrowiska dla hitlerowców. Krwiożerczy lekarz miał poczucie piękna i w obawie przed zbłąkaną kulą kazał oszalować skarb domu, piec huculski. Przyszedł czas forsowania przeprawy przez Wisłę. Przy twoim opuszczonym biurku raz podpisywał rozkazy szef czarnego, innym razem czerwonego sztabu. Wreszcie tak zwani dzicy lokatorzy dobrali się do ukrytego przez Józefów kufra mojej babki..... Kto się wtenczas tego domu bał? Kto go rabował? Kto niszczył? Ludzie. Kto podczas kanonady osłaniał pniami o głębokich korzeniach? Drzewa. Kto wesoło do jego okien ćwierkał? Ptaki. Czyj był ten dom? Po kilku latach pobytu kolonii dzieci urzędników – dom został nam zwrócony. Wyporządzony. Obce cienie jeszcze snuły się po pokojach i trzeba było dom na nowo zaludnić sobą" [6].

Goście i wena twórcza

Przebywając na emigracji we Francji, Anglii, Stanach Zjednoczonych, podróżując po Europie, a także już po powrocie do Polski, będąc znakomitą obserwatorką i kronikarką swojej epoki, aktywnym uczestnikiem burzliwych wydarzeń XX wieku, powracała w swojej twórczości, w wielu książkach i szkicach, licznych wywiadach do tego pozostawionego miejsca w Kazimierzu, przedstawiała przeszłość domu, swoje z licznymi przyjaciółmi życie w brzeziniaku, opisywała budowę nowego budynku, wyjazd z niego w 1939 roku, jego utratę, a później szczęśliwe odzyskanie. Chętnie przywoływała licznych w tamtym czasie gości: pisarzy, poetów, artystów plastyków, przyjaciół swoich i męża Jerzego. Bywali tu m.in. Maria Pawlikowska-Jasnorzewska, Irena Lorentowicz, Teresa Roszkowska, Antoni Michalak, Tadeusz Pruszkowski, Julian Tuwim, Konstanty Ildefons Gałczyński, Jarosław Iwaszkiewicz, Antoni Słonimski, Adolf Rudnicki, czy liczni, ważni działacze polityczni, szczególnie ludowcy związani z Jerzym Kuncewiczem.

Dom w Kazimierzu był miejscem, w którym powstało wiele jej utworów. Wspominała, że „W brzeziniaku, przy drewnianym stole" pisałam „Dwa księżyce". Tu napełniała się Kazimierska Teka „Odkrycia Patusanu". W chatce nawiedziła mnie „Cudzoziemka", tutaj na jakąś Wielkanoc zajrzeli „Powszedni Państwo Kowalscy". Pod koniec lat pięćdziesiątych przegalopował tędy na oszronionym Rosynancie „Don Kichot" po polsku i napisałam go znowu po angielsku. „Fantomy" objawiły mi się w kwitnących bzach i na zapadniętych mogiłach Kazimierza".[7]

Kuncewiczowie na tarasie, foto. Zofia Nasierowska, Kazimierz - ok.1980 r

Miewała wyrzuty sumienia z powodu wyjazdu na emigrację. Napisała o tym bardzo szczerze w „Naturze" – „Nienawidzę Jerzego za to, że nie pozwolił mi zostać w Kazimierzu. Siebie nienawidzę, że dałam się przekonać argumentom. Wcale nie musiałam zginąć. Wiem, co pod okupacją czeka podludzi. Ale jeśli inni mogą wypróbować siebie w walce, w konspiracji, w strachu, w głodzie, w torturach, dlaczego nie wolno mnie sięgnąć do swojego dna i do dna losu? Nigdy nie umrę spokojnie, bo nie siedziałam w celi śmierci. Namiętnie pragnęłam zostać w Polsce i jednocześnie pragnęłam, żeby Jerzy zmusił mnie do wyjazdu...".[8] Odwiedzając w roku 1958 Polskę i swój dom w Kazimierzu, po dwudziestoletniej prawie nieobecności w kraju, wyznała: „Zatrzymałam się przy kilku szczególnie drogich drzewach i te drzewa stanęły w blasku wszystkich swoich znaczeń. Przypominając godziny, ludzi, rzeczy, których szczęścia, których ważności nie umiałam ocenić, pokazały mi tę ważność, pokazały mi to szczęście".[9] O tym miejscu na ziemi w Kazimierzu, jego wpływie na swoje życie mówiła w jednym z wywiadów już w roku 1937: „Mało bym wiedziała o życiu, gdyby nie Kazimierz. Tu zobaczyłam różne byty ludzkie; w swoim ubóstwie tak zdumiewająco egzotyczne – to była lekcja życia. Tu się zetknęłam z rzemieślnikami, z sąsiadami, tu się zahaczyłam o konkretność życia, tu miałam swój kawałek ziemi, swój domek. Poznałam technikę życia, zetknęłam się ze zwierzętami, z roślinami, z różnymi gatunkami fikcji, w których żyją ci ludzie".[10] To zauroczenie Kazimierzem, jego położeniem, przyrodą, mieszkańcami pozostało w niej na całe życie.

A jednak Kazimierz Dolny

Takie myślenie o ważności tego miejsca towarzyszyło jej szczególnie w czasie pobytu na emigracji, ciągle powracała myślami do niego, z nadzieją na jego odzyskanie. Po licznych miejscach zamieszkania w dzieciństwie i młodości, od Samary, Płocka, Włocławka, Warszawy, Krakowa, Nancy, a później w czasach emigracji – Paryża, Londynu, Nowego Jorku, Chicago, czy Old Kennels w Virginii, u syna Witolda, miała ciągle w Polsce swoje jedyne miejsce w Kazimierzu, bowiem ich warszawskie mieszkanie przy Placu Trzech Krzyży 13/8 zniszczone zostało bezpowrotnie w roku 1939. Przebywając na emigracji była bardzo zmęczona tą ciągłą bezdomnością, jak mówiła, zmianą adresów zamieszkania. Pisała o tym do syna w liście z 15 marca 1968 roku: „ Wszystko okazało się mirażem i przekleństwo bezdomności ciąży mi bardzo, że już tęsknię do byle jakiej ziemi, niechby się tylko okazała ostatnia…". W innym liście z dnia 2 kwietnia 1868 roku, odrzuca jednak złożoną przez niego propozycję zamieszkania w jego domu w Old Kennels. Pisze: „Twoja gotowość dzielenia się z nami własnym życiem zawsze mnie wzrusza

i przejmuje wdzięcznością, jako odruch miłości i dobrego serca. Ale. Jest wiele tych ale…Weź także pod uwagę rodzaj domu. Waszego domu, który musiałby się stać ogniskiem naszego życia. Ten dom - dla nas - nie jest naturalny. Dom, gdzie się nie mówi po polsku, gdzie panią jest osoba zupełnie polskich spraw nieciekawa, a nawet właściwie im niechętna, musi nas do pewnego stopnia paraliżować."[11]

Zdecydowali się więc Kuncewiczowie na powrót kraju, do ukochanego Kazimierza, do którego mogli szczęśliwie powrócić. Napisała później w "Fantomach": „Może los oszczędził mnie po to, żebym na schyłku życia znalazła jeszcze jakiś swój ostateczny cel, dom stoi i pięknieje. Jak gdybyśmy teraz dopiero mościli sobie gniazdko na długie rodzinne i gościnne życie".[12] Wracali więc do „Willi po wiewiórką" z nadzieją na spędzenie w niej ostatnich lat swojego życia, bo jak napisała w wyżej cytowanym liście do syna „..ale jak i gdzie mamy żyć inaczej? Czy te ostatnie lata, kiedy mam jeszcze coś do napisania, mam spędzić w podróżach, które znienawidziłam i zawsze nie u siebie, mając własny dom? Poza tym chcę choć raz jeszcze zobaczyć jak wiśnia kwitnie pod moim oknem".[13]

Scena dziejów

Po powrocie z emigracji w roku 1970 dom stał się miejscem stałego zamieszkania i twórczości, miejscem wielu rozlicznych, polskich i międzynarodowych kontaktów artystycznych, a kazimierski cmentarz miejscem wiecznego spoczynku, w grobie wybudowanym przez Jerzego Kuncewicza. Opustoszały dom wyposażony został od nowa, dzięki zakupom i darom wypełnił się meblami, obrazami, sprzętami. Już wtedy Kuncewiczówka była chętnie odwiedzana i traktowana jako swoistego rodzaju obiekt muzealny. Odwiedzającym, często wybitnym twórcom, np. Jerzy Kosiński, Jan Józef Szczepański, Piotr Kuncewicz, Jerzy Gnatowski, Władysław Filipiak, wielu innym wybitnym ludziom kultury i sztuki, nauki, polityki, nie chodziło jednak o oglądanie zgromadzonych przedmiotów, lecz o kontakty z pisarką i jej mężem w atmosferze stworzonego przez nich wnętrza. Stąd pisarka patrzyła na świat, na ludzi, stąd wyruszała w liczne podróże zagraniczne, zazwyczaj naukowe i twórcze. Tu napisała kolejne książki: „Natura", „Przeźrocza", Listy do Jerzego", tu powstały także „Wyspy pamięci", „Wieczna przemienność" Jerzego Kuncewicza.

Z wielką nostalgią wspomina: „Dom, do którego wróciłam, stoi na innym świecie niż ten, na którym go zbudowano. Ja też jestem inna..... widzę w nim nie tyle odzyskaną siedzibę, co muzealny zabytek. Trudno ocenić inność czy chociażby tożsamość ludzkich światów w przeciągu jednego, chociażby długiego życia".[14] Czy kilka lat później w „Listach do Jerzego: „Jerzy, to, co dzisiaj widzę z okien naszego domu zbudowanego przez Ciebie na wzgórzu z myślą o starości, w licznym gronie wnuków, nie jest to stracony widok, to odsłonięta scena dziejów".[15] W rozmowie z Wiesławą Czapińską przeprowadzoną w 1980 roku wyznała: „Twierdzę, że uważam się za bardzo szczęśliwą staruszkę. Nawet w najśmielszych marzeniach nie przypuszczałam, że po powrocie do kraju zastanę ten dom. Moje jabłonie, wierzby i jaśminy. To nie jest dom oddziedziczony. To jest gniazdo, które wybudowaliśmy sami z mężem. Przetrwał i jest i do tej małej ludzkiej sprawy powracam z uczuciem szczęścia i wiary w sens życia". [16]

Dom - kotwica

Maria Kuncewiczowa zdawała sobie sprawę, że to mężowi Jerzemu zawdzięcza istnienie domu w Kazimierzu, często więc przypominała w rozmowach, że jest to wspólny ślad ich życia, jego postrzegania, rozumienia, ideałów, nadziei na ich realizację oraz doświadczeń trudnego, długiego życia. W rozmowie z Heleną Zaworską wyznaje też bardzo szczerze: „Muszę powiedzieć, że materialną okolicznością, która utwierdziła naszą wspólnotę, było to, że drugi człowiek, z którym sprzęgło się moje życie, wybudował mi dom, jeśli on został zbudowany, jeśli już istnieje, jeśli wojna go nie pochłonęła, moje miejsce jest tam i z tym, kto ten dom wybudował".[17] To mąż Jerzy był, jak mówiła często, współtwórcą jej świata. Razem więc, do tego świata w Kazimierzu powrócili. Dom „Pod wiewiórką", jak nazywali go Kuncewiczowie jeszcze przed wojną, stał się dla nich czymś więcej niż tylko mieszkaniem, czy zwykłym siedliskiem. Stał się „.... domem własnym, domem-kotwicą, domem stałym adresem, związanym z określonym kawałkiem ziemi".[19]

Okazało się jednak, że willa „Pod wiewiórką" nie będzie rodzinnym miejscem kolejnych członków rodziny Kuncewiczów, że syn Witold tu nie zamieszka. Przygotowali swoje plany dotyczące przyszłości domu, o której wielokrotnie rozmawiali. Dała temu Maria

Wyremontowana studnia przy Kuncewiczówce.

Kuncewiczowa ostateczny wyraz w „Listach do Jerzego" pisanych po jego śmierci: „Jerzy. Wbrew oporowi jaki u Ciebie obserwowałam przy oglądaniu cudzych rzeczy i ambicji, postanowiłeś nasz kazimierski dom przeznaczyć na muzeum. A więc jednak muzeum. Dokument wspólnej przeszłości tych, co jeszcze są przeszłości ciekawi. Ciekawi tego, co zmienia formę, ale nie przemija" .[20] Nie miała, zapewne, na myśli zwykłego muzeum, marzyła o ciepłym, otwartym, bliskim każdemu domu, o swoistym ośrodku pracy twórczej, o salonie literackim, w którym spotykać się będą ludzie wielu kultur ze wschodu i zachodu. Dość czytelnie wypowiedziała to w rozmowie z Heleną Zaworską: „Chcemy, żeby dom, okaz kamienno-drewnianej architektury kazimierskiej, napełniony przedmiotami znaczącymi ślad długich wędrówek ciała i ducha, służył po naszym stąd zniknięciu, jako dokument pewnej epoki, pewnego stylu życia" .[21] Pisze jednak w „Naturze" zastanawiająco i dość filozoficznie, określając rolę przyszłych wykonawców jej woli: „Lojalnie uprzedzam przyszłych dozorców: oprócz osób żywych, będą tu mieli do czynienia z fantomem, który układa bukiety dla pośmiertnych gości". [22]

Ukochane miejsce na ziemi

Znakomicie rolę kazimierskiego domu w życiu pisarki określił Piotr Kuncewicz, częsty w nim bywalec, siostrzeniec Jerzego Kuncewicza: „Do Kazimierza dotarła w pełni rozkwitu swojej twórczości, jako pisarka już uformowana, ale to właśnie miejsce stało się dla niej ważniejsze niż inne i nie ma znaczenia, czy tam akurat mieszkała, czy nie – Kazimierz był dla niej tym, czym dla Izraela Ziemia Odzyskana. Jerzy i Maria odnaleźli tutaj swoje miejsce na ziemi".[23]

Dom „Pod wiewiórką" będący dla Kuncewiczowej jej męża ukochanym miejscem na ziemi, domem-kotwicą, stał się więc teraz, zgodnie z ich wolą, obiektem muzealnym, dokumentem epoki i stylu życia byłych właścicieli, salonem literackim, ważnym miejscem artystycznych spotkań.

Tadeusz Klak, wybitny znawca życia i twórczości, bardzo pięknie określił to miejsce w Kazimierzu, jego istotę, osobiste znaczenie dla pisarki a także dla tego wybranego przez nią i jej męża miasta: „Ten dom oprócz istnienia rzeczywistego otrzymał także wymiar metafizyczny i symboliczny, stał się jednym z najistotniejszych składników prywatnej mitologii Kuncewiczowej, a także ważnym elementem mitologii i legendy literackiej Kazimierza". [24]

1. Helena Zaworska, „Rozmowy z Marią Kuncewiczową", Czytelnik, 1983 r., str. 108
2. Maria Kuncewiczowa, Fantomy", Wydawnictwo Lubelskie", 1989 r., str. 98
3. tamże, str. 72
4. tamże, str. 120 i 172
5. Maria Kuncewiczowa„Klucze", Wydawnictwo Lubelskie, str. 32
6. Maria Kuncewiczowa, „Listy do Jerzego", PAX, 1988, str. 119-121
7. B. Sola, „Perspektywy" nr 8 1974 r.
8. Maria Kuncewiczowa, „Natura", Wydawnictwo Lubelskie, 1989 r., str. 172-173
9. tamże, str. 60
10. Alicja Szałagan, Maria Kuncewiczowa. Monografia. IBH, 1995 r., str. 44
11. List Marii Kuncewiczowej do syna Witolda, ze zbiorów Danuty Sękalskiej
12. Maria Kuncewiczowa, „Fantomy", str. 71
13. List Marii Kuncewiczowej do syna Witolda ze zbiorów Danuty Sękalskiej
14. Maria Kuncewiczowa, „Natura", str. 289-290
15. Maria Kuncewiczowa, „Listy do Jerzego", str. 45
16. Czesława Czapińska, „Uroda życia" nr 5/1980 r.
17. Helena Zaworska, „Rozmowy z Marią Kuncewiczową"
18. Maria Kuncewiczowa, „Fantomy", str. 71
19. tamże, str. 71
20. Maria Kuncewiczowa, „Listy do Jerzego", str.12
21. Helena Zaworska, „Rozmowy…, str. 111
22. Maria Kuncewiczowa, „Natura", str. 289
23. Katarzyna Szeloch, „Kuncewiczówka" Angora, 2006, wypowiedź Piotra Kuncewicza, str. 5
24. Tadeusz Kłak, „Legenda Kazimierza w twórczości Marii Kuncewiczowej", Studia i szkice Uniwersytetu Śląskiego, 1988 r., str. 109

Bogdan Kuzioła

RODZINNE HISTORIE

Autor poniższego artykułu opowiada o swojej rodzinie, która od kilku pokoleń związana jest z Kazimierzem Dolnym i jego okolicami. Niezmiennie przez lata drogie jej były dwie rzeczy: patriotyzm i umiłowanie muzyki.

Mój ojciec Piotr Tadeusz Kuzioła urodził się 19 października 1917 r. w Kazimierzu Dolnym. Piotr to urzędowe imię ojca, natomiast w rodzinie i wśród znajomych funkcjonowało wyłącznie drugie imię - Tadeusz.

Jego rodzicami byli Karol Kuzioła (pochodzący z Karczmisk) i Wiktoria Kuzioła (z domu Kijańska), Kazimierzanka z dziada pradziada.

Rodzice ojca byli bardzo zaangażowani w działalność niepodległościową w okresie zaborów, a następnie w tworzenie państwowości. Mój dziadek Karol Kuzioła był założycielem POW w Kazimierzu i jej pierwszym komendantem. Moja babka również należała do tej organizacji. Była kurierką, wysyłała żołnierzom paczki żywnościowe na front. Z tych czasów zachowało się dużo pamiątek i dokumentów, których kopie przekazałem do Instytutu Pamięci Narodowej w Lublinie.

Rodzina Kuziołów żyła bardzo skromnie i biednie, dlatego Tadeusz, już od najmłodszych lat był wysyłany na „służbę". Pasał krowy i wykonywał różne prace u bogatszych mieszkańców Kazimierza Dolnego, m.in. u swojego wuja Andrzeja Kijańskiego, który miał gospodarstwo na Miejskich Polach.

Po ukończeniu szkoły powszechnej ojciec mój uczył się zawodu stolarza w prywatnej wówczas szkole rzemiosł w Kazimierzu. Ukończył ją jako dyplomowany fachowiec. Następnie, jako syn legionisty „peowiaka", został skierowany do szkoły podoficerskiej. Kształcenie na zawodowego żołnierza zostało jednak przerwane z nieznanych mi, być może zdrowotnych, przyczyn.

W wieku 23 lat ojciec ożenił się z 16-letnią Kazimierzanką, Marią Stasiak. Ówczesne prawo zezwalało pannom na tak młode zamążpójście. Moja mama pracowała wówczas w restauracji i hotelu „U Berensa", którego właścicielką była pani Zakrzewska. Ślub i skromne wesele odbyły się w 1940 r. Mama miała jeszcze dziewięcioro rodzeństwa, z których dwoje zmarło w bardzo młodym wieku.

Okres okupacji zapisał się szczególnie w pamięci ojca. Przez jakiś czas pracował jako stolarz na lotnisku w Dęblinie. Podczas pamiętnej

Od lewej:
Piotr Tadeusz Kuzioła
Longin Wasiłek
Zygmunt Madejski
Jan Księski.

Krwawej Środy 18 listopada 1942 r. w Kazimierzu Dolnym, został aresztowany podobnie jak wielu mieszkańców miasteczka i okolic. Przez ponad dwa tygodnie był przesłuchiwany i torturowany przez gestapo (w budynkach obecnego IUNG-u w Puławach). Po tych przesłuchaniach wrócił do domu nieprzytomny, zakrwawiony i wygłodzony. Do końca swoich lat miał uraz do Niemców.

Od 1949 r. ojciec był stolarzem w Budowlanej Spółdzielni Pracy w Kazimierzu Dolnym. Prezesem spółdzielni był Edward Oroń.

Rodzice zamieszkiwali na Miejskich Polach czasowo w gospodarstwie Stasiaków, czyli rodziców mamy, którzy wyjechali na tzw. Ziemie Odzyskanie zaraz po zakończeniu II wojny światowej. Z powrotem wrócili w 1953 r. Od tego czasu nasza rodzina do dziś mieszka na Czerniawach.

Swoje zamiłowania muzyczne, oprócz gry na gitarze, ojciec realizował w zespole nazywanym wówczas „dżazem", grając w nim na perkusji. Trudno dziś powiedzieć, kiedy dokładnie zespół ten powstał, ale z opowiadań ojca wynika, że grał już w nim w latach 40 zeszłego wieku. Jego szefem był Jan Księski, akordeonista, mieszkający na Albrechtówce. Miał wykształcenie muzyczne, sam komponował utwory taneczne. Członkami zespołu byli również Longin Wasiłek (saksofon tenorowy) i Zygmunt Madejski (skrzypce). Kiedy

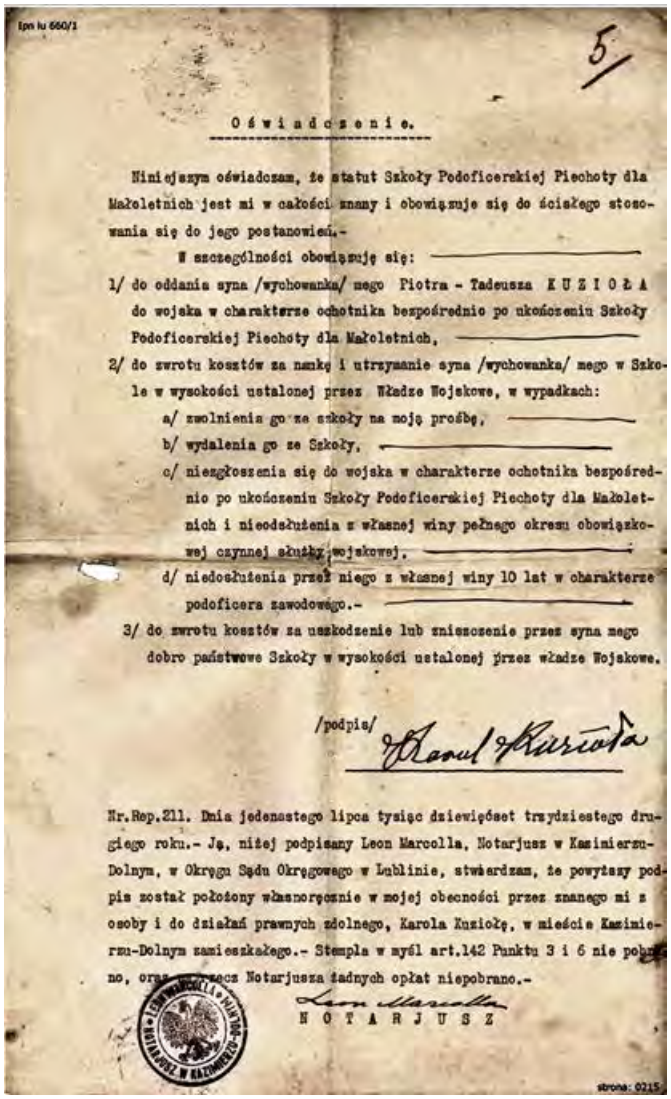

Lpm ku 660/1

5/

Oświadczenie.

Niniejszym oświadczam, że statut Szkoły Podoficerskiej Piechoty dla Małoletnich jest mi w całości znany i obowiązuje się do ścisłego stosowania się do jego postanowień.-

W szczególności obowiązuję się: ———

1/ do oddania syna /wychowanka/ mego Piotra - Tadeusza KUZIOŁA do wojska w charakterze ochotnika bezpośrednio po ukończeniu Szkoły Podoficerskiej Piechoty dla Małoletnich, ———

2/ do zwrotu kosztów za naukę i utrzymanie syna /wychowanka/ mego w Szkole w wysokości ustalonej przez Władze Wojskowe, w wypadkach:

a/ zwolnienia go ze szkoły na moją prośbę, ———

b/ wydalenia go ze Szkoły, ———

c/ niezgłoszenia się do wojska w charakterze ochotnika bezpośrednio po ukończeniu Szkoły Podoficerskiej Piechoty dla Małoletnich i nieodsłużenia z własnej winy pełnego okresu obowiązkowej czynnej służby wojskowej, ———

d/ niedosłużenia przez niego z własnej winy 10 lat w charakterze podoficera zawodowego.- ———

3/ do zwrotu kosztów za uszkodzenie lub zniszczenie przez syna mego dobro państwowe Szkoły w wysokości ustalonej przez władze Wojskowe.

/podpis/ Karol Kuziołа

Nr.Rep.211. Dnia jedenastego lipca tysiąc dziewięćset trzydziestego drugiego roku.- Ja, niżej podpisany Leon Marcolla, Notarjusz w Kazimierzu-Dolnym, w Okręgu Sądu Okręgowego w Lublinie, stwierdzam, że powyższy podpis został położony własnoręcznie w mojej obecności przez znanego mi z osoby i do działań prawnych zdolnego, Karola Kuziołę, w mieście Kazimierzu-Dolnym zamieszkałego.- Stempla w myśl art.142 Punktu 3 i 6 nie pobrano, oraz za sprawę Notarjusza żadnych opłat niepobrano.-

Leon Marcolla
NOTARJUSZ

strona: 0215

W Krakowie

chodziłem do szkoły w Kazimierzu Dolnym, to właśnie ten ostatni prowadził szkolny chór, którego dyrygentem był przez szereg lat.

W karnawale oraz latem, w okresie turystycznym, zespół miał podpisaną umowę z restauracją „U Berensa", potem z „Esterką", na granie w soboty i niedziele.

Kierownik zespołu Jan Księski w wolnym czasie uczył młodzież gry na akordeonie. Był mistrzem w tej dziedzinie. Longin Wasiłek prowadził zakład szklarski we własnym domu przy ul. Stanisława Ignacego Witkiewicza, natomiast Zygmunt Madejski pracował w sekretariacie szkoły podstawowej i liceum ogólnokształcącego w Kazimierzu Dolnym.

W latach 60. ojciec dostał korzystną ofertę pracy w jednym z przedsiębiorstw przy budowie Zakładów Azotowych w Puławach. Przez cztery lata był również oddelegowany do Włocławka, gdzie został wybrany na przewodniczącego rady zakładowej. Zaproponowano mu nawet mieszkanie pracownicze, ale mama nie wyraziła zgody na wyjazd. Pracowała wówczas jako kucharka w Kazimierzu w Domu Dziennikarza.

Marzeniem mojego ojca było, aby któreś z dzieci grało na jakimś instrumencie. Dlatego kiedy miałem 11 lat zacząłem uczęszczać do ogniska muzycznego przy MDK w Kazimierzu. Tam uczyłem się gry na akordeonie. Po skończeniu szkoły podstawowej w 1961 r. zdałem

egzamin do średniej szkoły muzycznej II stopnia w Lublinie. Uczyłem się w niej gry na fortepianie i trąbce. Nagła choroba i przebyta operacja usunięcia śledziony przerwała moją muzyczną edukację. Jednak po rekonwalescencji dalej grywałem na akordeonie, choć już tylko amatorsko. Kiedy w 1964 r. moja siostra Barbara wyszła za mąż za Mieczysława Sosika z Kazimierza, razem z nim wspólnie muzykowaliśmy w zaciszu domowym, gdyż on również umiał grać na akordeonie.

Powstanie kapeli przy OSP w Kazimierzu Dolnym w 1976 r., której założycielem i kierownikiem był druh Andrzej Rodzik było początkiem naszego wspólnego muzykowania z moim szwagrem Mieczysławem na różnego rodzaju uroczystościach, imprezach i weselach aż do lat 90. Najmłodszym członkiem kapeli był syn szwagra - a mój siostrzeniec - Marek. Był bardzo uzdolniony muzycznie, nuty poznał wcześniej niż alfabet. Jako dziecko umiał grać na kilku instrumentach: akordeonie, gitarze, perkusji, saksofonie i trąbce. Marek swojego talentu muzycznego nie zmarnował - ukończył Wojskowe Liceum Muzyczne w Gdańsku i trafił do Orkiestry Reprezentacyjnej Wojska Polskiego w Warszawie. Dodatkowo naucza i koncertuje z amatorską Orkiestrą OSP w Nadarzynie, która w 2017 r. w Tajlandii zdobyła mistrzostwo świata w musztrze paradnej.

Dwaj synowie Marka Sosika (który po ślubie z Wiolettą Borowską w 1990 r. przyjął nazwisko żony) kontynuowali tradycje muzyczne swojego pradziadka, dziadka i rodziców. Obydwaj ukończyli średnią szkołę muzyczną: starszy Sebastian w klasie skrzypiec, a młodszy Dawid w klasie klarnetu. Pierwszy jednak poprzestał na tym etapie edukacji muzycznej, natomiast Dawid pracuje w orkiestrze Zespołu Pieśni i Tańca „Śląsk".

W 2000 r. moja jedyna córka Marta, po ukończeniu studiów ekonomicznych w Radomiu, wyszła za mąż za Mariusza Celeja z Wierzbicy koło Radomia. Również mój zięć gra na akordeonie i instrumentach klawiszowych, a także śpiewa. Nasze muzyczne tradycje

Przed pomnikie

rodzinne kontynuuje również moja wnuczka Zuzia Celej, która już drugi rok uczęszcza do Szkoły Muzycznej w Puławach, gdzie uczy się gry w klasie fortepianu.

Niestety mój Ojciec nie doczekał już tych chwil, aby usłyszeć muzykujących prawnuków. Zmarł 12 kwietnia1997 r. Przeżył 80 lat.

Ojciec na ćwiczeniach

Waldemar Siemiński

KAZIMIERSKIE ŹRÓDŁA I WODOMCZA

Wodomcza istnieją nie tylko w przyrodzie, ale i w naszej historii. Choć słowo to zupełnie wypadło z obiegu współczesnej polszczyzny, warto je przypomnieć, szczególnie dziś, kiedy grozi nam deficyt wody.

Dotrzeć do źródła to pragnienie wielu. Źródło dochodów, źródło siły i energii, źródło młodości – do odkrycia jest dużo. Na początku lat 90. zeszłego już wieku, gdy byłem jeszcze stosunkowo młodym podstarzałym zapaleńcem w sile 50. wiosen, marzyłem o dotarciu do źródła rzeki. Obojętnie jakiej. Ciągle miałem w głowie spotkanego w Lubomierzu w Jeleniogórskiem tamtejszego nauczyciela geografii, który magisterium zrobił z opisu pełnego, ośmiokilometrowego biegu miejscowej rzeki. Wiedział o niej, żywej i wartkiej wszystko: od ujścia (do innej, większej rzeki) do samego jej początku. Znać coś całkowicie – od początku do końca… ho, ho, ho i nie byle to co!

Skowieszynek Błotny Dół. fot. Anna Ewa Soria

Ożywianie Grodarza

Grodarz znałem od szczeniaka, gdy puszczałem na nim stateczki z kory, przegradzałem go tamami, uklepywanymi z jego wilgotnej, nadbrzeżnej gliny i wyciągałem z niego maleńkie rybki… Pewnie dlatego, że byłem wtedy bardzo blisko swego źródła, to to skąd Grodarz się bierze w ogóle mnie nie obchodziło. Dopiero pół wieku później…

Siedziałem akurat w swoim warszawskim mieszkaniu, gdy zadzwonił telefon. Z magistratu w Kazimierzu, wiceburmistrzyni Marta Dymińska informowała, że intensywnie pracują nad tym, żeby Grodarz znów ożył i popłynął. Oczyszczają jego koryto, pogłębiają. Czy bym się nie zgodził, żeby pogłębić koło mojego domu u zbiegu Czerniaw i Nadrzecznej? Z wyrzuconej ziemi na moim odcinku chcą zrobić mały przeciwpowodziowy wał zabezpieczający.

– Ależ tak, zarówno jak i Ewa, moja żona, współwłaścicielka, akceptujemy to jak najbardziej!

Na uregulowanym odcinku ciągnącym się od Wisły, aż do kościoła świętej Anny Grodarzowi musi być strasznie nudno. Może z tego powodu odmawia biegu po betonie i coraz częściej gdzieś ucieka i znika. Jeszcze do niedawna w paru miejscach na tym odcinku spuszczano do niego, cichcem, ścieki. Śmierdząca sytuacja. Powyżej św. Anny brzegi rzeczki wyłożone trylinką przekraczają w kilku miejscach betonowe mostki. To betonowo – cementowe wdzianko Grodarz ma na sobie aż do nas, do budynku Nadrzeczna 43. Dopiero tu zaczyna się Grodarz płynący we względnie naturalnych warunkach. Gdy wychodzę z domu nad jego brzeg widzę w jak intymnych, zażyłych relacjach pozostają stykający się z nim ludzie. Powierzają mu swoje talerze, sztućce, garnki i nocniki, nie mówiąc o puszkach i butelkach po ulubionych napojach. Zbieram to z jego dna i odprowadzam ze śmieciami. Odłamki drewna suszę i palę w kominku.

Od tego miejsca, a zwłaszcza od mostku na styku Lubelskiej i Czerniaw Grodarz dziko zarastają krzaki, zwłaszcza super agresywny rdest. I mimo tego, po telefonie z magistratu, znowu odżyło we mnie pragnienie, żeby pójść nim aż do źródła.

Na tropie źródła

Tylko dom doktora Łaguny na Dołach stoi frontem do Grodarza. Właśnie od strony Grodarza ma on na parterze i na piętrze kamienno – betonowe ganki. W wiele lat po doktorze tarasem i gankiem zwrócili do Grodarza swój dom także Grażyna Kaczmarek i profesor Tadeusz Pałka. Trochę ponad sto metrów za nimi rzeczka dochodzi do asfaltowej drogi i wciska się pod nią, pod betonowym mostkiem. Po drugiej stronie jest nie do odróżnienia od przydrożnego rowu. Ale mi, gdy szedłem obok, wydawało się, że tylko w tym zarośniętym

Wąwóz Folwarczny. fot. Anna Ewa Soria

badylem fragmencie, może ukrywać się jakaś mała rusałka w wianku na głowie, zwłaszcza, że nieco powyżej tylko tu kręciły się koło wody w umiarkowanych ilościach czarno – białe kaczęta i kaczki. Potem Grodarz wnika w tereny dookólnych gospodarstw. Jest nimi poprzegradzany, nieraz nawet płotami. Staje się częścią podwórek. I dopiero tu domorosłego, podstarzałego explorera zaczęło mnie ogarniać podniecenie podszyte przeczuciem, że może jestem już blisko. Poczułem źródło! I rzeczywiście. Za kilkoma zabudowaniami zobaczyłem stok, niewysoką glinianą skarpę porośniętą zagajnikiem. Trudno było się do niej zbliżyć, gdyż rzeczka na kilkadziesiąt metrów przed zboczem rozwidlała się. Odnoga bystrzejszego nurtu ginęła w badylach. Węższa, włócząca sobą nikłą gliniastą wodę kończyła się nagle. Przeskoczywszy tę suchą odnogę, przez pokrzywy przedzierałem się ku skarpce. I nagle… Miałem przed sobą stawik z czystą, przejrzystą wodą! Pływały w nim kijanki i chyba cierniki, a także ruchoma wysepka rzęsy wodnej. Sielanka! Obszedłem stawik dookoła. Nie miał żadnego dopływu, tylko odpływową, bardziej wartką i żywą, ominiętą przeze mnie drugą odnogę. Ale gdzie do pioruna, coś w stawiku tryska?! Gdzie bąbelkuje źródło Grodarza? Może wpłynąwszy na stawik pontonem bym to odkrył? Potem dopiero od kogoś się dowiedziałem, że ponowne wypłynięcie Grodarza uzyskano w ten sposób, że spychaczem rozwalono i zniwelowano część wzgórza, do którego dotarłem, odsłaniając źródło.

A więc źródło było w łonie wzgórza. Zresztą rzeczkę zasilały, podobno, jeszcze inne źródełka położone nieco dalej, wyżej, w stronę Wyląg i Jeziorszczyzny. Podobno zagarnięte zostały do zasilania czyichś stawów rybnych.

Wodomcza nie zniknęły

Po dwu dniach odpoczynku, wyszedłem szukać innych niż Grodarza źródeł kazimierskich, cieków wodnych. Towarzyszyła mi Ewa. Pamiętałem z dzieciństwa, że na wyprawach przez zapuszczone wąwozy w stronę Gór migały mi wówczas w paru miejscach mokre, połyskujące wilgocią cieki żłobiące w wąwozach swoje bruzdy i to niekoniecznie po deszczu. W pasjonującej naukowej książce o historii Kazimierza Jadwiga Teodorowicz – Czerepińska pisze, że w dołach, wąwozach i rozpadlinach Kazimierza sporo było kiedyś takich odkrytych żył i żyłek wodnych – wodomczy. Czerepińska pisze, że wodomcza, i owszem, były, ale że obecnie ich już nie ma. Z różnych względów podobno zanikły. Czyżby? Postanowiłem to sprawdzić. Znowu przez kilka dni błądziliśmy z Ewą po dołach pomiędzy kazimierskimi górami.

Podszedłszy ścieżką ze Szkolnej na Góry, wtedy zaczynającą się koło domu Zamańskich, przekraczając wąwóz, napotkaliśmy betonowy mostek. Pod spodem był kompletnie zapchany ziemią. W dole,

Wąwóz Wieżowy. fot. Anna Ewa Soria

pod mostkiem, połyskiwała w ciemnościach wilgoć wąwoziku niższego, w którym coś błotniście ciekło. Wobec zakorkowania przepustu pod mostkiem ten ciek pod nim musiał sam wywiercić sobie dziurę w ziemi i w ten sposób przeniknąć w dolną partię wąwozu. Musiał więc mieć siłę, ale gdzie było źródło, początkowego uparcie drążącego sobie spływ cieku? Idziemy z Ewą od mostku w górę. W górę wstążki wilgoci. I tu niespodzianka! Zaraz za zakorkowanym mostkiem stąpam w autentyczne bagno, które zaczyna mnie wsysać. A więc w wąwozie prowadzącym na Góry, położonym wysoko nad miastem, znajduje się autentyczne mokradło! Gimnastykuję się nie lada, żeby wydrzeć się temu oczeretowi. Wreszcie wyrywam się! Mocno łapię zbawczą kępę olbrzymich pokrzyw porastających zbocze nad mokradłem. Przemoczony, z fontannami tryskającymi z butów, z poparzonymi pokrzywami rękoma i twarzą, jestem szczęśliwy, że uszedłem z życiem!

Idziemy z Ewą wąwozem dalej, jeszcze wyżej, szukając wylotu wąwozu, zapewne suchszego niż to, po czym stąpamy. Jest wreszcie! To miejsce zupełnie suche, a więc z pewnością położone nad źródłem rozciągających się poniżej roztopów. Od wylotu wąwozu, szukając uporczywie źródła cofamy się, znowu wracając w strefę wilgoci, ale w inną niż poprzednia odnogę wąwozu. Wreszcie docieramy do miejsca, z którego wyraźnie z ziemi wysącza się wilgoć. Coś jakby pełzające źródełko. Misa pełna błota. Przez całą wędrówkę towarzyszyły nam porozrzucane na zboczach i na dnie wąwozu śmiecie. Tutaj jest ich bez liku. Z wgłębionego miejsca sączącego wilgocią wystają płachty grubego plastiku, opony, dziurawe miski, gary i garnki. Próbuję wyszarpać z tego śmietniska przeklętą plastikową folię. Udaje mi się to za którymś razem. Ewa wydaje wymuszony, smutny okrzyk zwycięstwa.

Czy w dyrekcji Kazimierskiego Parku Krajobrazowego wiedzą o tym, co widzimy? Czy to ich w ogóle obchodzi? Czy wchodzi to w zakres ich kompetencji i zainteresowań? Po wielu latach od opisywanej tu naszej eksploracji Tadeusz Michalak zaprojektował i nadzorował odbudowę willi Zamańskich. Przy tej okazji, zajął się uregulowaniem spływającego okresowo z Gór w pobliżu willi cieku wpadającego tu do koryta Grodarza. To właśnie jego bieg i źródło tropiliśmy z Ewą.

Po dokonaniu odkrycia zaprzeczającego tezie Czerepińskiej o całkowitym zaginięciu w Kazimierzu wodomczy, schodziliśmy do miasta z Gór inaczej niż tu weszliśmy. Kierujemy się ku Wiśle i biegnącej wzdłuż niej szosie do Puław. Wąwóz prowadzący nas w tym kierunku jest bardzo mało, w porównaniu z poprzednimi, zaśmiecony. Na jego końcu, tuż przy szosie, rurą wystająca z betonowej cembrowiny wartko tryska struga czystej, zimnej wody. Oto mamy nasze drugie tego dnia źródło, obfitsze chyba nawet niż źródło Grodarza.

Wiedziałem o nim od dawna, ale nie do końca go lokalizowałem. Usiłując to zrobić jak najdokładniej, wracamy wąwozem w górę, ale

Wąwóz na Ścibiora Skowieszynek. fot Kazimierski Portal Internetowy

jest suchy jak pieprz. Zawracamy i napotykamy jakiegoś mężczyznę. Pytamy go, czy nie wie skąd, z jakiego źródła tryska woda z rury. Bez słowa prowadzi nas do swego ogrodu, w którym stoi jego letni domek i samochód z lubelską rejestracją. Pokazuje swoją studnię ujętą w betonowe kręgi, zakrytą betonową pokrywą. Mówi, że kręgów jest mało – sześć. I od tej studni biegnie pod ziemią rura, z której tryska krystalicznie prawie czysta woda, przejściem pod szosą wpadająca do Wisły. Co za bogacz z tego faceta!

Ze zbocza wzgórza wznoszącego się w Plebance, naprzeciwko Czyżewiczów zawsze coś ciekło. Także w mojej pamięci. I oto, przechadzając się teraz Plebanką widzę w tym miejscu glinę i piach jak dawniej wilgotne, a nawet płytkie kałuże. Drapię się kilka kroków ścieżką w górę w kierunku, z którego cieknie i owszem – jest! W maleńkiej niecce, chyba pogłębionej szpadlem, stoi ciemna, szara, z pozoru brudna woda. Brud jest pozorny, bo to przecież atrybut człowieka. Dla wody przesączanie się przez ziemię, próchnicę, opadłe listowie – to proces filtrowania, po którym woda nabiera innej jakości.

Trzeba dbać o każdą kroplę wody

Prawdopodobnie w okolicach Kazimierza do dziś, wbrew zdaniu J. Czerepińskiej, może być więcej niż „namierzone" przeze mnie i Ewę wodomczy. Zadziwia, że w ewidencji przyrodniczych wartości nie są one traktowane odrębnie, nie tylko jako oryginalne lokalne zjawisko, ale jako element szerszego ekosystemu. Piszę „prawdopodobnie", bo od lat dziewięćdziesiątych, w których poszukiwałem źródeł wodomczy, dużo się zmieniło w stosunkach wodnych nie tylko okolic Kazimierza, ale i – na skutek tzw. zmian klimatycznych – na świecie. Grodarz wysechł tak jakby na stałe, wody ubywa na lądach. Coraz mocniej uświadamiamy sobie, że trzeba dbać o każdą jej kroplę. Stąd w polskich miastach narastające zainteresowanie tzw. małą retencją – odkopywanie starych, zasypanych w trakcie ofensywy urbanizacji – stawów, jeziorek, oczek wodnych. Obserwuję to na Ursynowie w Warszawie. W 2019 r. Rada Miejska Bydgoszczy podjęła uchwałę, że wszystkie nowo budowane w Bydgoszczy budynki wysokie muszą mieć nie tylko podziemne garaże, ale i podziemne zbiorniki retencyjne. Odtwarza się też w Bydgoszczy stary układ hydrologiczny.

Na tym tle wodomczami interesować się opłaca. Słowo „wodomcze" zupełnie wypadło z obiegu współczesnej polszczyzny, ale warto wiedzieć, że kiedyś u nas należało do bardzo licznej rodziny pojęć bliskoznacznie związanych z wodą. Stara Polska była krainą nie tylko puszcz, borów i lasów, ale też bagien, mokradeł oraz moczarów – naturalnych magazynów wody. W wydanym w 1814 r. „Słowniku języka polskiego" Bogusława Samuela Lindego „wodomcze" się pojawia. Ujęte jest w haśle „woda" w części tego hasła, „wodospław" Linde nie definiuje tego pojęcia, ale cytuje potoczne zwroty językowe, w których słowa „wodomcze" kiedyś się używało. Podobnie podchodzi do tego słowa bardzo specjalistyczny „Słownik historyczno – geograficzny ziem polskich w średniowieczu", nad którym polscy historycy i geografowie zainicjowali prace w 1958 r. Pierwszy zwrot językowy zawierający słowo „wodomcze" autorzy tego słownika znaleźli w pochodzącym z Małopolski dokumencie spisanym w 1576 r. Nie siląc się na definicyjną precyzję, można by określić „wodomcze" (wodomcza) jako nikłe, niezbyt obfite w wodę cieki powstające naturalnie lub poprowadzone przez człowieka w celu odprowadzenia wody ze zbyt wilgotnego miejsca. Wodomcza więc istnieją nie tylko w przyrodzie, ale i w naszej historii. Warto to wiedzieć.

Parchatka Zimny Dół.
fot. Anna Ewa Soria

Ewa Siemińska

W INNYM ŚWIETLE

Z Kazimierzem związanych jest wielu zawodowych fotografów i wiele zawodów potrzebuje tu fotografii na co dzień, ja jednak chciałabym popatrzeć na fotografię jako dziedzinę wolną, służącą wyrażaniu siebie.

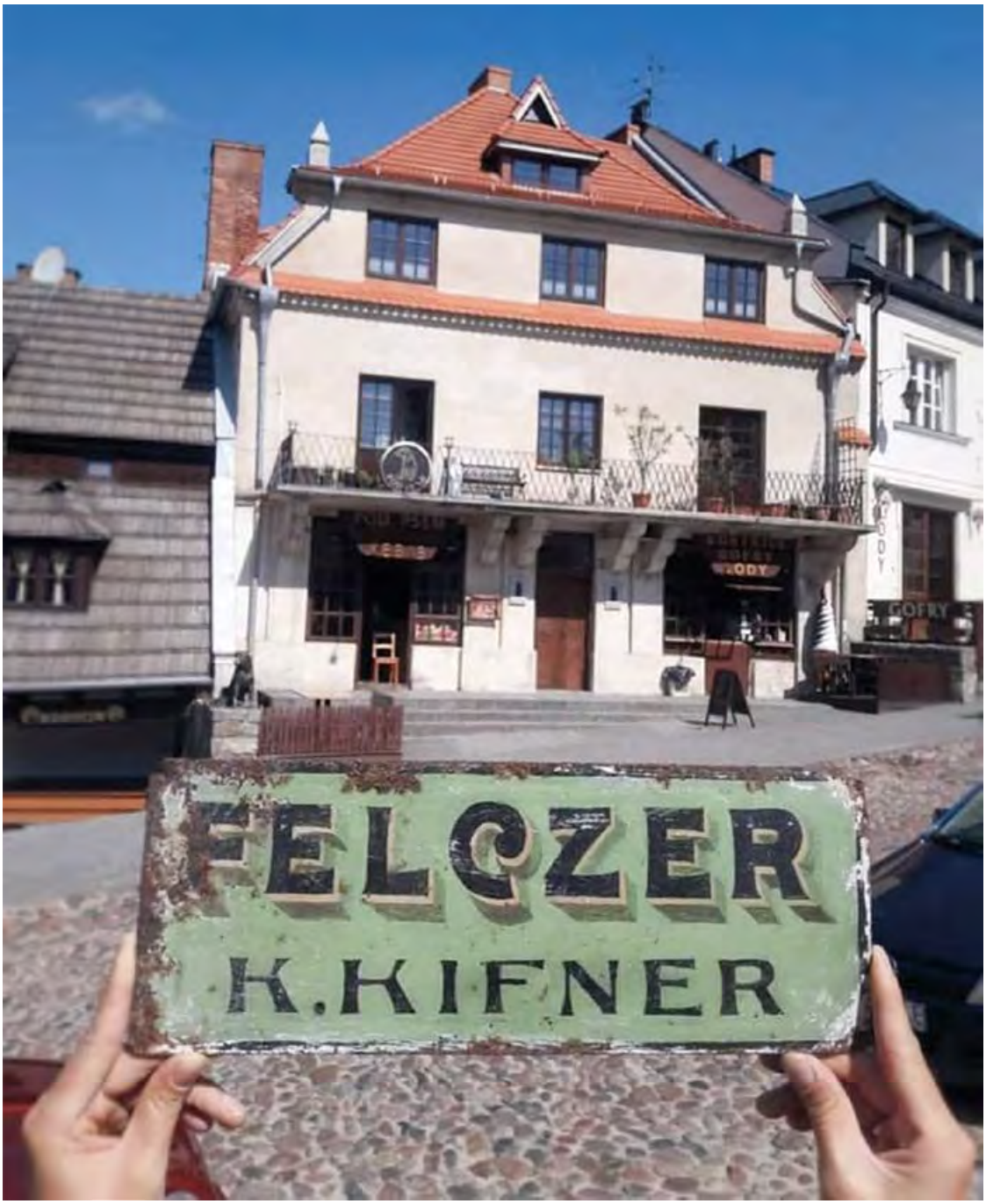

Różne promocje i usługi. Ja wybieram zdjęcie Sylwestra Doraczyńskiego: „Dom Kifnera", ponieważ wraz z informacją dotyczącą kazimierskiej postaci jest bardzo czytelne i jednocześnie interesujące, piękna robota!

Zdjęcie Agaty Dunin-Kozickiej wybieram, bo oddaje to, czym dla mnie Kazimierz się wyróżnia spośród innych miejsc na świecie. Tytuł: „Dusza Kazimierza".

W ostatnich czasach moje kontakty z miasteczkiem są ograniczone. Kiedyś (począwszy od marca '68 roku, kiedy zajęcia na uczelniach zostały zawieszone, i później – w latach 70.), kiedy przyjeżdżałam tu prosto po pracy w piątek, a wyjeżdżałam PKS-em w poniedziałek o 6.10 rano, Kazimierz był moim najmilszym miejscem do życia i w dalszym ciągu jestem „Kazimierzanką po mężu i po dzieciach". I tak Kazimierz jest stale dla mnie ważny, a Fotografia zawsze była istotna dla mnie nie jako sentymentalna pamiątka, a z racji moich działań zawodowych. Działania plastyczne nie mogły istnieć bez fotografii, która tak urosła, że fotografowie i krytycy sztuki wieścili koniec malarstwa: „Fu, malarstwo brzydkie, zbędne, mamy rozwój i nowe media". Teraz, kiedy wybrałam malarstwo, fotografia jest też dla mnie ważna. Fotografowane przez nowych miłośników Kazimierza znane mi miejsca i odwieczne kazimierskie tematy mogą zdziwić: że coś znanego – tak inaczej może się przedstawiać, w innym ujęciu, przy użyciu innych narzędzi i – to samo, w innym

Autorem trzeciego wybranego przeze mnie zdjęcia jest „Siwy Dym": „Kazimierz Stan Umysłu", podoba mi się takie przetworzenie obrazu rynku, które go nie deformuje i daje odczucie harmonii.

świetle… ale czy na pewno dokładnie to samo? To, co widzę gołym okiem, inaczej wygląda sfotografowane, a gdy to, co zapisała fotografia, zainspiruje malarza, co zdarza się często, to jeszcze inaczej. Ale fotografia również dokumentuje swoje czasy, pozwalając rozpoznać właściwe danemu czasowi możliwości techniczne. Różnicę między fotografiami powstałymi w ostatnim okresie i wcześniejszymi wyraźnie widać – i nie tylko po tym, że jak na środku rynku wyleguje się gromada psów pamiętanych z imienia do dzisiaj – to lata 80., a jak szpilki nie można wcisnąć, bo tyle ludzi – to czas po transformacji. Niezwykle ciekawe jest odczytywanie zdjęć Kazimierza przez takich specjalistów od jego historii i jej obrazów. Ale fotografia jest też dla początkujących miłośników Kazimierza, dla niezliczonych, młodych duchem ludzi, którym pozwala zabrać ze sobą kawałek miasteczka, na dużą niekiedy odległość, bo przyjazdy z wielu powodów są nie tak częste, jak by się chciało (aktualnie to pandemia uniemożliwia przyjazd). Ja wybrałam kilka zdjęć umieszczonych na stronach grup społecznościowych miłośników Kazimierza, ze względu na ich przekonującą formę i siłę wyrazu. Zdjęć Kazimierza jest dużo, dużo i jeszcze więcej. Działają profesjonaliści: szkoła Maxa Skrzeczkowskiego. Ale chyba jeszcze brakuje konkursu… To ja zacznę: spośród morza kazimierskich zdjęć z mediów społecznościowych ostatniego roku – te wyróżniam.

Zdjęcie Roberta Sołtana
„Wstajemy na nogi czy stoimy na głowie”,
dające otuchę podczas pandemii 2020.
Moment, kiedy nie ma tłumów
i dziecko zagospodarowało rynek
i kamienice Przybyłów.

Józef Rafał Kwiatek

WSPOMNIENIA KAZIMIERSKIEGO NAUCZYCIELA

Nazywam się Józef Rafał Kwiatek. Przedstawię Państwu fragmenty mojego życiorysu, w dużej części związanego z Kazimierzem Dolnym.

Józef Rafał Kwiatek, 1913 – 1995

Urodziłem się 9 lutego 1913 r. w Kazimierzu Dolnym. Rodzice moi to Wojciech Kwiatek, syn Piotra i Heleny z Lisickich, szlacheckiej rodziny, której nadano tytuł i ziemie za zasługi wojenne .Ojciec urodzony 14 kwietnia 1887 r, w Kazimierzu Dolnym, a mama w 1884 r. w Janowcu nad Wisłą. Mama zmarła 15 sierpnia 1944 r. mając 60 lat. Ojciec żył lat 89 i zmarł 27 listopada 1976 r.

Ojciec mamy, Szymon był na studiach medycznych w Krakowie i jako student nielegalnie dostał się na Węgry. Po powrocie studiować już nie mógł. Od ojca otrzymał ziemię, którą wydzierżawił, a sam osiedlił się w Janowcu nad Wisłą. Zajmował się ziołolecznictwem i wodolecznictwem, poza tym pisał podania i udzielał porad w różnych sprawach mieszkańcom Janowca. Ożenił się w wieku pięćdziesięciu kilku lat. Miał trzy córki, najstarsza Helena wyszła za mojego ojca do Kazimierza, druga Florentyna wyszła za Franciszka Karczennego w Janowcu. Trzecia Aleksandra wyjechała do Prus i tam zmarła.

Dziadek mój, Szymon miał jeszcze dwie córki nieślubne, Blicharską i Jaroszyńską, które wywianował dając im po kawałku ziemi.

Przypuszczalnie w latach 1914 – 1915. Rosjanie robili umocnienia w Janowcu, To było powodem przesiedlenia ludności tego terenu do Rosji. Kto co mógł zabrać, pieszo czy furmankami ciągnął przez Puławy, Żyrzyn na wschód.

Moje dziecięce i młodzieńcze lata

Jak sięgam pamięcią wychowywałem się na Górach w Kazimierzu w mym rodzinnym domu. Mama prowadziła gospodarstwo rolne z mym dziadkiem, Piotrem. Pamiętam ich dwoje. Ojciec służył w wojsku rosyjskim, był na wojnie i walczył przeciw Austriakom. Koło Konopnicy był ranny w nogę. Leczono go w szpitalu w Moskwie. Po odbyciu leczenia, jakaś bogata rodzina rosyjska wzięła do siebie kilku rannych żołnierzy na rekonwalescencję, jednym z nich był mój ojciec. W tym czasie matka moja wybrała się do Moskwy w odwiedziny do ojca. Przyjęta została przez gospodarzy i kolegów ojca bardzo życzliwie i przy odjeździe obdarowana została wieloma podarkami.

Ojciec opowiadał, że służył na terenie Rosji w takich miastach jak Moskwa, Petersburg, Perm i inne. Powrotu ojca nie pamiętam, wiem, że po powrocie gospodarowali we troje.

Gdy rodzice moi szli w odwiedziny do przyjaciół, pozostawał ze mną dziadek Piotr i przy lampie naftowej siedzieliśmy koło ciepłego pieca. Wokół było cicho tylko od czasu do czasu zagrał wiatr w kominie. Nasłuchiwałem czy nie słychać kroków za oknem, otwierających się drzwi i powrotu rodziców. Wyczekując i nasłuchując czas mi się dłużył.

W miarę upływu czasu powiększyło się moje rodzeństwo. W 1919 r. urodził się Stefan, a w 1921 r. Leokadia. Brat ukończył szkołę budowlaną w Krzemieńcu, siostra pozostała przy rodzicach na gospodarce. W czasie okupacji wyszła za mąż za Władysława Borowskiego, a brat ożenił się z Marianną Szymczyk. Troje dzieci od roku do dwóch lat zmarło na dyfteryt. Była to Marysia, Wiesia i Bolesław.

Po skończeniu siedmiu lat poszedłem do szkoły. W Kazimierzu nie było szkoły, w której mogłyby się uczyć wszystkie dzieci. Klasy były porozrzucane po mieście w prywatnych domach. Klasa pierwsza, do której chodziłem, mieściła się na Dołach, obecnie jest to dom p. Łaguny.

W 1927 r. została zawarta umowa między dziewiętnastoma mieszkańcami Kazimierza, wśród nich był mój ojciec, na podstawie której powstała Szkoła Średnia Koedukacyjna Ogólnokształcąca. Szkoła mieściła się w Kamienicy pod Krzysztofem, obecnie mieści się tam Bank Spółdzielczy. W tym czasie zostałem przyjęty do klasy pierwszej. Szkoła utrzymywała się z opłat, jakie wnosili rodzice. Czesne było dość wysokie jak na owe czasy i wynosiło 40 zł miesięcznie, a w państwowych 110 zł na okres roku, jeśli pamiętam.

Po ukończeniu trzech klas szkoła została rozwiązana ze względu na trudne warunki finansowe. Część uczniów przeniosła się do gimnazjum im. A. Czartoryskiego w Puławach. Ja zostałem przyjęty do klasy czwartej. W ówczesnych czasach szkoła średnia była szkołą ośmioletnią. Do klasy pierwszej przyjmowano po czwartej klasie szkoły powszechnej, a maturę zdawało się w klasie ósmej.

W tym czasie w naszym domu spędzał urlop z rodziną pewien oficer. Namówił mnie, abym wstąpił do Korpusu Kadetów Nr 3 w Rawiczu. W tym czasie kadetami byli dwaj Kuniccy w Chełmnie nad Wisłą i Skrzeczkowski w Rawiczu, wszyscy z Kazimierza. Poddana myśl spodobała mi się i po zdaniu egzaminu zostałem przyjęty. Maturę zdawało się po pięciu latach, po ukończeniu kompanii piątej. Zamiast mówić klasa I, II, III, IV i V mówiło się kompania od I do V. Kadeci byli skoszarowani. Po ukończeniu nauki w Korpusie Kadetów można było wstąpić do jednej ze szkół podchorążych lub wyższych uczelni cywilnych.

W pierwszej i drugiej kompanii wszyscy słuchacze byli zwolnieni z wszelkich opłat, umundurowanie i wyżywienie było bezpłatne, jak również przejazdy na urlopy i z powrotem. Na czwartym roku nauki z opłat byli zwolnieni jedynie synowie inwalidów, legionistów, powstańców i oficerów. Inni musieli płacić po 100 zł miesięcznie. Dla rodziców moich była to kwota wysoka. Po trzech latach nauki musiałem wrócić do domu.

W nowym roku szkolnym zostałem przyjęty do klasy siódmej gimnazjum A. Czartoryskiego w Puławach. Warunki nauki miałem bardzo trudne. Na stancję uczniowską pieniędzy rodzice nie mieli. Dostałem stary rower, mocno zdezelowany z dziurami w oponach i dętkach. Najgorzej było jesienią i zimą. Należało codziennie bardzo rano wstać, mama przygotowała śniadanie i jeszcze po ciemku wychodziłem, by zejść na ulicę Puławską, bo tam u znajomych zostawiałem rower, by nie ciągnąć go na Góry, gdzie mieszkałem. W jesieni i zimą dzień krótki, należało więc wyjść po ciemku, by zdążyć na ósmą w szkole i wracałem również po ciemku.

Było znośnie, gdy nie padał deszcz, a w zimie nie wiało śniegiem. Bywało i tak, że pada, a powietrze z dętki ucieka. Doszedłem do takiej wprawy, że natychmiast odwracałem rower, częściowo wyciągałem gumę i przyklejałem łatkę. Często przyjeżdżałem do szkoły przemoczony i zmęczony, na lekcjach trudno było myśleć.

Na dużych przerwach matki z Komitetu Rodzicielskiego przygotowywały młodzieży drugie śniadanie. Śniadania były płatne.

Koledzy z Puław, czy mieszkający na stancjach byli w sytuacji bez porównania lepszej.

W zimie droga z Puław do Kazimierza była o tyle lepsza, że była gładka i ubita przez sanie i lżej było rowerem jechać. Gorzej było, gdy padał śnieg i wiał wiatr, wówczas powstawały w poprzek drogi zaspy, które należało sforsować jadąc lub idąc. Jak już wspomniałem, jesienią i zimą wracałem ze szkoły po ciemku. Byłem zmęczony i głodny. Po krótkim odpoczynku odrabiałem lekcje, często dość długo, oczywiście przy lampie naftowej. Z tego oświetlenia korzystała i reszta rodziny. Na drugi dzień wszystko od nowa i tak przez sześć dni w tygodniu. Po niedzieli ks. Adamczewski pytał, jaką to ewangelię czytano w kościele na mszy w Kazimierzu.

Po roku wiedziałem, że następnego roku w takich warunkach nie wytrzymam. Na przyszły rok przeniosłem się do Lublina i mieszkałem na stancji u znajomych z Kazimierza, p. Walerego Ekierta na Kalinowszczyźnie. Zostałem przyjęty do gimnazjum. Było to Gimnazjum Koedukacyjne Federacji Polskiego Związku Obrońców Ojczyzny w Lublinie. Dyrektorem był M. Borysławski – imienia nie pamiętam. Mieściło się przy ulicy Królewskiej 6. Był to mój ostatni rok nauki w szkole średniej.

Ślub z Heleną z Dudzińskich w kazimierskiej farze w 1942. Ślubu udziela ksiądz kanonik Hipolit Boratyński.

3 czerwca 1935 r. przed Państwową Komisją Egzaminacyjną powołaną przez Kuratorium Okręgu Szkolnego Lubelskiego w Lublinie, zdałem egzamin dojrzałości dla eksternów typu matematyczno – przyrodniczego. Zdawałem ze wszystkich przedmiotów, począwszy od religii, z języka polskiego, z francuskiego, z historii wraz nauką o Polsce współczesnej, z przyrodoznawstwa, z fizyki wraz z chemią, z matematyki, z propedeutyki filozofii i z rysunku. Egzamin ustny odbył się jednego dnia bez przerwy z poszczególnych przedmiotów.

Okres do 1939 r.

20 września 1935 r. zostałem powołany do wojska. Służbę odbywałem w Łucku na Wołyniu, w Szkole Podchorążych Rezerwy 27 Dywizji Piechoty. 1 czerwca 1936 r., po złożonych egzaminach otrzymałem stopień podchorążego rezerwy. W wojsku służył ze mną kolega z Nałęczowa, Wacław Łatkowski. Bliżej końca służby zastanawialiśmy się, co będziemy robić po wojsku. Postanowiliśmy zostać nauczycielami. Na wiosnę 1936 r. wzięliśmy urlopy i pojechaliśmy do Lublina na egzamin do Państwowego Pedagogium im. Ewarysta Estkowskiego. Egzamin złożyliśmy z wynikiem pomyślnym i zostaliśmy przyjęci. Pod koniec służby wiosną, pomaszerowaliśmy na obóz ćwiczeniowy do Maniewicz. Tam odbywały się ćwiczenia i egzaminy praktyczne. Po roku nauki, w 1937 r. zostałem powołany na sześciotygodniowe ćwiczenia wojskowe, po których wyszedłem w stopniu sierżanta podchorążego. Jak się wówczas dowiedziałem, wysłano do Warszawy wniosek na mój pierwszy stopień oficerski. Pedagogium z kolegą Łatkowskim ukończyliśmy 1938 r. i w tym roku kolega został powołany na drugie ćwiczenia, a ja nie. Został zatrzymany w wojsku i brał udział w wojnie. Gdzieś poległ. Ja miałem kartę mobilizacyjną z niebieskim pasem z zaznaczeniem, że mam się stawić na specjalne wezwanie, którego nigdy nie otrzymałem i bezpośredniego udziału w wojnie nie brałem.

W 1938 r. złożyłem podanie do Kuratorium w Lublinie o zatrudnienie, choć wiedziałem, że nie będzie to łatwe, gdyż wielu nauczycieli nie miało wtedy pracy. Ale miałem szczęście. We wrześniu 1938 r. dostałem wezwanie do Inspektoratu Szkolnego w Tomaszowie Lubelskim. Przyjął mnie inspektor Jan Mangold, wręczył mi nominację i skierowanie do miejscowości Żabcze w gminie Poturzyn. Żabcze to średniej wielkości wioska, położona między niewielkimi wzniesieniami. Płynął jakiś strumyk i wokół niego były łąki. Wieś zamieszkana była przez Rusinów – tak ich nazywano. Myślę, że to byli Ukraińcy. Na terenie wyżej położonym był majątek ziemski rozparcelowany. Właścicielami działek byli Polacy, tworzyli Kolonię Żabcze. Na wsi była również cerkiew, którą rozebrano. Drzewem z cerkwi ogrzewano szkołę.

Cztery kilometry od Żabcza była gmina Poturzyn. W miejscowości tej była szkoła III stopnia (pełna siedmioklasowa), poczta, apteka i cerkiew. Do kościoła chodziliśmy do innej miejscowości. 22 kilometry od Żabcza nad Bugiem było miasteczko Sokal.

Między Rusinami i Polakami zdarzały się różne nieprzyjemne incydenty. Młodzież idąca z Kolonii do szkoły we wsi była zaczepiana

przez młodzież ruską. W szkole na wsi mieszkał kierownik szkoły Franciszek Mazurkiewicz. Druga izba szkolna była na kolonii w budynku podworskim, w którym ja mieszkałem. Właścicielem tego budynku, a więc moim gospodarzem był p. Dębiak – imienia nie pamiętam. Kierownik szkoły mieszkał z rodziną. Otrzymał działkę ziemi i prowadził małe gospodarstwo. Obiady jadłem u kierownika płacąc 1 zł za obiad. Śniadania i kolacje przyrządzałem sam. Szkoła miała dwie izby. Młodzież chodziła do tej szkoły siedem lat. Były cztery klasy, np. do klasy czwartej młodzież chodziła trzy lata, były programy A, B i C – każdego roku inny. W ciągu siedmiu lat nauki młodzież przerobiła cały program szkoły powszechnej.

Zgłosiłem się do Inspektoratu po skierowanie. W rozmowie z inspektorem usłyszałem między innymi: „wierzymy koledze". Nie bardzo zdawałem sobie sprawę o co chodzi. Na miejscu zorientowałem się, że będę pracował wśród mniejszości narodowej, która akurat na tym terenie stanowiła większość. Nie miałem żadnego przygotowania w tym kierunku i nie zdawałem sobie sprawy, że tak może być, że całe wsie zamieszkałe są przez Ukraińców czy Białorusinów. Dopiero na miejscu wtajemniczał mnie w te sprawy kierownik szkoły, p. Mazurkiewicz. Ani kierownik ani ja nie odczuliśmy jakichś przykrości ze strony mieszkańców. Przeciwnie, przychodzili do mnie, rozmawiali, radzili się, prosili o pisanie podań.

Jak już wspominałem, między Polakami a Ukraińcami były pewne zadrażnienia. Sami ze sobą Ukraińcy żyli nie zawsze w zgodzie. Dość często zdarzały się podpalenia. Obserwowało się zwiększoną aktywność polityczną przywódców. Spodziewali się napaści Niemiec na Polskę i dużo sobie z tego powodu obiecywali.

Nudziło mi się tam bardzo, a szczególnie w niedziele. Do domu pojechać od czasu do czasu nie mogłem, bo daleko i zła komunikacja. Postanowiliśmy z kolegami, którzy byli w podobnej sytuacji, kupić rowery. Kolega Polański ze szkoły w Poturzynie i kolega Barański, nauczyciel w Wólce Poturzyńskiej oraz ja zamówiliśmy w wytwórni w Radomiu na raty rowery firmy Łucznik. Długo nie czekaliśmy. Dostaliśmy zawiadomienie, aby zgłosić się do Tuczap na stację wąskotorówki – 17 km od Poturzyna. Od tej pory czas się nie dłużył. Często odwiedzaliśmy się.

Ferie Bożego Narodzenia spędziłem w Równem u koleżanki ze studiów. Powróciłem przez Lwów. Na feriach letnich byłem u rodziców w Kazimierzu.

Napięcie między Niemcami a Polską rosło, wojna wisiała w powietrzu.

Okres od września 1939 r. do lipca 1944 r.

Nie pamiętam którego dnia we wrześniu 1939 roku, usłyszałem przez radio komunikat podany przez Niemców: „straż niemiecka pełni wartę honorową przy trumnie marszałka Piłsudskiego na Wawelu". Była to wiadomość wstrząsająca.

Uczniowie liceum Czartoryskiego na przystani „Vistula" w Kazimierzu 1933.(od lewej)Fajersztajn, Szarzyński, Iberszer, Markola(?), Kwiatek, Szmaus

Wezwania do wojska nie otrzymałem i kilka dni na początku września byłem w domu. Pojawiały się komunikaty, aby mężczyźni sprzed frontu niemieckiego przemieszczali się na wschód. Była nadzieja, że Niemcy zostaną zatrzymani w najgorszym przypadku na Wiśle.

Pewnego dnia przyjechał do mnie z Janowca n/Wisłą kuzyn Wacław Kwiatkowski i jego znajomy. Przyjechali z zamiarem oddalania się od Wisły w kierunku wschodnim. Ponieważ rok szkolny rozpoczął się, miałem więc powód wyjazdu z Kazimierza, by udać się do szkoły w powiecie tomaszowskim. Pomyślałem, że Tomaszów Lubelski jest dość oddalony od Wisły i że może front powstanie na Wiśle, więc będę mógł pracować do czasu, kiedy zostanę zmobilizowany.

Wyjechaliśmy rowerami w kierunku Lublina. Miasto było bombardowane, na Al. Racławickich widzieliśmy powywracane topole, rozbite pojazdy i nieżywe konie. Gdzieś pod Hrubieszowem moi towarzysze wędrówki wrócili. Ja z Hrubieszowa udałem się do Poturzyna, a następnie do Żabcza. W gminie wypłacono nam trzymiesięczne pobory. Podczas pierwszej nocy słychać było wybuchy pocisków artyleryjskich w odległości kilkudziesięciu kilometrów. Widziało się niewielki ruch ludności w kierunku wschodnim. W ciągu następnej doby wybuchy słychać było lepiej, a ruch ludności wzmagał się. Na trzeci dzień kierownik zdecydował, że rodzina z dobytkiem pozostanie, a my rowerami przez Sokal nad Bugiem i Lwów pojedziemy do Tarnopola do jego rodziny. Tam przeczekamy.

Dojechaliśmy do Sokala i chcieliśmy przekroczyć most. Wojsko nie pozwoliło, zatrzymywali ludność cywilną. Próbowaliśmy w różny sposób, ale bez rezultatu. Wróciliśmy więc do domu. Na następny dzień ruch ludności zwiększył się. Zaproponowałem wyjazd do Równego przez Włodzimierz i Łuck. W Równem miałem koleżankę, Zoję Marczuk, z którą studiowałem w pedagogium w Lublinie. Ponieważ byłem jej sympatią z wzajemnością, spodziewałem się, że udzieli nam gościny.

Wybraliśmy się w kierunku Włodzimierza. Problemów z przekroczeniem Bugu nie mieliśmy. Za Włodzimierzem w jednej z wiosek zatrzymaliśmy się, by zanocować. Na przemieszczających się ludzi na wschód czyhały różne niebezpieczeństwa. Poprosiliśmy jednego z mieszkańców tej wsi o przenocowanie w jego zagrodzie. Odszedł, by się porozumieć z członkami rodziny. Dwóch synów i żona stali na uboczu. Rozmawiali w języku ukraińskim. Kierownik znał ten język i choć odległość była znaczna, usłyszał, że względem nas mają złe zamiary. Gospodarz powrócił z miną zadowoloną i zezwolił nam przespać się w komórce, w której było trochę słomy i jakieś stare graty.

Wprowadziliśmy nasze rowery i zmęczeni długą podróżą ułożyliśmy się na słomie. Kierownik usnął, ja czuwałem. Może po godzinie usłyszałem, jak ktoś ostrożnie podszedł do naszej komórki i zatknął skobel, abyśmy nie mogli otworzyć i odjechać. Zbudziłem kierownika i powiedziałem, że jesteśmy zamknięci. Wstaliśmy, było bardzo ciemno. Ogarnął nas strach. Pomyśleliśmy, jak się wyzwolić.

Nad Wisłą, 1937. J. Kwiatek, H. Dudzińska, Z. Doraczyńska, B. Piądłowski

Poruszaliśmy lekko drzwiami, zatyczka wysunęła się ze skobla i wypadła na ziemię, na nasze szczęście była za cienka. Drzwi zostały otwarte. Cicho wynieśliśmy się z „gościnnego domu" i odjechaliśmy. Do świtu nie zatrzymywaliśmy się. Odpoczywając w lasku zastanawialiśmy się, co chcieli z nami zrobić. Może bylibyśmy obrabowani, może pozbawieni środka lokomocji, a może by nas obrabowali i odebrali życie? Trudno na to odpowiedzieć. Można się tylko domyślać.

Po dłuższym odpoczynku, jechaliśmy w kierunku Łucka. Całe masy ludzkie podążały w tym kierunku. Byli to ludzie starzy, młodzi i dzieci, byli mężczyźni i były kobiety. Niektórzy nieśli swój dobytek na rękach, inni na rowerach, a jeszcze inni wieźli na wózkach dziecięcych lub innych. Często spotykaliśmy unieruchomione samochody z powodu braku paliwa. Byli i tacy, którzy chcieli zamienić samochód na rower. Korowodowi ludzkiemu towarzyszyły samoloty niemieckie, które obniżając lot strzelały do ludzi z karabinów maszynowych. Kiedy pojawiały się samoloty, kto żyw krył się w przydrożnych rowach. Nie wszystkim udało się w ten sposób ocalić. Byli zabici i ranni. Takie ataki towarzyszyły nam daleko za Łuck. Nieprzyjacielowi chodziło o sianie paniki i dezorganizację życia. Dojeżdżając do Łucka widziałem rozbity samolot. W mieście były niewielkie zniszczenia.

Na drodze z Łucka do Równego było mniej nalotów i podróż była mniej męcząca. Wjechaliśmy do miasta i udaliśmy się na ul. Mickiewicza do domu pod numerem 25, gdzie mieszkała Zoja Marczuk ze swoimi rodzicami. W domu tym byłem już dwa razy, raz na Boże Narodzenie, a drugi raz dwa tygodnie w czasie ferii letnich. Ojciec Zoi pracował w banku, a matka prowadziła dom. W domu tym mieszkała jeszcze siostra Zoi, Ola z mężem Sieriożą i dzieckiem. Ojciec Zoi i szwagier mieli średniej wielkości pensje, ale mogli na dobrym poziomie utrzymać dom. Szwagier był inżynierem budowlanym. Kobiety nie musiały pracować. Dom stał w niewielkim ogrodzie, w którym były drzewka owocowe i piękne kwiaty. Gdy zjawiliśmy się przed domem, Zoja poznała mnie. Nastąpiło serdeczne powitanie. Zapytała, czy moi rodzice też przyjechali, sądziła, że kierownik to mój ojciec. Dali nam mieszkanie i wyżywienie.

Nie mieliśmy co robić, chodziliśmy po mieście i obserwowaliśmy, co się dzieje. W Równem było bardzo dużo uciekinierów. Mówiono, że było około sześciu tysięcy kolejarzy, bardzo dużo wojska polskiego bez broni, dużo policji granatowej, straży więziennej, straży granicznej i dużo cywilów niezorganizowanych. Wszyscy chodzili bezładnie i oczekiwali nie wiadomo na co.

Równe, niewielkie miasto, nie było przygotowane do przyjęcia i wyżywienia tylu ludzi. Wykupowano ze sklepów żywność i inne artykuły. Powstały targowiska, gdzie można było wszystko kupić. Nie wiedziałem, jak długo tu będę, a zbliża się zima. Miałem trzymiesięczne pobory, kupiłem płaszcz gabardynowy, kożuszek biały i półbuty.

Bezład w mieście trwał do historycznej daty 17 września 1939 r. Nie pamiętam, o której godzinie, ale było to przed południem, byliśmy świadkami wkraczania armii sowieckiej do Równego. Jechało bardzo dużo czołgów. W każdej wieżyczce czołgu stał żołnierz z wyciągniętą ręką i dłonią złożoną w kułak. Na czołgach siedziała wszelka „sfołocz" międzynarodowa, Żydzi, Ukraińcy i Polacy. Wznosili okrzyki precz z burżujami, precz z sanacją.

Ze względu na przesunięcie czasu o dwie godziny wcześniej, pracę w urzędach i różnych przedsiębiorstwach rozpoczynano dosłownie po ciemku nad ranem. W mieście zainstalowano dużo głośników, z których od świtu do nocy płynęła krzykliwa muzyka i propaganda. Wszystko to stwarzało ponury i przygnębiający nastrój. Na budynkach głównej ulicy pojawiło się mnóstwo napisów propagandowych oraz wiele olbrzymich ilustracji przedstawiających na polach maszyny rolnicze, a także ilustracje zohydzające kapitalistów.

Wkroczenie wojsk sowieckich do Polski i takie zachowywanie się upewniało mnie, że nie ma mowy o zatrzymaniu wojsk hitlerowskich.

Parę dni po wkroczeniu wojsk sowieckich, stali mieszkańcy Równego, jak i uciekinierzy byli zdezorientowani. Nikt nie wiedział, o co chodzi, myślano, że obce wojska weszły w porozumienie z naszym naczelnym wodzem Rydzem - Śmigłym, by walczyć przeciwko armii hitlerowskiej.

Wkrótce sprawa wyjaśniła się. Funkcjonariuszy policji, straży więziennej i straży granicznej zamknięto w więzieniu, przedtem wypuszczono złodziei, bandytów i innych przestępców. Najwięcej było wojska, wszyscy zostali internowani. Urzędy państwowe zostały obsadzone przez swoich ludzi – szczególnie stanowiska kierownicze.

Sympatia z Równego, Zoja Marczuk, 1937

Polscy kolejarze zastępowani byli przez kolejarzy przybyłych z wojskiem sowieckim.

Po zorganizowaniu administracji rozpoczęło się nowe życie. Budowano drogi kołowe. Jedną z takich dróg, była droga z Równego do Żytomierza. Siłą roboczą i darmową na budowach byli niewolnicy – polscy żołnierze. Będąc na dworcu kolejowym w Równem, widziałem jak polscy żołnierze rozładowywali wagony z kamieniem potrzebnym do budowy dróg. Spotkałem tam dwóch żołnierzy z Kazimierza. Był to Edward Łaszanowski i Edward Głowacki. Gdy tworzono armię polską z ZSRR, obaj dostali się do armii gen. Andersa. Przebyli całą drogę z Generałem, między innymi walczyli pod Monte Cassino i dotarli do Anglii. Edward Łaszanowski powrócił do Polski. Edward Głowacki pozostał w Anglii i tam zmarł.

Szwagier Zoi, inż. Sierioża pracował przy budowie drogi. Pewnego razu gościł u siebie naczelnego inżyniera budowy, poznał mnie z nim i ten zaproponował mi pracę w biurze. Zastanawiałem się co zrobić, z jednej strony chciałem zarobić na siebie, a z drugiej nie wiedziałem, czy dam radę, bo zasadniczo nie znałem języka rosyjskiego, dużo rozumiałem, ale nie umiałem mówić. Moje obawy sprawdziły się. Praca moja polegała na przyjmowaniu telefonów i przeprowadzaniu rozmów. Pracowałem jeden tydzień i za pracę podziękowałem.

Po dwóch tygodniach mój kierownik, p. Mazurkiewicz postanowił wrócić do domu, martwił się, co się dzieje z rodziną. Domyślał się najgorszego. Bał się podróży, nadchodziły różne wiadomości o tym, jak to Ukraińcy napadają na Polaków, choć to były sporadyczne wypadki, strach było jechać rowerem w pojedynkę. Należało przekroczyć Bug. Po drugiej stronie rzeki byli już Niemcy. Ponieważ granica nie była jeszcze bardzo szczelna, postanowił pojechać. Powiedział – znam język ukraiński, może się uda. Na drogę został zaprowiantowany, pożegnał się i odjechał.

Czas spędzałem różnie, chodziłem z Zoją po zakupy do sklepów lub na targ. Trochę czytałem, słuchaliśmy wiadomości radiowych, siedzieliśmy w ogrodzie lub chodziliśmy po mieście obserwując wydarzenia. Zoja lubiła mnie i chętnie przebywała ze mną. Wyczułem, że mama jej nie ufa mnie i córce. Gdy dłużej siedzieliśmy w ogrodzie, zawsze miała jakąś sprawę i wzywała córkę.

W październiku nowa władza przeprowadziła spis ludności w mieście. W ten sposób wyławiali tzw. bieżeńców. Chcieli mieć różne dane o każdym z obcych, np. czy służył w wojsku, stopień wojskowy, zawód, gdzie pracował, pochodzenie społeczne, dlaczego tu przyjechał i inne.

Gdy już się trochę unormowało, rozpoczął się ruch ludności. Śmiali i odważni przekraczali zieloną granicę, jechali na tereny zajęte przez Niemców, a szczególnie do Warszawy. Przeważnie jeździli w celach handlowych. W Warszawie kupowano galanterię damską, kosmetyki i inne artykuły, które łatwo można było przewieźć przez zieloną granicę. Każdy kurs udany przynosił niezłe zyski.

W połowie listopada 1939 r. postanowiłem dostać się do Warszawy, a następnie do domu w Kazimierzu, wykorzystując przetarty szlak przez handlarzy. Kilkakrotnie chodziłem na dworzec kolejowy w Równem, by porozmawiać z wyjeżdżającymi i dowiedzieć się, jak przebiega podróż, co wożą i czego można się spodziewać po drodze.

Pierwsza komunia w Kazimierzu 1953, Anna Kwiatek, pierwszy rząd stojący, czwarta z lewej. W środku ks. wikary Gołkiewicz.

Przewidywałem, że skoro władze sowieckie robią szczegółowe spisy bieżeńców, to pewnego dnia mogą zabrać wszystkich i umieścić w obozach czy wywieźć. Przewidywania moje przyspieszyły wyjazd. Umówiliśmy się, że pojadę, zorientuję się jak jest po drugiej stronie granicy i wrócę. Postanowiłem odjechać ostatniego listopada. Dostałem niewielkie zamówienie na zakupy w Warszawie. Szwagier Zoi dał mi list i prosił o doręczenie go jego bratu farmaceucie w Warszawie.

Przygotowałem się do podróży, dostałem żywność, nałożyłem na siebie kożuch a na niego płaszcz. Listopad był dość ciepły i deszczowy, było mi bardzo ciepło w tym stroju i ruchy miałem skrępowane. Nadszedł czas pożegnania. Wszyscy wyszli przed dom, pożegnałem się z nimi, a Zoja, czego by nigdy przy matce nie zrobiła, rzuciła mi się na szyję, jakby wyczuwała, że nie wrócę, choć miałem wrócić.

Na dworcu stał już pociąg, a w wagonach było dość dużo ludzi. Znalazłem miejsce siedzące. Wagony nie były ogrzewane, mimo to, było mi ciepło. Podróż trwała kilkanaście godzin, prawdopodobnie jechaliśmy przez Brześć nad Bugiem. Za Brześciem jechaliśmy w kierunku zachodnim. Dojechaliśmy do stacji kolejowej, której nazwy nie znam. Powiedziano nam, że pociąg dalej nie jedzie, bo około 30 km jest do granicy. Początkowo szliśmy bardzo długo torami. Kiedy było widać daleko bardzo nikłe światła, cały orszak skierował się na pola. Ci, co już odbywali taką podróż niejednokrotnie mówili, że te światła to posterunki graniczne sowieckie. Należało kierować się w luki między posterunkami.

Noc z 30 listopada na 1 grudnia była bardzo ciemna i cały czas padał drobny deszcz. Śniegu na polach nie było, szliśmy więc po pooranej wilgotnej ziemi. Należało się spieszyć, by przed świtem przejść granicę. Było mi bardzo ciepło, czułem się zmęczony. Szczęśliwie przekroczyliśmy granicę i w oddali zaobserwowaliśmy światła stacji kolejowej, była to Małkinia. Do stacji zbliżaliśmy się torami. Na spotkanie nam wyszli Niemcy. Oświetlili nas, zatrzymali i zapytali: „dokąd państwo jadą? Do Warszawy" – brzmiała odpowiedź. Ja w grupie byłem blisko stacji, udało mi się niepostrzeżenie oddzielić od grupy i wejść do budynku stacyjnego. Po pewnym czasie reszta weszła na stację. Opowiadali, że wszystkich ustawili w szereg, oświetlali twarze i szukali Żydów. Parę osób wyprowadzili w pole i słychać było strzały. Poza tym rewidowali, zabierali nieukryte pieniądze i cenniejsze przedmioty. Rano przyjechał pociąg złożony z pięciu wagonów. Zaczęło się zdobywanie miejsc w wagonach. Nie było mowy o siedzeniu, przestępowało się z nogi na nogę. Na sobie miałem mokry płaszcz, w ścisku wysechł i był strasznie pomięty.

Przed południem 1 grudnia dojechaliśmy do Warszawy. Znalazłem aptekę, oddałem list i udałem się na Dworzec Wschodni. Niewiele czekałem na pociąg do Lublina. Pasażerów było bardzo dużo, wchodzili drzwiami i oknami. Niemcy wymuszali porządek przy pomocy pałek. Dojechałem do Puław, a do Kazimierza wozem konnym. Komunikacji samochodowej jeszcze długo nie było. Zjawiłem się w domu. Przybycie moje było zaskoczeniem i radością dla rodziców. Ludzie w Kazimierzu mówili, że nie żyję. Ktoś dobrze poinformowany o tym wie.

Gdy byłem jeszcze gimnazjalistą, przyjaźniłem się z Haliną Dudzińską, kazimierzanką, była moją sympatią. Po przyjeździe odwiedziłem Halinkę. Była również zdziwiona, że jestem, opowiadano jej, że zginąłem na Wołyniu.

Lata okupacji od 1940 r.

Mieszkałem z rodzicami i pomagałem w prowadzeniu niewielkiego gospodarstwa rolnego (3,5 ha). Wiosną 1940 r. kolega Romuald Skopal zaproponował mi wstąpienie do tajnej organizacji wojskowej Związku Walki Zbrojnej (ZWZ). Zgodziłem się, i w kwietniu 1940 r. zostałem zaprzysiężony. A oto treść przysięgi: „W obliczu Boga Wszechmogącego i Najświętszej Marii Panny, Królowej Korony Polskiej, kładę swe ręce na ten Święty Krzyż, znak Męki i Zbawienia i przysięgam być wiernym Ojczyźnie mej Rzeczypospolitej Polskiej, stać nieugięcie na straży Jej honoru i o wyzwolenie Jej z niewoli walczyć ze wszystkich sił, aż do ofiary mego życia. Prezydentowi Rzeczypospolitej Polskiej i rozkazom Naczelnego Wodza oraz wyznaczonemu przezeń Dowódcy Armii Krajowej, będę bezwzględnie posłuszny, a tajemnicy niezłomnie dochowam, cokolwiek by mnie spotkać miało".

Przyjmujący przysięgę mówił: „Przyjmuję cię w szeregi Armii Polskiej walczącej z wrogiem w konspiracji o wyzwolenie Ojczyzny. Twym obowiązkiem będzie walczyć z bronią w ręku. Zwycięstwo będzie twoją nagrodą. Zdrada karana będzie śmiercią".

Tak, od 1 kwietnia 1940 r. stałem się żołnierzem Związku Walki Zbrojnej, a następnie Armii Krajowej. Przyjąłem pseudonim „Wisła".

Na ulicy w Lublinie 1937 rok.W. Łatkowski, Żukówna, J. Kwiatek

W Kazimierzu Niemcy wprowadzili nowy ład. Stworzyli komendanturę i wyszukiwali ludzi, którzy będą im dostarczać danych o mieszkańcach Kazimierza. Szpicle znaleźli się i już w lipcu 1940 r. zaczęły się aresztowania. Pamiętam, że w czerwcu tegoż roku pracowałem na polu przy pielęgnacji tytoniu. Przyszedł do mnie ojciec i powiedział – przyszła do nas Julia Piskorkowa z wiadomością, że są na Górach Niemcy i pytają, gdzie mieszka Rafał Kwiatek. Jak się dowiedziałem, Niemcy również pytali p. Kowalską, żonę Mariana Kowalskiego, a J. Piskorkowa słyszała i dała ojcu znać. Niemcy poszli w innym kierunku wskazanym przez p. Kowalską, której zawdzięczam to, że mogłem się zastanowić, jak postąpić, by nie wpaść w ich ręce. Powiedziałem ojcu, że gdy będą pytać o mnie, to należy im powiedzieć, że pojechałem do Warszawy.

Niedługo trzeba było czekać. Ja w międzyczasie ukryłem się w wąwozie. Gdy dowiedzieli się, że pojechałem do Warszawy, nakazali ojcu, aby mi powiedział po powrocie, abym się do nich zgłosił w komendanturze. Nieświadom tego, co mogą chcieć ode mnie, pomyślałem, że może lepiej zgłosić się i będę miał spokój.

Jeszcze tego dnia dowiedziałem się, że w Kazimierzu aresztowano i wywieziono kilka osób. Wśród nich byli również moi koledzy: Czesław Iberszer i Stanisław Tyszkiewicz. Wacław Szmaus skrył się przed aresztowaniem. Aresztowano w tym dniu wiele innych osób, których nazwisk nie pamiętam.

Kilka dni po aresztowaniach nie chodziłem do miasta. Postanowiłem na jakiś czas wyjechać do Janowca i zamieszkać w Karczemnych, u rodziny mojej mamy. Przebywałem tam około miesiąca. Co niedzielę przyjeżdżałem do Kazimierza przewożąc się do Męćmierza. W umówionych miejscach spotykałem się z Halinką, przyszłą moją żoną. W czasie spacerów przemierzaliśmy las i chodziliśmy wśród falujących zbóż. Wieczorem wracałem do Janowca, a Halinka do domu. Czas szybko mijał.

Po około miesiącu wróciłem do Kazimierza. Do miasta chodziłem tylko wieczorem, miałem nadzieję, że mnie nikt nie zauważy.

Na terenie Kazimierza Niemcy wykonywali różne prace. Wykonawcami – siłą roboczą byli mieszkańcy Kazimierza. Do wywożenia ziemi lub innych ciężkich materiałów używali podwód konnych. Podwody kolejno były wyznaczane przez sołtysów. Pewnego razu na podwodzie był Stanisław Grzybowski, gospodarz z Gór, mój sąsiad. Pracy przyglądał się komendant z komendantury w Kazimierzu. Gdy dowiedział się, że gospodarz jest z Gór, zapytał o mnie. Czy widuje mnie. Grzybowski odpowiedział, że Kwiatka nie widuje i nie wie, czy jest w domu. Wówczas komendant powiedział mu: „Jo wim, że jest, powidz mu niech się nie pokazuje". Myślę, że człowiek ten był ślązakiem, a może poznaniakiem.

Czas płynął, mieszkałem u rodziców, ale myślałem, że znowu mogą przyjść po mnie, więc na przemian trochę byłem w Kazimierzu,

Na kocu przed domem:Helena i Józef Kwiatkowie, córeczka Ania i synek Wojtuś.

a trochę w Janowcu. Będąc w domu nie nocowałem w mieszkaniu pomimo zimy. W stodole odchyliłem deskę tak, żeby można się wślizgnąć. W słomie zrobiłem posłanie i na noc wchodziłem tam, czułem się bardziej bezpieczny. Nie pomyślałem, że gdyby przyszli z psem, poprowadziłby ich prosto do mnie.

Początkowo działalność moja w organizacji była niewielka, należało organizować zakonspirowane trójki. Musieli to być ludzie pewni. Każdy żołnierz miał swój pseudonim, którym się posługiwał, znał tylko kolegów z trójki. Trójki wchodziły w skład drużyn, a drużyny tworzyły plutony. Na terenie Kazimierza zorganizowana była Placówka oznaczona numerem. Placówka podlegała Rejonowi Nr 9.

W Kazimierzu młodzież w wieku szkolnym chodziła do szkoły powszechnej. Programy szkolne były bardzo okrojone, a niektórych przedmiotów wcale nie uczono. Mieszkałem na Górach, z dala od miasta. Zgłosiło się do mnie kilkoro uczniów prosząc, aby przerabiać z nimi materiał szkoły powszechnej, a szczególnie przedmiotów zakazanych. Nauka odbywała się w różnych domach po paru uczniów. Należało zachować szczególną ostrożność. Uczyłem j. polskiego, matematyki, historii i geografii. Poziom nauczania j. polskiego i matematyki był bardzo niski z wiadomych powodów, a historii i geografii nie wolno było uczyć. Uczyłem od pierwszego kwietnia 1940 r. do 25 stycznia 1943 r., w tym okresie przewinęło się czternaścioro uczniów. Niektóre nazwiska pamiętam: Zofia Górecka, obecnie Majewska – nauczycielka, Zofia Górecka, obecnie Wasiłek, rodzeństwo Piądłowscy, Hanna Pielak, obecnie Doraczyńska, Chrzanowska i kilkoro innych wysiedlonych. Listy uczniów nie prowadziłem, nazwiska ich po tylu latach zatarły się w pamięci. W Kazimierzu, jak mi wiadomo, nikt tajnego nauczania nie prowadził. Nie wiedziałem wówczas, że istnieje zorganizowane tajne nauczanie.

Komisja Weryfikacyjna przy Inspektoracie Szkolnym w Puławach, na podstawie zeznań świadków, zaliczyła mi czas pracy w niezorganizowanym tajnym nauczaniu w Kazimierzu Dolnym w wymiarze pojedynczym 2 lata 9 miesięcy i 25 dni, okres przymusowej bezczynności w połowie, czyli 1 rok i 18 dni. Łącznie zaliczono mi 3 lata 10 miesięcy i 13 dni. Praca w tajnym nauczaniu została doceniona i zaliczona.

Uchwałą Plenum Zarządu Głównego ZNP z 23.09.76 r. zostałem odznaczony Złotą odznaką ZNP. Za zasługi dla oświaty, 20 czerwca 1980 r. otrzymałem Medal Komisji Edukacji Narodowej nadany przez Ministerstwo Oświaty i Wychowania. Uchwałą Zarządu Głównego ZNP z 29.06.1987 r. zostałem wyróżniony Odznaką ZNP za Tajne Nauczanie.

Powierzane mi zadania przez Komendanta Placówki ZWZ w Kazimierzu wypełniałem równolegle do tajnego nauczania.

W 1941 r. w pełni lata, wieczór, moja rodzina i parę osób z sąsiedztwa siedziało w domu gawędząc o różnych sprawach. Na oknach były zasłony. Naraz usłyszeliśmy tupot kilku osób. Natychmiast poszedłem do drugiego ciemnego pokoju, otworzyłem okno, wyskoczyłem i pobiegłem do ogrodu. Położyłem się w bezpiecznej odległości od domu i słuchałem. Leżałem tak około godziny. Gdy już poszli i psy dawały znać, że już są daleko, podszedł do mnie ojciec i powiedział, że chyba mogę wracać. Dowiedziałem się, że byli to Niemcy

Zdjęcie rodzinne, lat 50. Józef Kwiatek z Wojtusiem. Obok żona Helena i jej siostra Justyna. Niżej stoi Krzysztof Doraczyński, jego siostra Joasia, pies Morus, Hania Kwiatek, Heniek Doraczyński.

z policją granatową. Każdego z domowników legitymowali. W końcu zapytali ojca, gdzie jest syn Rafał. Ojciec powiedział, że w Warszawie. Inne pytania to: czym się zajmuje, gdzie mieszka i jaki jego adres. Ojciec odpowiedział, że chyba handluje i czasami przyjeżdża. Od tego czasu musiałem bardziej uważać na siebie. Nie mogłem już nocować w gospodarstwie ojca.

Nie pamiętam daty, chyba to był rok 1942, przyszedł do mnie kolega Zdzisław Targosiński, i oznajmił mi, że zostałem awansowany do stopnia podporucznika. Dokumentu potwierdzającego nominacji nie otrzymałem. Niedługo po tym dostałem przydział do pracy w Komendzie Rejonu Nr 9. Komendantem Rejonu był wówczas por. Zygmunt Romanowski, zawodowy oficer szwoleżer, kawaler Krzyża Virtuti Militari. W Komendzie Rejonu pełniłem funkcję adiutanta Komendanta Rejonu.

Komenda miała kwaterę na Wylągach u Jana Markowskiego. Do dyspozycji mieliśmy pokój, w którym mieściła się kancelaria. Praca moja polegała między innymi na zapewnieniu bezpieczeństwa pracy i tego, czym Komenda dysponowała. Były różne instrukcje, pisma takie jak okólniki, odezwy, rozkazy, szyfry i inne. Były maszyny do pisania i radioodbiorniki. Do Rejonu przychodzili gońcy z pocztą i stąd wysyłani byli gońcy, również z pocztą i biuletynami informującymi o sytuacji na świecie. Słuchaliśmy radia i natychmiast pisaliśmy na maszynach, by najświeższe wiadomości wysłać w teren. Radioodbiorniki pochodziły ze zrzutów. Dużą pomocą w nasłuchu i pisaniu na maszynie była Zofia Jarząbkiewiczowa.

Przyjmowaliśmy zrzuty. Zrzutowisko z dala od posterunków niemieckich zawsze było gotowe. Że będzie zrzut poznawaliśmy po umówionej melodii nadawanej o pewnym czasie z Londynu. Wówczas organizowało się odpowiednią ilość uzbrojonych ludzi i konne podwody potrzebne do przywiezienia ładunku. Jeśli nadlatywał spodziewany samolot, oznakowano umownie przy pomocy świateł zrzutowisko. Po rozpoznaniu sygnału, lotnicy byli pewni, że ładunek dotrze do adresata. Teraz należało przesyłkę bezpiecznie przewieźć.

Otrzymaliśmy w ten sposób broń krótką i automatyczną, amunicję, leki i środki opatrunkowe, narzędzia chirurgiczne, odbiorniki radiowe, zegarki i wiele innych cennych rzeczy. Wszystko to należało rozdzielić i umieścić w schronach często wykopanych i zamaskowanych w pobliskich wąwozach.

Wokół domu Jana Markowskiego były wąwozy porośnięte krzewami i w pobliżu był las. Niedaleko domu, na zboczu wykopany był jeden ze schronów zabezpieczony przed opadami i zamaskowany. Po całodziennej pracy do schronu chowało się skrzynki z dokumentami, maszyny do pisania i wszystko to, co mogłoby zdemaskować naszą kwaterę.

Dom, w którym pracowaliśmy był na uboczu, jak wspomniałem, otoczony był wąwozami i lasem, mężczyźni z sąsiednich domów byli akowcami.

Dla większego bezpieczeństwa w 1943 r. zmieniliśmy kwaterę. Nowa kwatera, oddalona od poprzedniej, również otoczona była porośniętymi wąwozami. Urzędowaliśmy u p. Góreckiego, na tak

Zajęcia kółka fotograficznego: Andrzej Serafiński, Jerzy Madejski, Józef Kwiatek, Waldemar Adamczyk.

zwanej Kulawej Górze na Górach III. Gospodarze nasi, jak trzeba było, żywili nas i można było nocować, jak u Jana Markowskiego. Syn gospodarza, Marian Górecki był moją prawą ręką. Organizacja nasza rozwijała się, można powiedzieć, w cieniu gestapo, gdyż w 1941 r. sprowadzili się gestapowcy do Kazimierza i zamieszkali w klasztorze. Wysiedlili O.O. Franciszkanów i zajęli ich obszerne pomieszczenia. Siedlisko to odpowiadało im. Obwarowane było wysokim parkanem, na którym rozciągnęli kolczasty drut.

Pod klasztorem były podziemia, które przystosowali do więzienia i maltretowania Polaków i Żydów. Nie wiem ilu, ale jak należy przypuszczać, wymordowano wielu aresztowanych, część wywieziono do Lublina na Zamek. Dziedziniec klasztorny oraz uliczkę doprowadzającą do dziedzińca wyłożyli nagrobkowymi płytami z cmentarza żydowskiego. Służbę pomocniczą zorganizowali spośród żołnierzy radzieckich, tzw. własowców. Jeden z nich współpracował z naszą organizacją. Donosił nam i podawał to wszystko, co widział. Nie zdradził nas. Był z nami nawet wtedy, gdy zbliżał się sowiecki front. Może chciał sobie zaskarbić łaski w stosunku do władz sowieckich. Nic nie pomogło. NKWD aresztowało go i podobno został rozstrzelany.

Niezależnie od gestapo były i inne służby policyjne. W tym czasie w Kazimierzu było bardzo dużo wojska, które zakwaterowane było w specjalnie wybudowanych barakach na ogrodach przy Kwaskowej Górze, poczynając od młyna. W dzień, a czasami w nocy przeprowadzali ćwiczenia. Były to przygotowania do uderzenia na ZSRR. W parę dni przed terminem napaści, wojsko z Kazimierza wyjechało i 21 czerwca 1941 r. Związek Radziecki został zaatakowany przez armię hitlerowską.

Jak już wspominałem, od drugiej próby aresztowania mnie nie mogłem nocować u rodziców, często tam bywałem, ale nocowałem na Dołach u Antoniego Borowskiego, dość często u Jana Markowskiego na Wyłągach lub u Góreckiego na Górach III. Od czasu do czasu odwiedzałem w mieście swoją sympatię. Wychodziłem na kwaterę już po godzinie policyjnej, wracałem drogami, po których patrole niemieckie nie chodziły.

Pomimo trwającej wojny i związanych z tym wielu niebezpieczeństw, postanowiłem się ożenić. Nie myślałem o tym, jak będziemy żyć, zarobkowo nie pracowałem. Gdy poprosiłem o rękę swoją przyszłą żonę, była tym zaskoczona. Trzeźwo patrzyła na życie. Sugerowała, aby odłożyć mój zamysł na po wojnie.

Dała się jednak namówić i ustaliliśmy datę ślubu na Boże Narodzenie 26.12.1942 r. Ślub odbył się w kościele farnym, którego udzielił nam ks. kanonik Hipolit Boratyński. Uroczystość ślubna była dość skromna i bez rozgłosu. Bałem się, że hitlerowcy mogą

Na Lubelskiej: Józef Kwiatek z synem i żoną, Joasia Doraczyńska.

mnie wyciągnąć z kościoła. Na przyjęciu weselnym była najbliższa rodzina. Ze strony żony był ojciec, dwie siostry i szwagier. Z mojej strony był ojciec, siostra ze szwagrem, brat i ojciec chrzestny Stanisław Godziszewski. Żona moja należała do Stowarzyszenia Młodzieży Katolickiej. Uroczystość trwała do godziny policyjnej. Miałem wówczas 29 lat, a żona była młodsza o dwa lata. Przez pewien czas mieszkałem u żony, później odwiedzałem tylko żonę, bo było bardzo niebezpiecznie.

Wracając do 1940 r., postanowiłem nie jechać do Równego. Pomyślałem, że skoro władza radziecka „zaopiekowała się" policją, strażą więzienną, wojskiem polskim i innymi grupami „bieżeńców", dokonuje spisu mieszkańców z podkreśleniem ludzi przybyłych, to nie wróży nic dobrego. Napisałem list do Równego i przedstawiłem swój punkt widzenia, zaznaczyłem, że w takiej sytuacji nie przyjadę. Nie wiadomo kiedy zawierucha wojenna się skończy i w takiej sytuacji nie czekajmy na siebie. Po pewnym czasie otrzymałem od Zoi list. Pisze, że rozumie co mogłoby się stać, ale mimo to jest rozgoryczona i bardzo żałuje, że tak się złożyło. NKWD kilkakrotnie było w ich domu i pytało, gdzie się podział mieszkający w tym domu Kwiatek. Po wymianie listów, kontakt mój z Zoją Marczuk skończył się.

Była późna jesień 1943 r., nocowałem w domu żony przy ul. Nadrzecznej. Noce były długie i ciemne. Nad ranem usłyszałem pukanie do okna. Był to mój szwagier, Michał Doraczyński. Powiedział, że przyszła do nich jakaś kobieta, którą poprosił brat mój, Stefan, żeby poszła do naszego domu i ostrzegła mnie, bo Niemcy idą po mnie. Co to była za kobieta, do dziś nie wiem – szła wówczas na ranną mszę do kościoła. Natychmiast ubrałem się i wyszedłem z domu. Jak się później dowiedziałem, policjant granatowy, Piecyk, wiedząc, że ożeniłem się i nie mieszkam z rodzicami na Górach, poprowadził gestapowców właśnie tam. Obstawili dom i walili kolbami w drzwi. Ojciec otworzył drzwi, wtargnęli z krzykiem do domu i pytali kto jest kto, a następnie z krzykiem, gdzie jest twój syn Rafał. Ojciec uderzony odpowiedział, że ożenił się i tu nie mieszka. Widząc znajomego policjanta, bał się mówić nieprawdy, nie znał jego intencji. Gestapowcy krzyknęli, prowadź do syna, tam gdzie mieszka. Można wyobrazić sobie położenie ojca. Ojciec ubrał się i powoli ruszyli w drogę. Brat mój Stefan leżał w tym czasie w łóżku przykryty z głową, szczęśliwie nie zauważyli go. Po wyjściu gestapowców szybko się ubrał i na przełaj zdążał w kierunku naszego domu, by mnie ostrzec. Nie był pewny, czy dotrze do mnie przed

Józef Kwiatek na podwórku swojego domu.

Niemcami, dlatego poprosił napotkaną kobietę o ostrzeżenie mnie.

Po wyjściu z domu, ukryłem się u sąsiadów. Na drugi dzień żona opowiedziała mi, jak to było. Weszli do domu, kiedy jeszcze było szaro. Przeszukali wszystko. Żona zdenerwowała się. Jeden z nich zapytał się, gdzie jest mąż, żona odpowiedziała, że pojechał do Opola Lubelskiego. Nie uwierzył i zagroził, że jeśli nie powie, to zastrzelą ojca. Odpowiedź żony była taka sama. Opuścił rękę z wymierzonym do ojca pistoletem i zażądał mojej fotografii. Zauważył na ścianie nasze zdjęcie zrobione na ślubie przed ołtarzem. Zdjął, zbił szkło, a fotografię zabrał. Odchodząc powiedział, ojca zabierają, a męża znajdą.

Uwięzili ojca w podziemiach klasztoru, w celi, w której położyć się nie mógł, bo była za krótka, nie mógł wstać, bo była za niska. Siedział tam kilkanaście dni. Jeść nie mógł, nie wiedział, co mu podają – cela była ciemna. Żywił się tylko chlebem i jakimś niesłodzonym napojem. Pewnego dnia przyniósł ojcu jedzenie jeden z własowców. Zapytał ojca, za co siedzi. Ojciec płynnie i poprawnie odpowiedział mu po rosyjsku. Zdumiony, zapytał ojca: „skąd ty tak dobrze mówisz po rosyjsku?" ojciec odpowiedział, że służył w carskiej armii, między innymi w Moskwie i powiedział, w których koszarach. Rosjanin opowiadał ojcu, że kształcił się w szkole oficerskiej, która mieściła się w tych koszarach, w których ojciec odbywał służbę. Zaprzyjaźnili się i jak czas mu pozwalał, przychodził do ojca i wypytywał, jak to dawniej było w Rosji. Od tego czasu ojcu było lepiej – nie był głodny. Niemcy planowali wyprowadzić się z Kazimierza i nie chcieli zostawić za dużo sprzętu, kazali więc ojcu niektóre meble wynosić i rąbać. Kiedyś przyszedł do niego wspomniany żołnierz i powiedział, że prosił starszego Niemca, aby ojca wypuścili. Rzeczywiście, po paru dniach został zwolniony.

Nadszedł rok 1944. Wojska sowieckie przekroczyły Bug, doszły do Wisły, a wojska niemieckie w naszym rejonie, cofając się przekroczyły Wisłę. Z armią sowiecką szła cała machina nacisku, na czele z NKWD, która wprowadzała władzę administracyjną na sposób sowiecki. NKWD skupiła wokół siebie Polaków, delikatnie mówiąc, małowartościowych. Byli to lenie, często przestępcy i ludzie do brudnej roboty. NKWD dawało im władzę i różne obietnice. Tworzyli milicję obywatelską, dostawali broń i zadania do wykonania.

NKWD wraz z milicją postanowili oczyścić teren z akowców. Zaangażowali ludzi z naszego terenu, którzy znali członków i kadrę AK. Zaczęło się polowanie na ludzi. Większość piwnic na terenie Kazimierza i okolic zapełnili akowcami. Następnie, wywożono ich do Lublina na Zamek, Majdanek i gdzie się dało, po przeprowadzeniu badań połączonych często z torturami, dużą ilość wywieziono do ZSRR. Na terenie naszego rejonu aresztowali wielu akowców, przede wszystkim chodziło im o kadrę. Do ZSRR wywieźli byłego komendanta rejonu, por. Zygmunta Romanowskiego, ps. „Wola". Ostatnim komendantem był por. „Pryzma", nazwiska nie pamiętam (uchował się). Wywieziono również Romualda Skopala, Wacława Wermana, Zdzisława Góreckiego, Edmunda Całczyńskiego, Zdzisława Sorokę, Tadeusza Kobiałkę (nie wrócił) i innych.

Ze względu na rozbudowany front na Wiśle, mieszkańcy tych terenów byli wysiedleni. Ja z żoną i małym dzieckiem mieszkaliśmy w Kolonii Zaborze, a reszta rodziny w Rzeczycy. Na Górach I władze wojskowe pozwoliły ojcu na pozostanie w domu, zawdzięczał to dobrej znajomości języka rosyjskiego. Ojciec czuwał nad dobytkiem, w czasie ataków chował się do piwnicy.

Ja również byłem na liście akowców, których chcieli aresztować. Chodzili za mną wszędzie. Przychodzili do ojca na Góry i namawiali, żeby nakłonił mnie, abym się zgłosił, to zostanę komendantem milicji w Kazimierzu. Sprawdzali te domy, gdzie mógłbym się ukrywać. Dowiedzieli się, że mieszkam z rodziną na Kolonii Zaborskiej i tam zaczęli niepokoić żonę. Wpadali o różnych porach dnia, pod byle jakim pretekstem i pytali, gdzie jest mąż. Ja w tym czasie byłem w Lublinie i kilka dni mieszkałem z innymi kolegami u kolegi Henryka Pielaka. Pewnego dnia przyjechałem, żona oznajmiła mi, że przed chwilą byli. Nie czekając długo, poszedłem do sąsiada, by mnie ogolił. Golił mnie na podwórku, niespodziewanie zjawili się uzbrojeni żołnierze radzieccy. Postali z nami chwilę i zapytali, gdzie jest gospodarz, fryzjer wskazał im dom i tam poszli. Dobrze, że nie zapytali mnie o nazwisko. Szybko ulotniłem się i wszedłem między zboża, skąd obserwowałem dom, w którym mieszkała żona. O zmroku usłyszałem szczekanie psa, zaobserwowałem jakieś sylwetki, domyślałem się, że znów przyszli skontrolować dom. Po około pięciu minutach wyszli i zginęli w mroku. Pies przestał szczekać. Poczekałem jeszcze trochę i poszedłem do domu. Żona powiedziała, że znów byli. Postanowiłem wrócić do Lublina. Nocowałem w stodole między snopkami zboża. Nad ranem pożegnałem się z żoną i poszedłem pieszo do Wąwolnicy, a stamtąd kolejką wąskotorową do Nałęczowa, a następnie do Lublina. Pomyślałem sobie, że dobrze będzie, jeśli zgłoszę się do Inspektoratu Szkolnego w celu otrzymania pracy.

Był to lipiec 1944 r. Ze względu stojący na Wiśle front, nie było w Puławach żadnych instytucji. Inspektorat Szkolny był w Nałęczowie przy Al. Lipowej w willi Tolin. Zgłosiłem się tam, przedstawiłem dokument stwierdzający moje kwalifikacje pedagogiczne i powiedziałem, że chcę pracować. Inspektorem był p. Mucha (imienia nie pamiętam). Dowiedział się, że jestem z Kazimierza i zaproponował mi pracę w Kazimierzu, bo od września będzie tam organizował szkołę. Odpowiedziałem, że wolałbym gdzie indziej. Inspektor wyjął mapę, popatrzył i powiedział: Tam kolega pojedzie, wskazując Chruślinę, miejscowość odległą o 17 km od Opola Lubelskiego w kierunku Kraśnika i dodał: „tam was nikt nie znajdzie". Domyślał się, że chcę uciec przed NKWD.

Święte słowa wypowiedział inspektor. Pracowałem w tej szkole 3 lata, do 1947 r. Przez Chruślinę przemieszczały się wojska na front nad Wisłę i wracały tędy wojska zluzowane. Wałęsało się mnóstwo różnych zabijaków. Jedni sprzedawali różne rzeczy za bimber, a drudzy szli za nimi i odbierali.

Po otrzymaniu skierowania do pracy, zgłosiłem się do RKU – Lublin – Miasto, aby uregulować swój stosunek do wojska. Przedstawiłem tam skierowanie do pracy i zostałem wyreklamowany z tym, że raz w miesiącu musiałem się meldować.

Rodzina moja po wysiedleniu z Gór mieszkała na Dołach u Jana Kobiałki. Dostali pomieszczenie w suszarni, w której kiedyś suszono

tytoń. Mama od dawna chorowała i leżała w łóżku. 15 sierpnia 1944 r. w czasie obustronnej wymiany ognia między stronami walczącymi, mama zmarła. Wojska sowieckie przygotowywały się do przeprawy przez Wisłę i uderzyły całym frontem na wojska niemieckie za Wisłą.

Dzień przed śmiercią udało mi się odwiedzić mamę, serce biło, ale nie była przytomna, o pomocy lekarskiej nie można było marzyć. Kazimierz był pusty, ludzi nie było. Nad głowami przelatywały pociski z dział niemieckich. Od strony Kazimierza na drugą stronę Wisły strzelali z dział katiusz Sowieci. Ojciec z trudem otrzymał zezwolenie na pogrzeb. Moi tropiciele spodziewali się, że wezmę udział w pogrzebie. Pogrzeb odbył się przy udziale paru osób z rodziny, bez księdza, przy akompaniamencie świszczących pocisków artyleryjskich. Skromny orszak pogrzebowy przeszedł z Dołów przez miasto na cmentarz parafialny.

Po aresztowaniu członków organizacji z naszego rejonu, Sowieci zaczęli węszyć po terenie i szukać magazynów z bronią i innymi materiałami. Niestety, ktoś z naszych musiał wskazać im te miejsca. Zabrali broń, amunicję, lekarstwa, środki opatrunkowe, narzędzia chirurgiczne i inne dobra służące do wyposażenia Armii Krajowej. Było tego kilkanaście wozów konnych.

Gdy walki przeniosły się dalej za Wisłę, pozwolono wrócić mieszkańcom do zrujnowanych i ogołoconych domów. Nadszedł czas, abym zgłosił się do pracy. Brat mój, Stefan pojechał po żonę do Kol. Zaborze. W międzyczasie zmarła nam córeczka Wiesia na krwawą dezynterię, nie było lekarza ani lekarstw. Kiedy wracali do Kazimierza, trzykrotnie żołnierze radzieccy podjeżdżali na koniach do wracającej żony z bratem i kontrolowali, czy mnie tam nie ma. W ostatnie dni sierpnia 1944 r. przygotowano nam wóz. Na wozie naszykowano trochę jedzenia, pamiętam duży bochen chleba upieczony w domu. Przygotowano pościel, bieliznę, ubrania. Brat był furmanem. Ja dosiadłem się kilka kilometrów dalej. Jechaliśmy przez Opole Lubelskie, Wandalin do Chruśliny, oddalonej od Kazimierza około 40 km. Zgłosiłem się do kierownika szkoły, Władysława Góralskiego. Zdziwił się mocno, że inspektor przysyła nauczycieli do miejscowości przyfrontowej. Odległość Chruśliny od Wisły, a więc i frontu wynosi 10 km. Jak już wspominałem, przez tę miejscowość odbywał się obustronny ruch wojsk. Wracały oddziały zluzowane, ranni i kontuzjowani. Kręciło się wielu maruderów.

Przyjechaliśmy wieczorem, kierownik przyglądał się nam podejrzliwie, ale pozwolił nam nocować w stodole na słomie. Żona przygotowała miejsce do spania. Zjedliśmy cokolwiek i ułożyliśmy się do snu. Na drugi dzień brat odjechał do domu. Żona kierownika, Bogumiła wypytywała mnie skąd przyjechaliśmy, dawałem odpowiedzi wymijające, a nawet mówiłem nieprawdę. Bałem się, że gdyby UB sprawdzało przyjezdnych nie dowiedzieliby się, że przyjechałem z Kazimierza. Na pewno było to naiwne, ale wydawało mi się, że tak będzie dobrze. Trzy noce spaliśmy w stodole, a potem dostaliśmy pokój w ich domu. Z desek zbiłem tapczan, ułożyliśmy na nim siennik wypchany słomą i na tym spaliśmy. Dostaliśmy stół i krzesła. Nic więcej nie było nam potrzeba. Dobrze nam było. Niedługo dogadaliśmy się i wszystko się wydało. Okazało się, że kierownik i jego żona byli dobrymi patriotami. Przechowywali (ukrywali) u siebie swego kuzyna akowca, prześladowanego przez komunistów z Chruśliny. Akowcem tym był Julian Niewielski, który został ojcem chrzestnym naszej córki Ani, urodzonej w Chruślinie.

Władysław Góralski był świetnym nauczycielem, dobrym wychowawcą i organizatorem. Żona Bogumiła pochodziła z Nalewajków z Owczarni, wioski łączącej się z Chruśliną. Na Owczarni 1944 r. oddział akowców zdradziecko został wymordowany przez komunistów, pod dowództwem „Cienia".

Góralscy, poza pracą w szkole, prowadzili gospodarstwo rolne o powierzchni 11 ha. Mieli parę koni, krowy i sprzęt rolniczy. Na stałe mieli młodego człowieka, który opiekował się końmi i pracował na nich w polu (Wawrzyniec) i dziewczynę Stasię, pracującą w domu i w polu.

Mieli dwóch synów, którzy uczęszczali do liceum im. Zamojskiego w Lublinie. Mieszkali na stancji. W czasie żniw cała rodzina szła w pole.

Na początku września inspektor przysłał jeszcze dwoje nauczycieli. Było to małżeństwo Maria i Tadeusz Kobylińscy. Zamieszkali w małym budynku przy szkole, w tak zwanej stróżówce. Szkoła mieściła się w baraku, w którym było małe pomieszczenie na kancelarię i pokój nauczycielski oraz trzy izby lekcyjne. Była to szkoła siedmioklasowa. Uczyło pięciu nauczycieli.

Początkowo warunki finansowe były złe. Pobory wręcz symboliczne. Po wypłatę trzeba było iść do szkoły w Komaszycach, gm. Godów koło Chodla. Komunikacji nie było.

Po chleb trzeba było iść 10 kilometrów. Czasami udało się, korzystając z okazji, pojechać końmi do Józefowa n/Wisłą. Rolnicy piekli chleb u siebie. Jeśli chciało się u nich kupić, to mówili, że nie ma albo nie chcieli pieniędzy. Nie było przyjemne takie „kupowanie". Najczęściej robiło się zakupy raz w tygodniu w Józefowie.

Kiedy otwarto liceum ogólnokształcące w Opolu Lubelskim, przygotowywałem kilkoro uczniów z matematyki przed egzaminami wstępnymi. Za udzielanie lekcji otrzymywałem wynagrodzenie w postaci produktów żywnościowych. W komitecie rodzicielskim powstała myśl, aby ktoś z komitetu przejechał przez Chruślinę i Owczarnię i zebrał pszenicę dla nauczycieli. Nie było to przyjemne, ale stało się. Pojechali, zebrali i podzielili. Otrzymałem około 100 kg. Dostałem konia od kierownika i pojechałem sankami na Chruślanki do młyna. Przywiozłem mąkę. W międzyczasie powstał w Chruślinie sklep spółdzielczy wielobranżowy. Prowadziłem w nim książki rachunkowe. Otrzymywałem za to jakieś wynagrodzenie. W ten sposób warunki materialne po trochu poprawiały się. Pracy przybywało.

Na ferie letnie nie jechaliśmy do Kazimierza. Było tam niebezpiecznie, odbywały się przesłuchania i często aresztowania.

W 1945 r. pierwszego sierpnia urodziła nam się córka Ania. W promieniu kilkunastu kilometrów nie było lekarza. Nie było dróg utwardzonych. Były tak zwane gościńce z wertepami, jesienią dużo błota tak, że para koni z trudnością ciągnęła pusty wóz. Gdy żona czuła, że niedługo nastąpi poród, wybraliśmy się furmanką do Opola

do szpitala. Myśleliśmy, że poród nastąpi w drodze. Niedługo po dojechaniu urodziła się Ania. Ochrzczona została w Bobach przez proboszcza Marcina Ślusarza. Chrzestną matką została Justyna Dudzińska, siostra żony, a ojcem chrzestnym Julian Niewielski – akowiec. Oboje nie żyją. W 1947 r., 28 maja również w Opolu Lubelskim, urodził się nam syn Wojciech. W drugim roku pobytu w Chruślinie kupiłem sobie rower i czasami przyjeżdżałem do Kazimierza. Jak już wspominałem, musiałem meldować się co miesiąc w RKU w Lublinie. Przy ładnej pogodzie jechałem tam rowerem.

W Chruślinie pracowałem trzy lata, do 1947 r. W tym mniej więcej czasie została ogłoszona amnestia, uważałem, że mogę wrócić do Kazimierza. Za zgodą inspektora, służbowo zostałem przeniesiony do szkoły w Kazimierzu. Uczyłem w szkole podstawowej i w klasach niepełnej szkoły średniej matematyki i fizyki.

Twórcą – założycielem gimnazjum w Kazimierzu był ks. Józef Jachuła. Była to szkoła prywatna, utrzymywana z opłat uczniowskich. Opiekę nad szkołą sprawowały władze miejskie, natomiast opiekę pedagogiczną Kuratorium w Lublinie. Władze nieprzychylnie patrzyły na to, że dyrektorem szkoły jest ksiądz, więc nauczyciele i rodzice zwrócili się do Ignacego Dzierżyńskiego, aby to on zechciał być dyrektorem. Dzierżyński propozycję przyjął. Mieszkał w pobliżu Kazimierza na Wylągach, przed wojną był wizytatorem szkół średnich w ministerstwie oświaty. Dał się poznać jako człowiek solidny, prawy i tolerancyjny. Wspaniały pedagog, przyjaciel młodzieży. Był człowiekiem niewierzącym, ale zawsze brał udział w uroczystościach szkolnych i kościelnych. Po roku mej pracy w Kazimierzu, zaproponował mi przeniesienie do gimnazjum. Zgodziłem się. Dyrektor Dzierżyński mieszkał na Wylągach (5 km). Ze względu na podeszły wiek i dużą odległość, więcej przebywał w domu niż w szkole. W tej sytuacji prosił mnie, abym zastępował go w funkcji dyrektora. Raz w tygodniu jeździłem na Wylągi i informowałem o pracy szkoły. W Kuratorium sam załatwiał sprawy szkolne. Podczas kierowania szkołą przez Ignacego Dzierżyńskiego, Kuratorium zaczęło bardziej interesować się szkołą. Szkoła nasza miała nazwę: Prywatna Szkoła Ogólnokształcąca Stopnia Licealnego Miejskiej Rady Narodowej w Kazimierzu Dolnym.

Do roku 1949 szkoła utrzymywała się z opłat uczniowskich. Kuratorium, aby pomóc szkole, powołało mnie 21 lipca 1949 r. do pracy w Państwowej Szkole Ogólnokształcącej Stopnia Podstawowego i Licealnego im. A. Czartoryskiego w Puławach i skierowało mnie do pełnienia obowiązków nauczycielskich w Miejskim Koedukacyjnym Gimnazjum Ogólnokształcącym w Kazimierzu Dolnym od 1 stycznia 1949 r. do 31 sierpnia 1949 r. W następnym roku miałem etat w Państwowej Szkole Ogólnokształcącej Stopnia Licealnego w Opolu Lubelskim. Kurator Okręgu Szkolnego w Lublinie, Stanisław Kowalczyk udzielił mi płatnego urlopu dla pełnienia obowiązków

Widok domu od południa

nauczyciela w Szkole Ogólnokształcącej Stopnia Licealnego Miejskiej Rady Narodowej w Kazimierzu Dolnym od dn. 1. 09. 1949 r. do 31. 08. 1950 r. W ten sposób Kuratorium pomagało finansowo szkole, dając i opłacając jeden etat nauczycielski.

W roku 1950 szkoła nasza została upaństwowiona i otrzymała nazwę: Państwowa Szkoła Ogólnokształcąca Stopnia Licealnego. Oficjalnie zostałem przeniesiony z Opola do Kazimierza dekretem Kuratorium z dniem 1 lutego 1950 r.

Do nauczania w szkole podstawowej miałem dodatkowe kwalifikacje z zakresu matematyki. Jednak, by móc uczyć w liceum, musiałem studiować dalej. W 1950 r. Ministerstwo Oświaty zorganizowało w Toruniu półroczny kurs z różnych przedmiotów dla nauczycieli uczących w szkołach średnich. Na kierunku matematycznym miejsca były zajęte, zgodziłem się studiować fizykę. Kurs trwał od 15 września do 15 lutego 1951 r. Kończył się egzaminem w obecności delegata z Ministerstwa Oświaty. Świadectwo dawało czasowe uprawnienia do nauczania w szkołach stopnia licealnego. Trzeba było uczyć się dalej, by zdobyć dyplom dający prawo do nauczania w szkołach średnich stopnia licealnego.

Władze bezpieczeństwa nie zapomniały o mnie. Byłem wzywany do UB w Puławach. Pytano, gdzie mamy złożoną broń i dokumenty Komendy Rejonu. Byłem również wzywany na posterunek MO w Kazimierzu.

W roku szkolnym 1950/51 w Państwowej Szkole Ogólnokształcącej w Bełzie brakowało nauczyciela fizyki. Przedmiotu tego uczył ks. Piotr Chomicki – lwowiak. Władzom oświatowym było to nie na rękę. W lutym przyjechałem z Torunia. W Kazimierzu fizyki uczył kolega Władysław Bownik. Wydział Oświaty w Lublinie zaproponował mi, abym pojechał do Bełza. Nie bardzo miałem ochotę, ale po namowach zgodziłem się. Postanowiono mnie zatrudnić od 7 kwietnia do 30 czerwca 1951 r. Mieszkałem tam w domu prezesa miejscowej spółdzielni, p. Zachariasiewicza. Miejscowi nauczyciele obawiali się, że przyjedzie ktoś mocno partyjny, a tymczasem ja byłem bezpartyjny. Zespół nauczycielski był zgrany, byli to przeważnie lwowiacy, jak i większość mieszkańców Bełza. Przed wojną w Bełzie mieszkało bardzo dużo Żydów. Powstała znana piosenka: Miasteczko Bełz, kochany mój Bełz…, śpiewali ją Żydzi i nie tylko. W czasie wojny został trochę zniszczony. Tuż koło miasteczka przepływa rzeczka Sołokija, która była wówczas rzeką graniczną między Polską a ZSRR. Nad samą rzeką jest kościółek, z którego przeniesiono cudowny obraz Matki Boskiej do Częstochowy.

Opowiadano, że w czasie zimy, gdy rzeka jest zamarznięta, Rosjanie po lodzie przechodzili do kościoła na pasterkę. Tereny wokół Bełza jak okiem sięgnąć to równiny. Ziemia wspaniała, czarnoziemy. Dokoła miasta były dobrze prosperujące PGR – y. Niedaleko Bełza odkryto pokłady wysokokalorycznego węgla kamiennego.

Szybko zbliżała się wiosna. Przyjechał wizytator z Lublina i namawiał mnie, abym zgodził się pozostać w Bełzie. Odmówiłem stanowczo. Odjeżdżając powiedział, pomyślcie i przyzwyczajajcie się.

W tym roku młodzież składała pierwszą maturę. Dla ułagodzenia mnie, kuratorium wyznaczyło mnie przewodniczącym Państwowej Komisji Egzaminacyjnej. Otrzymałem również 300 zł nagrody. Wspomnę tylko, że ówczesna pensja wynosiła około 900 zł. Rozkład zajęć miałem tak ułożony, że poniedziałek był wolny, mogłem więc co drugi tydzień przyjechać do domu. Pewnego dnia dotarła do nas wiadomość, że rząd PRL w porozumieniu z rządem ZSRR dokonuje zmian granicy państwowej. Rząd PRL oddaje obszar części powiatu hrubieszowskiego z Bełzem i całą infrastrukturą, a otrzyma od ZSRR część Bieszczad z Ustrzykami.

Wszyscy mieszkańcy wraz z urzędami i szkołami zostali przeniesieni do Ustrzyk Dolnych. Byłem delegowany do tejże szkoły, więc nie podlegałem przeniesieniu. Wróciłem do Kazimierza i pracowałem w liceum. Po około dwóch latach, szkoła nasza zorganizowała wycieczkę w Bieszczady, byliśmy również w Ustrzykach Dolnych. Spotkałem tam wielu znajomych z Bełza. Spotkałem moją byłą gospodynię, p. Zachariasiewiczową, właśnie owdowiałą, która prowadziła kiosk z nabiałem. Syn pracował w jakimś urzędzie. Spotkałem p. Darachową, nauczycielkę języka polskiego oraz p. Dobrowolskiego, nauczyciela matematyki. Wszyscy nauczyciele z Bełza pracowali w liceum w Ustrzykach Dolnych. Budynek, jaki otrzymali był większy i bardziej nowoczesny, niż w Bełzie.

W rozmowach z nauczycielami i innymi napotkanymi ludźmi, przybyłymi z Bełza, dowiedziałem się, że wszyscy są przygnębieni i trudno im się przystosować do nowych warunków. Przesiedleni zostali z terenów równinnych i ziemi urodzajnej na tereny górzyste o ziemi ubogiej, mało urodzajnej. Od tego czasu minęło już czterdzieści lat.

Po ukończeniu pięciomiesięcznego kursu w Toruniu, zostałem przyjęty do Dwuletniego Studium Zaocznego przy Wyższej Szkole Pedagogicznej w Gdańsku na kierunek fizyki. Studia rozpoczęły się w 1951 r., a skończyły w lipcu 1953 r. egzaminem, który zdałem z wynikiem dobrym. Otrzymany dyplom uprawniał do nauki fizyki w szkołach średnich ogólnokształcących i zakładów kształcenia nauczycieli. Aby otrzymać tytuł magistra, należało jeszcze rok stacjonarnie studiować w WSP w Łodzi. Warunki domowe i materialne nie pozwalały mi na to. Mam więc wykształcenie wyższe zawodowe.

Ucząc, brałem udział w różnych kursach – konferencjach, konferencjach nauczycielskich pedagogicznych, organizowanych w różnych liceach w Lublinie i w Kraśniku.

Liceum kazimierskie w ciągu kilku lat mieściło się w tym samym budynku co szkoła podstawowa. Na parterze i pierwszym piętrze pomieszczenia zajmowane były przez szkołę podstawową. Na drugim piętrze, w czterech izbach mieściło się liceum. Korytarz przegrodzono i tam mieścił się pokój nauczycielski i kancelaria. Liceum składało się z jednego ciągu klas od pierwszej do czwartej. Uczyłem fizyki we wszystkich klasach, a matematyką dzieliliśmy się z kolegą Bownikiem, uczącym chemii. Gdy Bownikowie przenieśli się do Białej Podlaskiej, przez kilka lat we wszystkich klasach uczyłem fizyki i matematyki, było to dla mnie za dużo. Zwróciłem się do dyrektora szkoły Lucjana Dziwisińskiego, aby postarał się o nauczyciela matematyki. Nie pamiętam, w którym roku przyszedł matematyk, Stanisław Chmielewski.

Józef Kwiatek koło domu.

Z czasem pojawił się problem rozbudowy szkoły. Powstał komitet, na czele którego stał Tadeusz Ulanowski. Społeczeństwo opodatkowało się. Uzbierano trochę pieniędzy i rozpoczęto budowę drugiego skrzydła szkoły i części środkowej, spinającej skrzydła, w której miała być ulokowana administracja. Projektantem szkoły był inż. arch. Karol Siciński. Skrzydło dobudowane przeznaczone było na liceum. Liceum miało do dyspozycji siedem izb lekcyjnych i trzy pracownie: fizyczną, chemiczną i biologiczną. Aula i sala gimnastyczna były do dyspozycji liceum i szkoły podstawowej. Gdy przybyło izb lekcyjnych, powstał drugi ciąg klas.

O pomoce do nauki fizyki było trudno. Przed rozbudową szkoły, na korytarzu stały dwie szafy i tam gromadziłem pomoce. Na lekcje trzeba było je przynosić do klasy. Pomoce kupowałem w Lublinie w Cezasie. Ze sklepu na Starym Mieście musiałem przenosić paczki z zakupami na dworzec PKS na Podzamcze i tam martwić się, jak w tłoku wejść do samochodu. Po latach szkoła dostała samochód dostawczy. W nowej części szkoły pracownia fizyczna miała większe rozmiary, jak normalne klasy. Połączona była z dość obszernym zapleczem, w którym gromadziłem pomoce naukowe i przygotowywałem pokazy lub ćwiczenia na następne lekcje. Co roku jeździłem z młodzieżą czwartych klas na pokazy z fizyki organizowane przez UMCS w Lublinie.

Lepsze warunki lokalowe w szkole pozwoliły mi założyć Spółdzielnię Uczniowską pod nazwą „Zorza". Młodzież obsługiwała ją samodzielnie. Sprowadzała towary, prowadziła książki rachunkowe, sprzedawała i robiła remanenty, oczywiście pod moim nadzorem. Zarobione pieniądze przeznaczaliśmy na kupno pomocy naukowych, dokładaliśmy do wycieczek i kupowaliśmy drobne upominki dla wyróżniających się członków spółdzielni.

W szkole prowadziłem kółko fotograficzne i kółko fizyczne. Kółko fotograficzne obsługiwało różne uroczystości szkolne. Na kółku fizycznym młodzież wykonywała różne ciekawe doświadczenia, rozwiązywała zadania.

W 1950 r. pełniłem funkcję opiekuna społecznego nad sierotami zamieszkałymi na terenie Kazimierza, wychowującymi się w rodzinach zastępczych. Wojewódzka Rada Narodowa w Lublinie powierzyła mi pełnienie obowiązków kierownika internatu Szkoły Podstawowej i Liceum Ogólnokształcącego. Od 1 września 1956 r. za kierowanie internatem otrzymywałem dodatek w wysokości 200 zł. Chłopcy mieszkali w celach klasztornych u Reformatów. W celach były piece na węgiel, więc sami musieli w nich palić.

Razem z chłopcami, oczywiście w innych celach, mieszkał kolega Henryk Kamiński i kolega Jan Żukowski. Dziewczęta mieszkały w „Arkadii" w pomieszczeniach wynajętych przez p. Wójcicką.

Od 1977 r. do 1983 r. byłem ławnikiem w Sądzie Rejonowym w Puławach.

W 1949 roku KOS w Lublinie powierzyło mi pełnienie obowiązków dyrektora Miejskiego Gimnazjum Ogólnokształcącego w Kazimierzu Dolnym.W sierpniu 1951 r. powierzono mi czasowe pełnienie obowiązków dyrektora Państwowej Szkoły Ogólnokształcącej stopnia podstawowego i licealnego w Kazimierzu Dolnym. We wrześniu 1969 r. Inspektorat Oświaty w Puławach powierzył mi pełnienie obowiązków dyrektora Liceum Ogólnokształcącego w Kazimierzu Dolnym. Dotychczasowy dyrektor Lucjan Dziwisiński odszedł na emeryturę.

Trzy lata wychowywałem się w szkole wojskowej, w Korpusie Kadetów i jeden rok odbywałem służbę wojskową w Szkole Podchorążych Rezerwy. Nauczyłem się tam należycie wykonywać swoje obowiązki. Tego samego wymagałem od swoich podwładnych – żołnierzy. Pomyślałem sobie, że kierować szkołą, to należy wszystkiego dopilnować i za wszystko trzeba odpowiadać, wszędzie trzeba być. Praca z ludźmi jest trudna. Niektórzy ludzie są nieodpowiedzialni. Byłem przyzwyczajony do dyscypliny i tego wymagałem od innych.

Zorganizowałem pracę, rozpoczęliśmy rok szkolny i zaczęła się normalna praca. Pod koniec września przyjechał do Wydziału Oświaty w Puławach nauczyciel z Hrubieszowa, Kazimierz Kulikowski, wysokopartyjny, którego brat pracował w kuratorium w Lublinie. Inspektor dostał polecenie, aby go zatrudnić. W Inspektoracie zapanowała konsternacja – co zrobić? Inspektor wiedział, że broniłem się przed przyjęciem funkcji dyrektora, wiedział również, że nigdy nie byłem partyjnym.

W końcu września przyjechał do mnie zastępca inspektora Grzebalski i zaczął oględnie o tym mówić, że przysłali, że partyjny itd. Pomogłem mu w tym i powiedziałem, że napiszę podanie z prośbą o zwolnienie mnie z funkcji dyrektora. Po tym dostałem pismo zwalniające mnie na własną prośbę. Dla załagodzenia sprawy, otrzymałem podziękowanie za zorganizowanie roku i tysiąc złotych nagrody.

Kulikowski, jako dyrektor robił wokół siebie dużo szumu. Sprowadzał do szkoły przedstawicieli prasy, delegacje dyrektorów i nauczycieli ze Śląska. Stał się głośnym dyrektorem nie tylko w naszym województwie, ale i na Śląsku.

Gdy Inspektor Szkolny Stanisław Darewicz odszedł na emeryturę, Kazimierz Kulikowski został Inspektorem Oświaty w Puławach. Po dwóch lub trzech latach otrzymał jakieś stanowisko w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych i przeniósł się z rodziną do Warszawy.

W 1973 r. osiągnąłem wiek emerytalny i zostałem wysłany na emeryturę. Tak postąpiono z innymi nauczycielami. Inspektorem Wydziału Oświaty był Leon Ginalski, a dyrektorem szkoły T. Partykiewicz.

Mógłbym pracować jeszcze kilka lat. Gdybym wiedział, że w 1973 r. odejdę na emeryturę, starałbym się, abym dostał godziny nadliczbowe, by mieć większą podstawę wymiaru emerytury. W ostatnim roku miałem „goły etat". Do 1992 r. byłem emerytem tzw. starego portfela. Do 1987 r. pracowałem parę lat na godzinach oraz 8 lat na pół etatu.

W 1980 r. w maju dostałem zawału serca. Byłem w szpitalu w Puławach przez ponad trzy tygodnie. Wszystko dobrze się skończyło i do 1987/8 roku dalej pracowałem w szkole.

Odczuwałem już jednak zmęczenie. Po feriach zimowych w 1988 r. poszedłem normalnie do pracy i przed lekcjami straciłem przytomność. Przyszedł lekarz, coś zaaplikował i po trzech dniach zwolnienia, wróciłem do pracy. Pracowałem do końca roku i postanowiłem definitywnie pracę przerwać.

Motyw z nad Wisły, olej, płótno, 40x80 cm, 2016

Kaczeńce, olej, płótno, 20x30 cm, 2020

Pejzaż, olej, płótno, 27x33 cm, 2013

Pejzaż, olej, płótno, 90x120 cm, 2018

Jesienią, olej, płótno, 30x40 cm, 2016

Janowiec, olej, płótno, 30x24 cm, 2019